# NOWE
# PAMIĘTNIKI KWESTARZA.

»Służmy poczciwéj sławie, a jako kto może,
»Niechaj ku pożytkowi spólnemu pomoże.«

Jan Kochanowski.

# OBRAZY LITEWSKIE.

## SERYA SZÓSTA.

# NOWE
# PAMIĘTNIKI KWESTARZA

przez

***Brata Rafała Karęgę***

wydane przez

**Ignacego Chodźkę.**



**WILNO.**
**Nakładem i Drukiem Józefa Zawadzkiego.**

**1862.**

**ZA POZWOLENIEM CENZURY.**

**27 Sierpnia 1862 roku. — Wilno.**

## LIST AUTORA DO WYDAWCY.

*Łaskawy Dobrodzieju!*

Wydałeś waszmość pan dobrodziéj na *publicum* raptularze nieboszczyka brata naszego, *fiat pax* poczćiwéj jego duszy *Michała Ławrynowicza*, ochrzciwszy je mądrym tytułem *Pamiętników Kwestarza;* i zakon nasz czuje za to dla waszmość pana dobrodzieja wielką estymę i powinną *rekognicyę*: ale że *nie święci garnki lepią*, jak powiada przysłowie i nasz ksiądz *Kustosz* dobrodziéj; więc i ja idąc w ślady nieboszczyka brata Michała postanowiłem opisać moje kwestarskie dzieje; *in praeterito* wszakże, to już od lat kilkunastu przestałem téj włoczęgi, i w moim podeszłym wieku służę Bogu spokojnie, choć świece ucierając na jego świętych ołtarzach w naszym kościele.

Zkąd zaś ta pisanina przyszła na mnie, klaryguję to na początku *per modum w introdukcyi*, i odsyłam całą tę skrypturę moją jegomości dobrodziejowi, oddając oną w zupełną opiekę i manudukcyę pańskę: a jeżeli się zda waszmość panu dobro-

dziejowi promowować i mnie także do druku, to jeden tylko kładę warunek:— Powiadają ludzie że waszmość pan dobrodziéj za swoją fatygę miewasz *certum quantum* do kieszeni; otoż jeżeliby i ta moja praca ten szczęśliwy ewent jegomości dobrodziejowi przyniosła, proszę niezapominać i o Bernardynach. —

Nakoniec czytałem ja nieraz w starych a mądrych księgach, których po naszych klasztorach chwała Bogu nie brak, zaraz na piérwszéj karcie, różne deklaracye do Zoilów; widać że ich dawniéj wiele było na świecie, i że szanowni *auctores* nie lubili ich; a może i teraz wyrwie się który jak *Filip z konopi* na mnie biednego, więc i ja skoncypowałem dlań, taki komplement.

**Do Zoila.**

„Zoilu! jeśli zechcesz otwarcie czy nurkiem (1)
„Brać na kieł, by szwank wzięła ta poczciwa xięga;
„Masz wiedzieć— że ją bronię paskiem i ogórkiem
„A ostrzegam zewczasu— *Brat Rafał Karęga.*"

Ten który się pisze jegomości dobrodzieja najniższym podnóżkiem— *Ut supra.*

(1) Widać że tu autor miał na celu niepodpisujących się recenzentów.

# I.

## Introdukcya.

Rok temu, jak wszyscy wielu nas jest w klasztorze, siedzieliśmy wieczorną dobą na wielkim ganku naszym przed fórtą, i popijaliśmy szumiące piwko marcowe, za zdrowie naszego ks. kustosza dobrodzieja, który znając się dobrze na *Alchimji*, sam imformował brata kanaparza, a razem i piwniczego w naszym klasztorze, jakby najlepiéj piwo miał uwarzyć; jakoż i udało się wyśmienite.— Wieczór był piękny w maju, i już było po nieszporach, a nasz ks. kustosz dobrodziéj lubo i zakonną *proeminencyą* i mądrą bardzo głową nad nas wszystkich, a nawet i nad najstarszych

definitorów góruje, gdy jednak w wesołym jest humorze, to lubi zabawić się z nami poufałą konwersacyą, ot tak, to o tém to o owém; każdy z nas coś swojego dorzuca; a gdzie jest kilkunastu ludzi w dobréj kommitywie i ze spokojném sumieniem, to im wszystkim tam wesoło jest i dobrze.

Otoż gdy tak się zabawiamy, zajeżdza przed nas bryka, dwiema nędznemi szkapami zaprzężona, płótnem cała pokryta, a za woźnicę siedzi żydek obdartus, ale z pod płótna wyskakuje jakiś bardzo polityczny jegomość... wprawdzie cóś także na żyda zakrawa, ale bez pejsów, bez jarmułki, nie w łapserdaku jakim, ale w pięknym surducie i w kapeluszu zajęczym. Wszelakoż był to także żyd, a znał go już ks. kustosz, bo bywając w Wilnie, zachodził czasami do jego księgarni; zatém go i powitał.

— O! jak się masz panie Rubin? przecież i nas przypomniałeś.

— A jakże mości dobrodzieju? a jakże?—

mówił pan Rubin trochę z żydowska, i spodziewam się że tu dobrze utarguję; aj bo mam nowiuteńkie dzieła, *to ach!* niech tylko jegomość dobrodziéj, i wszyscy księża dobrodzieje obaczą.

— A to nowa rzecz, mówiliśmy między sobą, książki po kraju rozwożą żydzi! pokaż, pokaż, zawołaliśmy chórem.

Więc Rubin z pomocą swego furmana wyciągnął ciężkie dwie skrzynie z bryki, i postawiwszy je przed nami na ziemi, otworzył.

—Proszę wybierać, rzekł, towaru chwała Bogu *co ach!*

Zaczął się więc jakby rabunek książek Rubina.

Niechaj sobie co chcą mówią libertyni, ale w każdym klasztorze znajdują się wszakże ludzie rozumni i nabożni, którzy zwłaszcza w terazniejszych czasach, łapczywemi są do książek. U naszego ks. kustosza naprzykład stoi szeroka szafa z książkami jego własnemi; i u ks. kaznodzieja także, no i u nas nieraz

książka jaka ciekawa chodzi od celi do celi; i mnie się na końcu dostanie, choć nie wiele uczonemu bratu. Powiadają że tego dawniéj nie bywało, to nie prawda; bo zkądżeby wzięły się te stare foliały któremi u nas dwie cele zawalone.— Ale to niechaj sobie.

Otóż nasz stary ks. definitor, *notabene* jubilat, chwycił jedną książkę i przeczytał tytuł *Pamiętniki Szatana.* Tfu do diabła! krzyknął on, i rzucił ją w oczy żydowi— to ty pogański synu wozisz? dodał z gniewem, to chyba w piekle drukowano, i sam autor tamże!

—Nie mości dobrodzieju, odpowiedział Rubin, w Warszawie, *to co ach!* sławne dzieło; to w katalogu stoi rubli sześć, ale ja spuszczę.

„*Pamiętniki Kwestarza*"— przeczytał ksiądz kustosz na tytule.

—*Pamiętniki Kwestarza* powtórzyliśmy wszyscy z zadziwieniem: a którego? No, *to co ach!* dzieło nowiuteńkie, rzekł znowu Rubin; w katalogu stoi rubli dwa, ale ja spuszczę.

—Jakiegoż Kwestarza? zawołaliśmy znowu.

—A ja co wiem? odpowiedział *Rubin*; to musi tam być na pierwszéj karcie.

—Wydane przez *Ignacego Chodźkę*, rzekł ks. kustosz: mam piérwsze serye Obrazów Litewskich tego autora, więc i tę kupię dla kontynuacyi.

—Czy on Bernardyn? czy on był kwestarzem zapytał znowu ks jubilat.

Uśmiechnął się kustosz— A czy ten był *djabłem*, kto napisał *pamiętniki djabła*? rzekł:

—Kat jego wie kto to napisał, i wiedzieć tego niechcę— odpowiedział jubilat; ale zdaje mi się że trudno opisać to, czego nie praktykowaliśmy; więc Pamiętniki Kwestarza, kwestarzby tylko i opisywać mógł, gdyby było co do opisania, lub gdyby kwestarze pisać umieli.

—A *reverendissime*, odezwałem się ja; nie wszyscy kwestarze są tacy jak rozumiesz ojcze.

—Aha, rzekł on, waszeć niby to mędrszy.

—Otoż księże Ambroży, rzekł znowu kustosz, przeczytamy najprzód, i dowiemy się kto to napisał a może i kwestarz jaki— toby nam wielki zaszczyt przyniosło; bo kiedy kwestarze piszą dzieła, to cóż *jubilaty i definitory!* a jeżeli autorem jest jaki świecki człowiek, naprzykład sam pan wydawca; to będzie nam materya *ad disputandum*, czy się on znał na rzeczach bernardyńskich i kwestarskich? czy przeciwnie nie w swoje wdał się; a w takim razie wytrzem mu kapitułę, jako piszącemu fałszywie o naszéj. Ks. Ambroży kiwnął głową popijając piwko mussujące szumno, i wszyscy także za przykładem starszyzny cynowe nasze staroświeckiéj mody wychylając kufelki, zabawialiśmy się rozpatrywaniem książek.— Ks. kustosz kupił kilkanaście, i ten i ów po dwie, po trzy, jak komu stało w kieszeni.— Ale nie ma co powiedzieć na pana Rubina, miał wielki wzgląd na nasze ubogie kalitki, i spuszczał bardzo od cen drukowanych, które przy targu do każdéj książki w katalogu oka-

zywał: a tak, pięknego grosza od nas wybrawszy, kilka jeszcze kuflów piwa wysmoktał: spakował potém resztę książek, i przyrzekając nam częstsze odwiedziny, powlókł się daléj rozwozić mądrość po świecie.

---

## II.

### Ciąg dalszy Introdukcyi.

W kilka dni potem zawołano mnie do ks. Kustosza, znalazłem tam razem i ks. Ambrożego; a obu w jakiéjś żywéj dyspucie.— Gdym wszedł, umilkli — a ks. kustosz podając mi książkę rzekł:— No *charissime frater Rafaele* (bo tak mię czasami w łaskawości swéj nazywał) przeczytaj waszeć te książki. *Pamiętniki Kwestarza*, którém onegdaj kupił, a nad któremi teraz obszerną rozprawę z ks. jubilatem odbyliśmy; waszeć kiedyś kwestowałeś; przypomnij więc tamte swoje dzieje i napisz także swoje pamiętniki: ks. Am-

broży dowodzi, że tego niedokażesz, a ja mówię że „*nie święci garnki lepią*"— że i nasz brat Rafał ma oléj w głowie, choć nie pokrytéj kapturem, że nawet częściéj się nad książką znajduje, niżeli tam nasi niby to luminarze. Liznąłeś widać w szkołach i łaciny trochę; jedném słowem masz wszelkie ku temu dziełu kwalifikacye którym ks. Ambroży zaprzecza.

—Wcale nie zaprzeczam mój dobrodzieju, odpowiedział jubilat: *concedo majorem* ale *nego minorem* (1), jakto dawniéj powiadano; to jest nie brak tu zdolności, ale brak treści. Owszem wiem zkąd inąd, że brat Rafał zdałby się na kaznodzieję, może lepszego od wielu innych, jak tego dał dowod gdy raz jeżdżąc po kweście trafił do pewnego plebana na jakiś fest wielki w jego kościele, aż tu nagle zasłabł ksiądz, mający mieć kazanie...

---

(1) Termina dawnych scholastycznych dysput — zgadzam się na założenie — przeczę wnioskowi — lub przeciwnie.

—No, to pewnie wziął jego manuskrypt i przeczytał— przerwał ks. kustosz.

—Otoż to, że nic pisanego nie było: bo to był z takich kaznodziei i oratorów, którzy z natchnienia Bożego bez przygotowania się i bez pisma mówią: gdy więc żaden z obecnych księży nie mógł podjąć się do takiego zastępstwa *ex abrupto*, bo każdy z pisma kazać przywykł, pleban uczepił się kwestarza, to jest brata Rafała.

—I cóż? zapytał kustosz obracając się do mnie.

—A cóż *reverendissime*, odpowiedziałem; nie mogąc oprzeć się prośbom i molestacyom poczciwego a zakłopoconego plebana, westchnąłem do Boga, aby mię wspomógł na chwałę swoją, i wziąwszy ewangeliczkę w rękę, szedłem śmiało przez kościół; a takie zaufanie jakieś we mnie wstąpiło, że to był cud Boski dobrodzieju.

—Jakiż tekst wziąłeś?— pytał uśmiechając się kustosz.

Przypadła ewangelia o cudowném rozmnożeniu chleba i ryb, otoż naturalna treść o miłości chrześcijańskiéj i o jałmużnie; więc karcąc jak należało przeciwne temu grzechy, to jest skępstwo, nieludzkość i twardość serca, zaklinałem słuchaczy, aby odtąd dla zbawienia dusz swoich i dla odkupienia grzechów, nie żałowali jałmużny dla biednych, a zwłaszcza dla sług bożych, ubogich duchem i mieniem, jako my Bernardyni.

—No *charissime*— rzekł znowu ks. kustosz, powiem ci prawdę, żeś podwójnie zgrzeszył: najprzód nie będąc kapłanem, nie możesz bez szczególnego zezwolenia mówić kazań, a powtóre— kwestowałeś z ambony: a to ani *decet* ani *licet* (1), więc powinienbym cię za to teraz nawet wsadzić *w ciupę*, gdyby ciupa była jeszcze w modzie.

—*Mea culpa reverendissime?*— rzekłem całując go w rękę: *confiteor*: ależ temu lat

---

(1) Ani przystoi, ani się godzi.

ze dwadzieścia z górą, i mnie się zdawało, że w tém nie było nic złego: dałem ludziom grzesznym naukę i razem zręczność do zbawiennéj poprawy.— Jakoż słowa moje,niepadły na płonną ziemię; bo gdy po sutym obiedzie, którym pleban swych kollatorów uraczył, poszedłem z talerzykiem, to wszyscy przypomnieli kazanie, i talerzyk rublami zasypali: a cóż lepszego dokazałby i jaki teolog?

—Wsadź mię w *ciupę reverendissime,*— rzekł tu *insperate* do ks. kustosza ks. Ambroży— wsadź mię w *ciupę* obliguję!

Kustosz spójrzał nań z zadziwieniem, i— kręcąc palcem,—co to znaczy rzekł.

—Czyż mię nie rozumiesz? wsadź mnie w *ciupę*— i kwita.

—Co ci się dzieje ks. Jubilacie? za co? i na co? zkąd ci to do głowy przyszło?

—Za co?— znajdzie się łatwo,— odpowiedział jubilat. Ot często mię rano nie widzisz w chórze, ni na jutrzni, ani wieczorem na nieszporach; powiadacie stary zalenił się,

bo stary, — zalenił się — ot i wina gotowa: a gdybyś jeszcze ks. kustoszu dośledził czemu się zalenił? znalałzbyś czasami i miarkę przebraną w konsolacyi... słowem godzienem *ciupy*, i sadź mię śmiało *reverendissime*, nie zawiedziesz sumienia.

—Rozumiem, — rzekł kustosz; chcesz siebie poświęcić na przykład młodszym.

—To, to, to — zgadłeś *reverendissime*: *mądréj głowie, dość na słowie* — *Ciupa* mości dobrodzieju, *miserere sequeris* z dyscypliną, wszystko wyszło z mody, dla tego źle z nami i bardzo źle! trzymamy się to niby reguły zakonnéj; ale reguła nas jakoś się nie trzyma. Dawniéj im kto uczeńszy u nas bywał, tém był świątobliwszy, tém bardziéj pilnował klasztoru, i w gronie braci znajdował pociechę i chlubę ze swéj mądrości. Teraz pożal się Boże! jak tylko któremu z nas uda się powiedzieć jedno i drugie dobre kazanie i rumor pochlebny rozéjdzie się o nim, a szczególnie w mieście jakiem, to wnet go pycha

szatańska obejmuje i wymyka się mości dobrodzieje z klasztoru samopas na świat, aby posłuchać pochwał szczerych czy nie szczerych, za któremi potem tęskniąc, coraz bardziéj a bardziéj zaniedbuje i obrzydza swą celę, i spokojny klasztorny żywot. Za starszemi idą młodzi, i tak choć fórty nie zamykaj; a klasztor jak gąbka naciąga światowości, która zda się że już, po kurytarzach naszych wieje. Otoż gdyby to mości dobrodzieju, przydybawszy którego choćby jubilata, a tém bardziéj którego młodzika, wracającego *post silentium* do klasztoru, przeprowadzić go przez *miserere cum flagello, ad corpus delicti aplicando*, (1) i tu ręką wytłumaczył swoją łacinę, któréj sam już jeden między nami po staremu do swéj mowy zwykł dorzucać jeszcze:

—A potem,— mówił daléj,— po światowych specyałach i pirożkach cukrowanych, w *ciupę* jegomościa na tydzień, na chleb suchy

---

(1) Z biczowaniem grzesznego ciała.

i na wodę, ze stosownemi rokolekcyami duchownemi!... obaczyłbyś mości dobrodzieju jaki to wyśmienity z tego nastąpiłby skutek, jak wszystkoby powróciło do dawniejszéj zakonnéj *obedientii*, i do dawnych naszych poczciwych a pobożnych obyczajów.

Tu mocno i pokilkakrotnie zażył tabaki, bo już to jego zwyczaj, gdy cokolwiek z ferworem dowodzi, zasypać argumenta tabaką, jakby piaskiem skończone kazanie.

Ks. kustosz słuchając téj perory, to się uśmiechał, to kiwał głową, i nakoniec rzekł:

—Wiele jest prawdy w tém coś powiedział *reverendissime:* jest niejakie rozwolnienie reguł, nie tylko u nas, ale i po innych zakonach; wszakże zgorszenia chwała Bogu niesłychać; owszem *reverendissime*, jeżeli się coś chybia w pozorach, to jednak grunt za łaską Bożą ulepsza się; i niewiem na jaką stronę padłaby wygrana, z porównania dzisiejszego religijnego usposobienia duchowieństwa, ze stanem owego czasu, gdy monachomachia o-

krywała śmiesznością rutynę scholastyczną klasztorną, i stare nałogi.

—*Monachomachia!*— przerwał porywczo ks. Ambroży,— *monachomachia* mości dobrodzieju, dzieło libertyńskie— Biskup Warmiński w piekle po uszy, że swoich talentów, które na chwałę Boską poswięcić był powinien, użył na pohańbienie sług Bożych. *Jan Kochanowski* tłómaczył psalmy dawidowe, a nie pisał herezyi.

—Ha *reverendissime,*— rzekł kustosz— Krasicki, jako chrześcijanin, katolik, tém bardziéj jako biskup, niewcześnie poematem swym potakiwał niedowiarstwu zarażającemu natenczas cały świat, i naszą biedną krainę; gdy przeciwnie walczyć naprzeciw niemu wszelkiemi siłami woli, rozumu i serca był powinien; a jako pasterz, poprawiać swą trzodę, nie zaś ją osławiać, podając broń w rękę nieprzyjaciołom kościoła i wszelkich religijnych instytucyj: wprawdzie na usprawiedliwienie swe mówi on:

"Szanujmy mądrych, przykładnych, chwalebnych;
"Smiejmy się z głupich, choć i przewielebnych."

Ale nie przyszło mu na myśl, że głupich uczyć łagodnie i oświecać, nie zaś ośmiewać ich i urągać się im należy; chybił więc swéj roli i swego obowiązku, dał się unieść potokowi powszechnemu, a był zapewne przekonany, że wpłynie skutecznie na reformę obyczajów zakonnych, którą potrzebną być sądził: reszty dokonała owa szalona pokusa, to jest *Poezya* dowcipem podniecana.— Tak się zrodziła *Monachomachia*, szczególniéj grzeszna, że nie w czas była dla *Religii*, a w czas dla *niedowiarstwa:* i ztąd właśnie tak szeroka jéj popularność; ztąd nie mała liczba naśladowców, którzy niedorównywając Krasickiemu talentem ni dowcipem, silili się na poemata, i złośliwość tylko z mętnych źródeł francuzkich pożyczaną, czerpali. Ztąd organy *Węgierskiego*, których zapewne i nie czytałeś *reverendissime*, dedykowane nawet Krasickiemu.

—A gdzież to był ten Węgierski organista?— przerwał ks. Ambroży— niechby on sobie i pisał po węgiersku; po co mu do nas?

—Ks. kustosz uśmiechnął się i kontynuował daléj:

Ztąd *Bibeida* Rajmunda *Korsaka* nie drukowana dotąd, i drukować się już zapewne nie mająca— Ztąd Poemat *Sprzeczki* w wyjątkach tylko znany: (1) i tym podobne ciągłe lub urywkowe, na duchowieństwo miotane obelgi i czernidła, których się zepsuta natenczas i rozwięzła publiczność z upodobaniem chwytała, a które jeżeli doszły, lub gdyby doszły do Krasickiego, zraniłyby głęboko, pewny jestem, jego poczciwe zkąd inąd i obywatelskie serce.

—A zkądże przyszło jegomości dobrodziejowi czytać te bałamuctwa?— zapytał ks. Ambroży.

—O mój ojcze, rzekł poważniéj ksiądz ku-

(1) Wyjątki te były niegdyś w Tygodniku Wileńskim.

stosz: lat trzydzieście wieku mego strawiłem na świecie, nim mię Bóg do zakonu powołać raczył; trudno więc było w owych czasach młodości moiéj, uchronić się i ominąć trucizny, którą się jak owocami najdojrzalszéj mądrości lub dowcipu traktowano; i którą z każdym kęsem chleba powszedniego, pożywać że tak powiem, trzeba było: szczęście moje żem nalazł na nią *antidotum* u nog Zbawiciela; że łaska Ducha świętego wypaliła aż do dna w sercu mojem zarody złego, któreby pewnie potępiły nakoniec mą duszę, teraz oczyszczoną i pełną wiary świętéj, a umocnioną dwudziestoletnią służbą u ołtarza, i codzienną przed nim ofiarą; oddam ją Bogu w nadziei nieograniczonego miłosierdzia jego. Tu wzniosłszy ręce i oczy w górę, rzekł jakby w modlitwie —„*Qui redemisti perditos — noli condemnare redemptos.*" (1)

---

(1) Który odkupiłeś zgubionych; nie potępiaj odkupionych.

Staremu naszemu Jubilatowi łzą zaszły powieki, i jakby w zachwyceniu zawołał.

— *Reverendissime custos! dixisti verbas augustas* (1)— a chwytając nagle rękę kustosza, ucałował ją i do piersi przycisnął.

— Ojcze co czynisz? — zawołał kustosz:— nam to, nam należy całować rękę weterana naszego i bogomodlcy, rękę która nas niedawno błogosławiła i uściskała głowy nasze, na twéj prymicyi zakonnéj; pięćdziesiąt lat pracujesz gorliwie w winnicy pańskiéj, niech cię Bóg wspiera na drugie tyle, i wzajemnie ująwszy rękę starca, ucałował ją czule.

— *Satis*— rzekł stary ocierając oczy— *satis*— bo się rozbeczę jak dziecko.

—I mnie też zrobiło się tak razem żałośnie i miło, żem chciał obu patrom do nóg upaść, ale mi tego nie dopuścili; i tak wszyscy trzéj zamilkliśmy, ale w duszy, radzibyśmy byli

---

(2) Najszanowniéjszy kustoszu, rzekłeś słowa szczytne. — *Custos* — znaczy strażnik — opiekun.

jeden drugiemu, jak to powiadają, nieba przychylić.

Po chwili takiego milczenia odezwał się znowu ks. kustosz:

— Ale zboczyliśmy z drogi: miałem ci dowieść ojcze, że stan dzisiejszy ducha zakonnego i zakonników, mimo niejakiego rozwolnienia reguł i form, lepszym jest i gruntowniéj religijnym, niżeli w owe czasy, gdy ks. Biskup Warmiński, zawzięte dysputy nasze wyśmiewał. Bo niechżeby kto teraz choć równy a nawet wyższy odeń talentem zebrawszy wszystkie wady i usterki klasztorne, chciał napisać z nich poema żartobliwe; pewny jestem że tegoby nie dokazał, dla braku treści; a co nie wzbudza śmiechu, to wzbudza litość albo uszanowanie, albo jedno i drugie razem; i to oboje uczułby on dziś w nas się rozpatrując bez uprzedzenia. — Nie mamy zapewne teraz tak ścisłych ***ascetów***, jakich dawniéj między zakonnikami szczególniéj nie mało znajdowało się; ***kate-***

*ny* (1) równie jak *ciupy* wyszły z mody, ale za to wiara gorliwa, i gorliwość o wiarę, jest w sercu każdego: i zda się, że łaska oświecająca i uświęcająca, skupiona w ówczas na niektórych, teraz chwała Bogu rozlewa się na wszystkich. Wierzono dawniéj po większéj części bez rozbioru, obserwowano regułę i obrzęda z rutyny; dziś wierzemy sercem i przekonaniem, a każdy akt modlitwy i świętych a wspaniałych obrzędów naszych, dla tego buduje wiernych, dla tego czyni na nich głębokie wrażenie, że sami głęboko niém przeniknieni jesteśmy.

— Mówisz *Reverendissime* jak Salomon,— przerwał ks. Ambroży,— ale mości dobrodzieju *nulla regula sine exceptione.* (2)

—Tak jest,— rzekł kustosz, i być inaczéj niemoże, gdy sprawa z ludźmi, a nie z aniołami: ale w Bogu nadzieja, że przy Je-

---

(1) Katena pas dróciany ostry, którym się pokutnicy po nagim ciele przepasywali.

(2) Żadna reguła bez wyjątku.

go opiece, światowość która nas jeszcze się czepia odpadnie od nas jak szata zbutwiała; a błogosławiony habit, cela spokojna i samotna, pokora i prostota, staną się ulubionemi każdemu zakonnikowi; tak, że bez przymusu i surowości wróci wszystko do dawnych reguł i karbów.

— Amen! mości dobrodzieju, — rzekł ks. Ambroży — Amen! — i mocno pociągnął tabaki, a ja dla rozweselenia ojców tak mądrze zarozumowanych, rzekłem.

— Kiedyż wszystko ma się wracać do dawnego obyczaju, to zdaje mi się *reverendissime*, że zacząćby najpierwiéj należało od bernardyńskich porcyj „*Frater an vides me?* (1) pytano dawniéj u obiadu na przeciw siedzącego brata: a teraz możnaby zapytać— „*Frater, an vides portiam meam?*“ (2)

Zaśmieli się oba ojcowie, a ks. kustosz dodał.

---

(1) Bracie czy widzisz mnie?

(2) Bracie czy widzisz moją porcyę?

— Ot widzisz ks. Ambroży, są w nim zarywki kwestarskie, więc, — rzekł obracając się do mnie i oddając książki, — więc czytaj, i potém pisz pod staroświecką *obedientią* przykazuję waszeci: a co napiszesz, przynoś tu częściami do mnie, będziemy z ks. Ambrożym sądzić twą pracę i po professorsku podpisywać „*Lectum et correctum*.” (1)

Powróciłem więc do celi, i najpierwiéj spisałem na świeżo, i *praeter propter* dosłównie, mądrą ojców rozmowę, bo słuchając całą gębą, i mając chwała Bogu lokalną pamięć, nieopuściłem ani słowa; a tym samym służy mi to za *introdukcyę*, i razem objaśnia zkąd na mnie to przyszło.

---

(1) Czytano i poprawiono.

# III.

## Brat Michał Ławrynowicz.

Mój miły Boże! kiedy to ja spójrzę do danych mi książek, aż od pierwszéj karty dowiaduję się, że to raptularze naszego nieboszczyka brata *Michała Ławrynowicza* którego dobrze pamiętam, i którego śmierci nawet byłem świadkiem w *Bienicy*; bom tam natenczas był w szkółce, w któréj pauperów okazujących inklinacyę do zakonu, nauczano służby bożéj, i początkowych nauk, nawet po trosze łaciny. A jeżeli który z dyscypułów, przez swą pilną aplikacyę i pojętność, dawał dobrą o sobie nadzieję, to go na wyższe *studia* wysyłano do Wilna; zkąd

po latach kilku nowicyatu i nauki, wychodził na kapłana, a czasem i na wielkiego teologa.

Otoż pamiętam, że w kilka miesięcy po przybyciu swojém do *Bienicy*, jakoś to już na stoku zimy, a przybył latem, umarł brat Michał z gorączki, która natenczas wszędzie grasowała, a najwięcéj około traktu, którym całe wojsko francuzkie nazad się wlekło i marzło, a od którego Bienica blizko.

Żałowano bardzo w klasztorze brata Michała, bo choć on był *titulo* kwestarz tylko, jednak respektowanym był wielce, bo miał głowę nie dla proporcyi. A jako niegdyś dworak i wersat, w interesach klasztornych, zwłaszcza *majoris importentie* (1) lepiéj często niż który *pater* poradził. Pamiętam nawet siwego barana, którego on uczył na prewadyra do kwesty, jadł on już chleb z rąk i na pamiątkę Michałem go nazywano: porwał go potém wilk, z wielkim żalem nas wszyst-

(1) Większego znaczenia.

kich, szczególniéj klasztornych studentów, których on był faworytem.

Mówiono i to, że ks. Puciata spowiednik brata Michała, zabrał po nim wiele papierów i całych seksternów ściśle zapisanych: mniemano natenczas, że on jeżdżąc po świecie zbierał rozmaite *perskrypcye* to doktorskie, to kucharskie, i odkazał je widać przy ostatniéj spowiedzi swemu ojcowi duchownemu; ale i ks. Puciata wkrótce także *fatis cessit*, więc i zapomniano o wszystkim. Teraz wszystkie te cyrkumstancye przyszły mi na pamięć, gdy też same seksterniki wydrukowane, są na mojém ręku; i przeczytałem je od deski do deski — Niechże w Bogu spoczywa poczciwy brat nasz Michał Ławrynowicz, a fama o nim i o zakonie naszym, niechże za błogosławieństwem Boskim, *crescit et multiplicatur in secula seculorum* (1)

Zatem i mnie w jego ślady iść potrzeba:

---

(1) Rośnie i rozszerza się na wieki wieków.

ksiądz kustosz nałożył *obedientię*, i już ze trzy pióra zgryzłem, tylko myśląc jak zacząć: pamiętniki te gorzéj mi jeszcze głowę zawracają, różne obudzając refleksye: spiszę je więc wszystkie i ks. kustoszowi zaniosę: niech sądzi i dyryguje, a może mnie od tego kłopotu uwolni.

## Moje Refleksye.

Już mi nie o to idzie, żem się ja nigdy z memi zdolnościami do pióra nie probował; bo owo kazanie, którem *ex abrupto* powiedział, tém samém że się udało, dowodzi że nie było moje własne, ale łaską Ducha S. we mnie natchnięte. Nie mogę także powiedzieć: „*w szkole nie bywałem i rószczki nie widziałem*;" bo i mnie wysłanoby niegdyś jak wielu innych z Bienicy do Wilna na *studia:* lecz jam natenczas osądził, że mnie dość nauki, i uparłem się przy swojém; a że nie było komu popędzić mi rozumu do głowy, i przekonać mię że go mam niespełna, więc tak jakoś i

zostało się: za to rosła codzień we mnie taka miłość do mojego stanu, do klasztoru, do kościoła, że nieustannie prosiłem aby mię co najrychléj paskiem S. Franciszka przepasano i wotum moje przyjęto; a gdy to się stało, nacieszyć się nie mogłem.—Bóg świadkiem, że odtąd ani razu nie pożałowałem tego; bo i cóżbym robił na świecie? Otbym gdzieś wykierował się może na jakiego *pisarza prowentowego*—piękna funkcya, i piękna kondycya! Tu zaś chodząc około mądrych i pobożnych ojców, słuchając ich przestrog i nauk, codzień w głowie mi świetlało; a mając czasu na zbycie, przyszła za dobrym przykładem i ochota do książek: odzywało się w pamięci „*Surge puer, summe librum, perlege, sapere aude;*" (1) być mądrym ośmiel się! Więc i ośmieliłem się... do mądrości to wprawdzie daleko, ale przecież i

(1) Wstań dziecię, weź książkę, przeczytaj, być mądrém osmiel się— wypisy dawniéjsze na klassę 1szą.

z głupstwa jakoś wybrnąłem; tak, że i nie wstyd było patrom za socyusza niekiedy mię przybierać; aże to często się zdarzało, i nakoniec we zwyczaj jakoś weszło więc i polityki światowéj pokosztowałem trochę, i poznałem chwała Bogu co *licet i decet* (1) między ludźmi: jak to powiedział ks. kustosz.

Niechże mię jednak Bóg broni od pychy! to piérwszy gradus do piekła: zawszem ja tylko brat Rafał, *humillimus servus* pokornego naszego zakonu, a refleksye te dla tego tylko czynię, że poczuwam się w możności, jak i kto inny, a może za pomocą boską i lepiéj potrafię opisać kwestarskie moje włoczęgi. Tylko wszakże przy wszystkiém tém co mnie Bóg dał z natury, lub nadarzyła nauka, żadnym sposobem komparować się nie mogę z nieboszczykiem bratem Michałem; bo proszę uniżenie, gdzież teraz takie dwory, w jakich on wprzód jak marszałek réj wodził, a potém na swéj

---

(1) Wolno i przystoi.

dropiatéj objeżdzał? Gdzież panowie jak Radziwiłł? do którego i mniéj bogatsi, ale ze swéj wspaniałości, pobożności i pańskiego życia podobnemi byli? Gdzież ten animusz, rezon i humor, z którym brat Michał już do klasztoru wstąpił, a potem w peregrynacyach swoich wszędzie go znajdując, akcenta własne mieszał z cudzemi — a nadto opisał wiele takich rzeczy i ewentów w kraju, o których ani mi się śniło, i ledwo coś o nich od starych naszych patrów posłyszeć można; i to wiedzą z nich niektórzy, że dzwoniono, ale nie wiedzą w którym kościele? — Gdzież ta wesołość i swoboda umysłów?... powiadają, że teraz *światło* panuje, ale Boże odpuść, gdzież tam? teraz *ciemność* panuje; a przynajmniéj bardzo wielka pochmurność — Gdyby było światło, toćby rozweselało ludzi: kiedy słońce pięknie świeci, to aż miło spójrzeć w oczy każdemu; a kiedy chmurą zajdzie i nie ma pogody na świecie, to nie ma i na twarzach ludzkich: więc kiedy nie ma teraz wesołości,

to nie ma i światła — konkluzya zdaje mi się oczewista.

Kwestarze podług dawniejszéj mody, bywali właśnie takimi, jakimi był brat Michał: pokorny ale *versat* — skromny ale *faceciosus* — *werydyk,* ale roztropny: umiejący i ze szlachtą się bratać, i u panów stawić się *modeste* ale *honeste.*— Powiadają nawet, że jeden taki kwestarz, stanął aż przed królem, i cały konwent swój z kłopotu wybawił; było to jakoby takim sposobem.

---

*Któryś* król przejeżdżając mimo *któregoś* z naszych bernardyńskich klasztorów, postrzegł napis na facyacie: „*Providentia Dei;*“ (1) zawołał zatém gwardyana i zapytał:

— Co rozumiecie przez ten napis?

— Miłościwy królu — odpowiedział on, rozumiemy to, że żyjemy *ex providentia Dei,*

---

(1) Opatrzność Boska.

to jest z opatrzności Boskiéj, która przez ręce pobożnych i miłosiernych ludzi opatruje nas chlebem.

Zakon nasz niemoże posiadać dóbr ziemskich, więc nie orząc ani siejąc, z łaski dobrodziejów żyjem.

— Dobrze, — rzekł król, — obaczemyż jak żyjecie, — i weszedł do klasztoru w gościnę, z całym dworem na obiad.

Naturalnie, dla takiego gościa, ks. Gwardyan nie żałował co miał najlepszego: aże dyspensa i sklep uprowidowane były porządnie, więc król jegomość zjadł obiad, choć klasztorny ale dobry i smaczny; i skosztował zapewna bernardyńskiego trójniaku: ale po traktamencie rzekł do gwardyana, i do assystujących mu ojców.

—No, widzę że *providentia Dei* opatruje was hojnie: teraz więc musicie mi dowieść żeście jéj godni, to jest żeście mądrzy i pobożni, i że taż sama *providentia*, nie tylko daje pokarm waszemu ciału, ale i wasze du-

sze oświeca i karmi. Zatem macie mi odpowiedzieć na trzy pytania.

*Primo* — Ilem ja wart?

*Secundo* — Jak daleko z ziemi do niebà?

*Tertio* — Co ja myślę?

Daję wam trzy dni czasu, po których jeżeli mi na każdą tę kwestyę przyniesiecie dostateczną odpowiedź, uwierzę że *Providentia Dei* was wspiera, i żeście godni téj opieki; owszem będę sam dla was iéj narzędziem: ale jeżeli pytań tych nierozwiążecie, wypędzę was z klasztoru, jako ludzi chwalących się fałszywie łaską opatrzności, któréj nie są godnemi.

---

Trudno opisać jakie zamieszanie stało się w klasztorze, po takim gorzkim koncepcie króla. I jubilaty i definitory, najtęższe teologi suszyli sobie głowy, i nieschodzili z konsyliów, na których od rana do wieczora siedzieli, ale nic wymyślić nie mogli: a tu *tempis tempi*, czas się skępi, i trzeci ostatni

dzień nadszedł, a odpowiedzi jak niema tak niema — było ich może ze sto; ale żadnéj takiéj któraby króla skonwinkować mogła.

Wtém wszedł na walną radę w refektarzu zebraną brat kwestarz klasztorny i zapytał:

— A cożeście ojcowie uradzili? czy macie responsa dla króla?

Po milczeniu i minach wszystkich, poznawszy on że sprawa idzie jak z kamienia.

— No *reverendissimi*— rzekł— kiedy *sapientia* wasza tak faluje, to pozwólcie mnie stanąć przed królem jegomością, może ja was uratuję, i dowiodę żeśmy nie...

Przerwali i nie dali mu dokończyć ojcowie; ruszyli się hurmem z ław, i wszyscy razem pytali, jakie odpowiedzie ma dać królowi?— a niektórzy kiwając wątpliwie głową odzywali się:

—My nic nie wymyslili, a waszeć masz być mędrszym od nas?

— Odpowiedzi moich,— rzekł kwestarz,— wam nie powiem, bo do wieczora może jeszcze

własne skoncypujecie: ale kiedy wam na to oleju w głowach nie stanie, to powiadam wam posyłajcie mnie, bo już nic lepszego zrobić nie będziecie mogli.

Argument ten był nieodbity, więc i stanęło na tém że wysłano kwestarza do króla, nie dopytując się już co on tam powie, a tylko błogosławiąc na drogę.

Stanął więc kwestarz przed królem.

—„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ rzekł on wchodząc; bo już to pewnie od tego zaczął.

A król pewnie odpowiedział:

—„Na wieki wieków“— i postrzegłszy go, przypomniał onegdajszą gościnę, i rzekł: — przychodzisz zapewna księżulu z responsami na moje kwestye.

—Tak jest, najjaśniejszy Panie,— odpowiedział z nizkim pokłonem kwestarz.

A więc król zasiadł na tronie, i włożył koronę, zwyczajnie jak król, a koło niego cały dwór od złota i srebra, aż w oczach

kwestarzowi zaćmiło się; jednak nie stracił fantazyi.

—No, — rzekł król — *Ilem ja wart?*

—Szacujemy waszą królewską mość *dwadzieścia dziewięć srebrników.*— odpowiedział kwestarz — Zdaje się że bez krzywdy, kiedy jednym tylko srebrnikiem mniéj od naszego Zbawiciela.

Król spójrzał po dworzanach — nie było co odpowiedzieć.

—*Jak daleko z ziemi do nieba?*— zapytał znowu król.

—Moment drogi, miłościwy królu — *skonanie!* — odpowiedział kwestarz — idzie tylko oto, aby nie zbłądzić, i nie trafić do piekła; od czego aby Bóg ustrzegł waszą królewską mość, my niegodni słudzy jego, gorliwie modlić się będziemy.

Król pokręcił głową.

—No, ostatnie pytanie — *co ja myślę?*

—Wasza królewska mość myślisz — mówił kwestarz, — że kiedy mnie tu wysłali,

to ja muszę być bardzo mądry teolog, a ja prosty brat *pałkuć* — kwestarz do usług waszéj królewskiéj mości.

— *Bravo!* — zawołał król, — i wszyscy za nim: *bravo!* wygrałeś sprawę: widać że *providentia Dei* opiekuje się wami, i nie opuszcza was w każdym kłopocie — potém zaprosił go wzajemnie na obiadek, i nakoniec sowicie obdarzonego odesłał.

---

Ot to mi kwestarz! ale powtarzam, teraz takich nie ma, bo nie ma szkoły na nich, a tą szkołą był świat; i choć który wyjechał z klasztoru „*simplex Dei amicus*“ (1) to w każdym prawie domu szlacheckim, a tém bardziéj pańskim, znajdując prócz samych gospodarzy zawsze jeszcze mościpanów z professyi kwestarzów tylko bez habitu, którzy wędrując od komina do komina, i fałdrując tym co ich karmili, odpłacali swym dobro-

---

(1) Prosty przyjaciel Boski.

dziejom za chleb, wyprawnym językiem. Brali oni zwykle biednego kwestarza w obróty, nim go tak nie wyuczyli, że potém i sam się im obronił, i ich konfundował jeszcze: ztąd powstały owe jowialne anegdoty i dykteryjki kwestarskie, o które teraz trudniéj jak o barany; gdy wszyscy i wszędzie jęczą jak dusze czyscowe, choć częstokroć bez widocznéj przyczyny:— zmora jakaś padła na świat cały: zkąd? i dla czego? ja nie wiem.

Choćby więc kwestarz miał głowę Salomona, nic nie dokaże, gdy ani własnéj, ani cudzéj podjąć wesoło nie może; a gdyby zresztą i zdobył się na jakiś koncept, to cóż?... ot mi przychodzi na myśl komparacya: — często dobre stalowe krzesiwo, sypie iskrami jak żarem; cóż? kiedy gąbka się nie zapala, bo przemokła i gniła: — otoż syp koncepta i akcenta jak z rękawa; cóż? kiedy one nie rozjaśnią śmiechem żadnéj twarzy, bo wszystkie żółte i kwaśne, jakbyś je z przemokłéj hubki ulepił;— zblakowało towarzystwo ludzkie i kwita:

a konsekwencya z tego wszystkiego czysta:— że jeżeli pan wydawca powiedział, że pamiętniki brata Michała Ławrynowicza mają się tak do pamiętników *Grumdrypa* spisanych przez księdza biskupa Warmińskiego (o którym onegdaj tak gorącą słyszałem rozprawę) jak *kwestarz* do *biskupa* (1) to moje, do pamiętników Ławrynowicza; mieć się będą jak *żebrak* do *kwestarza.* Obaczemyż co na to powie ks. kustosz dobrodziéj.

---

## IV.

### Colloquium 1-sze u ks. kustosza. Admunicye.

Dałże mi naukę ks. kustosz dobrodziéj! bo gdym przeczytał moje refleksye, które bardzo approbował ks. Ambroży, on trzęsąc głową rzekł:

— Na co waszeć taką pstrokacizną, to jest

(1) Przedmowa do pamiętników Kwestarza.

tak częstemi łacińskiemi makaronizmami nastrzępiasz i szpikujesz swój styl. Czy ci polskich wyrazów brakuje?

— Ja *reverendissime* myśliłem, że po bernardyńsku pisząc, tak koniecznie potrzeba, byle *zrozumiętelnie.*

— A niech cię licho! wrzasnął znowu ks. kustosz zatykając uszy — zkąd wyrwałeś tę *zrozumiętelność.*

— A wszakże to nie makaronizm — odpowiedziałem.

— To gorzéj, to barbaryzm,— mówił grożąc mi palcem — rozumiałem że na mnie za barbaryzm *ciupę* odnowi.

Rozśmiał się ks. Jubilat na taki iego ferwor, i on się sam zatém udobruchał; więc zaczął refutować moje refleksye.

---

— Z twoich uwag bracie Rafale widać, że ty główną zaletę kwestarza na dowcipie zasadzasz; czyż to jego całe rzemiosło aby tylko

rozśmieszać i brać, a prościéj mówiąc wydrwiwać barany? dawniéj bywało nakształt tego, i to coś napisał w tym względzie, jest po większéj części prawdziwém....

— I owszem w całości, w całości prawda,— przerwał ks. Ambroży, zażywając tabakę.— Dajmy na to że prawda, mówił daléj ks. kustosz; ale szczególniéj w tém, że zmora jakaś, jak mgła ciężka padła na świat, i na ludzi, że jak bardzo trafnie acz popularnie wyrazić mu się udało, towarzystwo ludzkie *zblakowało*. Barwa nasza bowiem starodawna, rodzinna, niegdyś jasna, czysta łagodna, i żywa razem, oblekająca jakby w szatę weselną wszystkich, zwlekła się jakoś i z młodzieży i ze starych; dziś młodzież szaleje częstokroć, ale się nigdy nie weseli; a na każdego starca teraz zwykle ponurego spójrzawszy, powiesz przysłowie „*głowa miejsca szuka.*” Dawniéj taka głowa, będąc pewna miejsca swego w królestwie niebieskiém, na ziemi igrała wiele z młodzieżą, rozsiewając z ze-

branego w długim wieku zapasu, ziarna i nasiona dowcipu, swobodnéj wesołości i miłości wzajemnéj;— było to *otium cum dignitate* (1) *ot co jest!* jak powiadał nieboszczyk ksiądz kustosz opiekun i przyjaciel brata Ławrynowicza— *ot co jest!* ale dla czegoż tak jest? dla czego? rozwiąż tę kwestyę ks. Jubilacie.— Bo taka wola Pana Boga, odpowiedział ks. Ambroży.

Naturalnie, że taka wola Pana Boga, bo nic się bez niéj na świecie nie dzieje, wszelakoż wolno nam jest rozmyslając i zastanawiając się nad sobą samemi, szukać fatalnych przyczyn i grzechów naszych, których skutkiem bywa gniew Boży: jest to rachunek sumnienia publicznego, rzadko kiedy zmazany skruchą i poprawą, i dla tego zawsze prawie okupowany pokutą; pokutujemy więc i teraz.

A czy nie mówiłem *reverendissime?* czy nie mówiłem że źle z nami? przerwał ks. Am-

---

(1) Odpoczynek z powagą.

broży: jak pobrataliśmy się ścisle ze światem: jak wyszła z mody *obedientia* i *reverentia* dla starszych: jak *ciupę* zamurowano bodaj po wszystkich klasztorach....

— Ale nie oto idzie ks. Jubilacie,— przerwał wzajemnie kustosz,— nie oto idzie; obyczaje nasze zakonne, klasztorne, różniły się zawsze i różnić się muszą od swieckich; to inna materya— gorzéj że cały świat jak w *ciupie;* a idzie o przyczynę czém on na to zasłużył?

— Niedowiarstwo mości dobrodzieju! niedowiarstwo!— rzekł gorąco ks. Ambroży.

— Ha! w ogólności tak *reverendissime,* tak, niedowiarstwo— jest to wątpliwość: a wątpliwość, jest to niespokojność— niespokojność zaś nigdy swobodną ani pogodną nie była— wewnętrzny więc stan towarzystwa jest, a przynajmniéj był nie dawno takim: i bez wątpienia ztąd początek złego: bo ludzie straciwszy ufność w Bogu, poczęli ufać sobie samym, i powodować się pochopom, żądzom i

namiętnościom: a te wprowadziły ich w stan nieustannego pożądania, wprowadziły na dolę trudów, starań, zamętu, nadziei, bojaźni, a co najgorsza samolubstwa, obojętności na los bliźnich i na wszelkie względem ich Chrześcijańskie obowiązki. Prawda, że z takowéj pracy powszechnéj, wynikło wiele pożytecznych wynalazków dla świata, ale cóż? kiedy razem z przybytkiem pożytków, przybywa daleko więcéj gorącéj i nieograniczonéj chęci posiadania, do któréj też same pożytki i wynalazki kuszą. Oto jest powszechna dziś choroba towarzystwa ludzkiego: jest to trawiąca gorączka, któréj symptomatem widocznym, jest owa niespokojna i zrzędliwa ponurość, która nas objęła i na którą się uskarżamy.

— A lekarstwo *reverendissime*? lekarstwo na to jakie?— zapytał ks. Ambroży;— bo jużciż sądzę, że choroba ta nie jest śmiertelną: chyba że skończenie świata blizko.

— No ks. Jubilacie, odpowiedział ks. kustosz:— Bóg sam tylko wie godzinę, w któréj

każe zabrzmieć Archanielskiéj trąbie, a lekarstwo na chorobę tę znajdziesz na każdéj karcie naszéj Ś-téj Ewangelji — do nas to kapłanów należy podwójny obowiązek, ogłaszać i zalecać ludziom w naukach naszych to lekarstwo: a w modłach codziennych błagać Boga, aby raczył sprawiać serca ludzkie, ku przyjęciu onego i przyswojeniu — *zaufanie w Bogu!* i *umiarkowanie w żądzach!* oto w ogólności dwa *specyfiki* — drugie wyrabia się z piérwszego.

— Prawda *reverendissime* prawda — rzekł Jubilat — „*nisi dominus custodiverit civita-* „*tem frustra vigilat qui custodit eam.*“ (1) bez nadziei i zaufania w Bogu, nic nie będzie.

— Zdaje mi się wszelako, — mówił daléj ks. kustosz, — że się zbliżamy do przesilenia i materyalnie i duchownie: umiarkowanie przyjdzie z przesytu; a bardziéj może z niedosta-

---

(1) Jeżeli Bóg nie opiekuje się towarzystwem, próżno ten pracuje kto je strzeże.

tku... jak będziemy goli,— dodał śmiejąc się— to będziemy i skromni i spokojni.

— Ale nie o tym dawidzie, gra idzie: zabrnęliśmy daleko od materyi— waszeć bracie Rafale odrzeknąć się chcąc honoru autorskiego, wynajdujesz preteksta, które ci lenistwo na ucho szepce: mówisz że nie mogłeś po świecie dzisiejszym, czy onegdajszym, gdyś po nim się włóczył naźbierać kwestarskich treści do opisywania: a ja ci powiadam, że je masz gotowe w twéj głowie „*Puść myśli na rozwagę, jak plewy na sito*" gdzieś tam powiedziano: (1) jeździłeś przecie po domach ludzkich nie po budach niedźwiedzich: czasy i obyczaje zmieniają się, to prawda; ale jednakże w każdym okresie czasu, ludzie i obyczaje takie jak są— *są!*— Nieprzewidując nigdy, że cię kiedyś do ich opisywania tak dobrze jak zmuszą, nie zastanawiałeś się zapewne nad tém coś widział, lub co ci się

---

(1) Zabłocki.

zdarzało; uwagi zaś twoje teraźniejsze nad tém wszystkiém, gdybyś je wypisywać chciał, po nie wczasie nieudałyby-ci się może, i... tu machnął ręką.

Zrozumiałem ja ten *mach* jego — kiwnąłem głową, a on się uśmiechnął.

— Pisz więc bracie Rafale, mówił znów ks. kustosz: przypominaj i pisz; a my z księdzem Jubilatem z twych pism i przypomnień, sami moralne sensa wyciągniemy.

— Kiedy będzie z czego — dokończył ks. Jubilat, i zażył tabaki.

---

## V.

### Kwesta. Wyjazd. — Brat Piotr.

„*Adsis inceptis benigna Virgo meis!*" (1) Tak zaczął niegdyś swe raptularze brat *Michał Ławrynowicz*, gdy był jeszcze swieckim

(1) Przybądź w pomoc Matko miłosierdzia poczęciu méj pracy.

człowiekiem; więc tém bardziéj mnie który habit noszę tak zaczynać należy: ale sam początek mojéj peregrynacyi, zupełnie inny był niżeli jego, on się spotkał najpierwéj ze wspaniałym a pobożnym rycerzem; a ja — Panie Boże odpuść!

W lat, jak mi się zdaje, z piętnaście zacząłem ja kwestę moją z klasztoru Bienickiego, po najściu francuzów i po śmierci brata Michała: byłem już natenczas *maturus* bo czwarty krzyżyk kończyłem; a jednak był jeszcze długi certament w klasztorze nad tém, żem był za młody na kwestarza: ale nakoniec wyprawiono mnie, i w bardzo podobnym paragonie jak kiedyś brata Ławrynowicza; z tą tylko różnicą w zapasach, że on miał zawsze puzderko pełne i zawsze dolewane wyśmienitą staruszką, którego ja nie potrzebowałem; w głowie zaś miał dworski rozum i rezon, bernardyńskim humorem korroborowany: a u mnie jakiż był zapas na kwestarskie experymenta? kilka pieśni światowych, które cza-

sem podochocony nasz organista wyśpiewywał; a ja się od jego nauczyłem, kilka wierszy szkolnego gatunku, ot i wszystko: a wszakże i to się przydało w niektórych kazusach, jakie niżéj opiszę.

W każdym klasztorze jest osóbny wóz kwestarski mocny, dobrze okuty i ładowny: na teraźniejsze czasy dość jednego, dawniéj po trzy razem wyprawiano, bo nieraz z drogi dwa pełne wracały do klasztoru, i potém znowu gdzieś łączyły się z kwestarzem po drodze — kałamaha więc drabiasta i szeroka; koń stary i chudy, gotowy gość na cudzy obrok. Prewodyr rogaty tuż za wozem, i nakoniec wiozący mię sługa klasztorny; nie taki jednak jak ów Marcin brata Michała, zwykły woźnica kwestarski, *gadativus sine fine*, i prawiący rozmaite światowe historye, bo mój przeciwnie najczęściéj milczał jak ściana: i kiedy niekiedy tylko niby ze snu obudzony, obdarzył mię jedną połodpowiedzią za kilka moich kwestyj.

Był to *neofita*, nie dawno z Wilna do naszego klasztoru przysłany: długa o nim historya. Piotrem go ochrzczono, a był on synem jakiegoś wielce mądrego rabina wileńskiego; ojciec chcąc go widzieć na swojém miejscu głową ich tam Sanchedrynu, uczył go wszelkich tajemnic żydowskiego niedowiarstwa, a najbardziéj utwierdzał go w nienawiści ku chrześcijanom, i ku najświętszemu Zbawicielowi naszemu — Nie dokończył on wszakże swéj nauki i umarł zostawując młodego Abela nad talmudem biorącego na *gimorę*, nie mogącego jednak zrozumieć jeszcze hebrajszczyzny doskonale, bo to jak mówią bardzo trudny język; tak, że nie wszyscy rabini nawet gruntownie go pojąć i zrozumieć mogą. Był zaś w naszym klasztorze ojciec *Hromyko*, uczony bardzo i pobożny zakonnik: peregrynował on aż do ziemi świętéj, i przemieszkiwał lat kilka w samém Jeruzalem, w klasztorze naszym bernardyńskim tam przy grobie Pańskim będącym; wróciwszy

zaś potém do ojczyzny, obrał sobie ciągłą rezydencyę w Wilnie i siedział w celi spokojnie i pokornie jakby pospolity bernardyn: umiał on *expeditissime* po hebrajsku; tak, że często w zawiłych sensach, których rozplątać nie mogli, żydzi udawali się doń, i prosili aby im tłómaczył ich własną mowę: nieodmawiał się temu nigdy ks. *Hromyko*, bo przy każdéj takiéj nauce miał zręczność tłómaczyć im z własnego ich tekstu błędy ich, i konwinkować absolutnie, tak względem próżnéj ich nadziei doczekania messyasza, jako i we wszelkich bajkach i bałamuctwach w ich *misznach* i *talmudach* nagromadzonych.

I *Abel* więc takąż samą drogą za starszemi trafił do ks. *Hromyki:* a poznawszy się z nim dobrze, coraz to częściéj na te lekcye przychodził: bo ks. *Hromyko* w krótkim czasie więcéj go nauczył, niżeli rabini przez lat kilkanaście: uwierzył więc on najprzód w głęboką mądrość swego nauczyciela, a potém powoli tak doń przywykł, że go pokochał jak

swego rodzonego ojca, a nawet czyściéj może i gruntowniéj; dla tego, jak sam potém mówił, że gdy ojciec zalecał mu nienawiść ku wszystkim ludziom, którzy nie tak jak żydzi wierzyli, to ks. *Hromyko* dowodził mu przeciwnie, że wszyscy ludzie są braćmi, a zatem że wszystkich kochać należy, a każdy błąd tajemniczych talmudowych bałamuctw, zbił nie tylko pismem ale i zdrowym rozumem.

Krótko mówiąc *Abel* ochrzcił się nakoniec, i stawszy się z *Abela Piotrem Paschalskim*, bo w dniu paschy czyli wielkiéj nocy przyjął *chrzest Sty*, i niechcąc się odłączać od swego ojca w Chrystusie, przy nim w klasztorze naszym wileńskim zamieszkał.

Póki żył ks. *Hromyko*, wszystko szło dobrze: *Paschalski* codzień bardziéj przyzwyczajał się do klasztornego życia, i wkrótce powziął chęć gorącą wstąpienia do naszego zakonu. Zezwolono na to chętnie, bo miano

nadzieję, że przy ochocie jego do nauk, a instrukcyj ks. *Hromyki*, dójdzie on do wysokiéj sciencyi w kościele Bożym. Lecz na nieszczęście jego wkrótce ks. *Hromyko* umarł, więc nowy klasztorny *frater* zostawszy bez jego opieki, codzień wyraźniéj zmieniał się; tak, że go wkrótce poznać było trudno; bo prócz tego, że z żalu i tęsknoty wybladł i wychudł, ale rzucił nauki, i tułał się po klasztorze jak mara, do nikogo słowa nie przemawiając: podsłuchano tylko przypadkiem, że często sam z sobą prowadził rozmowy dla nikogo niezrozumiane bo po hebrajsku; wyśledzono także, że niekiedy zamknąwszy się w swojéj celce, siedział zatopiony nad księgami także hebrajskiemi, których miał i własny zapas, i po ks. *Hromyce* pozostały: ztąd osądzono że on jest na drodze niebezpiecznéj; i że albo się zwarjuje, albo co gorsza, zgubi swą duszę i do żydostwa wróci — postanowiono zatém wysłać go z Wilna do któregokolwiek na wsi klasztoru, w nadziei że wolna aura,

ostudzi mu głowę, i zrektyfikuje umysł zwichnięty.

Przybył on więc do *Bienicy:* ks. gwardyan nasz wiedział już o wszystkiém; i nie wiem dla czego mnie szczególniéj poruczył, abym nań miał oko i niejakąś opiekę: dla tego starałem się poznać, co zacz w nim i z nim jest? ale w nim już szatan siedział i dręczył go, wziąwszy go właśnie jak na uzdę i ciągnąc k'sobie, choć on jeszcze jakby oburącz trzymając się nauk ks. *Hromyki* przy dobrém się upierał — z takich szalonych kontrowersyj między Ewangeliją i talmudem, taka w jego głowie stała się mieszanina, że częstokroć w sobotę zapomniawszy się kiwał się w kącie po żydowsku; a w niedzielę modlił się z płaczem, przepraszając Pana Boga za sobotę. Ku mnie on więcéj niżeli do kogokolwiek w klasztorze przywykł; bo też i ja podług instrukcyj ks. gwardyana, starałem się ogłaskać go nieco: więc gdy się dowiedział że ja mam puścić się na kwestę, oświad-

czył że mię nieodstąpi i razem ze mną pojedzie.

— Być to nie może bracie Pietrze, rzekłem — kwestarz socyuszów nie wozi i niepotrzebuje; a nie praktykowało się jeszcze, aby dwóch kwestarzów na jednym wozie jeździło.

— Ja, — rzekł on, — będę jegomościa furmanem; bo mnie zawsze tak jak nieboszczyka Hromyki *jegomościem* nazywał, chociem go za to gromił, bratem mu się deklarując; ale już to tak i zostało.

— To jeszcze gorzéj, odpowiedziałem, — chyba jeden drugiego wozić będziemy, bo obadwa bracie Pietrze równi jesteśmy.

— Równi, czy nie równi, — odpowiedział on, — to nic nie znaczy; ja sobie taką pokutę naznaczyłem: pokora grunt wszystkiego! — mówił ks. ojciec mój: kto się poniża, podwyższon zostanie, — powiedział Chrystus; a rabin *majmonides*....

— Co ty pleciesz? — co ty bluźnisz? —

przerwałem mu ostro: — jak ci to razem do głowy przyjść mogło? piękna komparacya? Chrystus i rabin jakiś!

Piotr z zadziwieniem spójrzał mi w oczy, jakby nie pamiętał co powiedział: widać że biedny niepostrzegał się nawet, jak go zły duch z dobréj na złą drogę gładko sprowadzał.

Po chwili milczenia — rzekł on znowu: — pojedziem mój jegomość, pojedziem, a kiedy mnie tu zostawisz, to weźmiesz grzech ciężki na swoje sumienie; bo jegomość za jedne wrota, a ja za drugie: nie będę tu żył z ludźmi, którzy mię wychrztą i relapsem nazywają — wszak jeszcze szlubu z habitem nie wziąłem, mogę więc przeodziać się: włożę kapotę i powiozę jegomościa, bądź łaskaw dobrodzieju wyjednaj mi to u ks. gwardyana.

— Cóż było robić? — poszedłem zatém do ks. gwardyana, i gdym mu powiedział o co idzie; wysłuchawszy mnie, pokiwał on głową i rzekł — niech jedzie z Panem Bogiem; jak

ja uważam nie dobędzie on bernardynem, a może i nie dowozi cię do końca — zgadł jak prorok; — ale o tém niżéj *in ordine* mojéj peregrynacyi.

---

Puściliśmy się więc z bratem Piotrem w podróż; smutno mi jakoś zrobiło się, gdym przejechał bramę klasztorną, obejrzałem się na kościół: — to tak jakbym rodzoną matkę opuszczał; — ale wnet zmówiłem *„pod Twoją obronę...”* modlitewkę moją faworytkę w utrapieniach, i wnet weseléj mi w oczach się zrobiło.

— A dokąd jechać? — zapytał Piotr.

— Przed siebie bracie, — odpowiedziałem; — dla kwestarza każda droga swojska — każda chata — gościna.

## VI.

### Piérwsze spotkanie — Pan Assesor Ptaluteczku — i Szlachcic na łopacie.

Piérwsze niegdyś spotkanie brata Ławrynowicza, z zacnym i wspaniałym rycerzem *Chomińskim*, dobrze mu prognostykowało na dalszą kwestę; moje, jak dziś pamiętam, wcale inaczéj mi się wydarzyło. Wypadało mi przejeżdżać przez miasteczko blizkie Bienicy; w tym samym dniu, gdy tam był kiermasz; a lubo ze wschodem słońca wybrałem się z klasztoru, chcąc przebyć miasteczko nimby tłum się zebrał, jednak mi się nieudało, i musiałem przeciskać się już przez rynek i ulice; a nawet

*prewodyra* mojego *rogacza* wziąść na powroz, aby między wozami nie zbłąkał się i nie przepadł. Wyjechałem przecież na szeroki gościniec za miasteczkiem i już sobie powoli bez przeszkody wlokąc się, mijałem i chłopków i szlachtę, a nawet i zegarkowych mościpanów śpieszących na kiermasz, jak na odpust jaki; nie jeden zatrzymał mię, pozdrowił grzecznie, i dwuzłótkę jeszcze wsunął mi w rękę;— aż tu z daleka słyszę najprzód dzwonek, a wnet postrzegam chmurę pyłu na drodze; więc usunęliśmy się trochę na bok, nadlatuje trójka: szkapki chłopskie aż rozciągają się do ziemi, a na kałamaszce w sterczącéj słomie siedzi jakaś zawzięta figura, i ze skręconego jak waltornia cybucha puszcza gęsty dym w około, jakby mu mało było kurzu, który go okrywał.

— Stój! — krzyknął on — postrzegłszy mnie,— stój ptaluteczku! i własnemu chłopowi zatrzymać się kazał: potém hec z kałamaszki i prosto do mnie.

A minaż jego mina! — ni to jeż, ni to sowa, czyste Boże odpuść straszydło weneckie! Będzie tu kuso koło mnie! — pomyślałem: bo i po kołnierzu, i po bizunie przez plecy jak ładownica przeczepionym i po zacięciu, poznałem, że to pan assessor.

— Zkąd popie? — wrzasnął on.

— Z Bienicy mój dobrodzieju.

— A dokąd? ptaluteczku.

— Na cały Boży świat, mój dobrodzieju.

— A masz pasport ptaluteczku?

— Mam.

— Pokaż — bo widzisz kto ja jestem.

— Widzę — i oto mój pasport — rzekłem podnosząc mu na oczy krzyż, który na piersiach nosimy.

— Stropił się jegomość i raptem przeżegnał się; — ale wkrótce opamiętał się poganin, i rzekł:

To koncept kwestarski: to pasport do nieba; ale tu pokaż ptaluteczku inny, bez którego po ziemi wędrować nie można.

— Innego nie mam mój dobrodzieju,— odpowiedziałem pokornie.

— No, to zawracaj,— zawracaj bez ceremonii do miastecza; a ztamtąd przy assystencyi przyzwoitéj, odeszlę cię na starą kwaterę— kto wie nawet; czy ty bernardyn? może ty szpieg jaki przebrany? podejrzana figura ptaluteczku a jeszcze i zwierzęta wodzisz za sobą. Na to trzeba osóbnego dozwolenia; bo nie dawno wyszło rozporządzenie, że niedzwiedzi wodzić nie wolno.

— Ach! — pomyślałem,— co tu przyczepek i kruczków na jeden raz.— Toż zdaje mi się baran;— rzekłem uśmiechając się.

— Baran! baran! tak tobie zdaje się— a może to i wilk w baraniéj skurze: odpowiedział on serjo.

— A mój dobrodzieju,— rzekłem,— gdyby to był wilk, toby po drodze zaczepiał i nanapadał jadących spokojnie.

Zamiast odpowiedzi buchnął on mi dymem

w oczy, na kwitę widać za tę moję do wilka przytyczkę.

Tymczasem spójrzałem przypadkiem na woz pana assessora; aż poznaję furmana: był to dziesiętnik z bliziuteńkiéj od nas wsi Zaskiewicz, i nawet bratczyk pobożny naszego kościoła, daje mi on znaki na dłoni wcale zrozumiałe; nie widział tego Pan assessor, bo tyłem do swego wozu był obrócony, gdy się rozprawiał ze mną.

Domyśliłem się łatwo jaką mi salwę nastręcza sługa znający widać dobrze sentymenta swego pana; więc idąc za tą radą daną mi na migi — wiesz-co panie assessorze? — rzekłem — odczep się odemnie, sam znasz, że mnie nie słusznie turbujesz; jedziesz na kiermasz, ot woléj wypij tam za zdrowie bernardynów butelkę wina — i wsunąłem mu w rękę te kilka złotówek, któremi mię niedawno poczciwi ludzie obdarzyli.

Scisnął — jakby stopił w garści: — no, rzekł wnet udobruchany — niech cię licho

ptaluteczku! masz zapewna kwestarskie puzdro w wozie, dobądź, zapijem tę sprawę.

— Ani piję, ani wożę, mój dobrodzieju.

— Czy tak? toż ty widać prawdziwie *podezrytelna* figura a nie kwestarz, kiedy jeździsz bez podróżnego krempulsu: modny z ciebie bernardyn! a ten twój furman kto? coś mu z oczu nie po naszemu patrzy— kto on? *generis chamutyni*? co?

I nie czekając odpowiedzi już odchodził; gdy mi przyszedł do głowy koncept, który moje złotówki wyzwolił i nazad mi je wrócił.

— Mój dobrodzieju,— ozwałem się więc zatrzymując go — pytałeś mię o pasport...

— No, nie gniewaj się ptaluteczku; to moja powinność,— przerwał mi.

— Nie tylko nie gniewam się,— mówiłem dalej,— ale chcę jeszcze memu dobrodziejowi naraić zręczność zapytania się o pasport pewnego jegomościa, którego wartoby pociągnąć na antabę, bo nie jednemu assessorowi zalał za skurę; a pasportu pewnie nie ma.

— Jak to? gdzie on? kto on? — zapytał rzezwo.

— Oto jegomość wypatruj na kiermaszu szlachcica po dawnemu noszącego się, w kuntuszu granatowym dobrze wytartym, w czapce na bakier, podsiwiałego już dobrze, ale tęgiéj jeszcze i czupurnéj miny; wścibia się on wszędzie gdzie tłum; gdzie piją, grają w karty, gdzie czasami policya sądzi kiermaszowe sprawy; jegomość wiesz, — tu garścią pokazałem do kieszeni — i szpieguje wszystko: a potém *hajda* na swoją czarno-księżską łopatę i leci z raportem do Wilna, do panów szubrawców, urwipołciów tam jakichciś, tak jak i on sam; a ci, niech ich licho, drukują to wszystko co tydzień jak z pilnego interessu w swoich ***Brukowych wiadomościach***, które zapewna i jegomość dobrodziéj mogłeś czytywać, bo prawie co dom u nas, to najdziesz tę przeklętą półarkuszówkę: jest ona i w naszym klasztorze; a szlachcic na łopacie wymalowany tam na wierzchu z podpisem „*leci*

*a leci*" bodajby kark skręcił! bo to on widać roznosi te pułarkuszówki i z góry rozsiewa po świecie — otoż pewnie on jest i na tym kiermaszu: zdaje mi się nawet żem go widział w tłumie — zlustruj tylko jegomość gromadki koło zielonych stolików, koło bilardów, zajrzyj w ciemne ciupki gdzie zwykle w cichości konsolują się pończykiem ichmość panowie czynowniki niższego choru, a znajdziesz go pewnie i poznasz — więc go wraz *łap* za kark! I pokaż ptaluteczku pasport! nie ma — pokaż dekret jaki ty szlachcic? nie ma — jak tu przybyłeś? na łopacie — dawaj łopatę i w piec ją: a samego jegomościa w turmę, niech nie lata samopas, i nie szkaluje zacnych ludzi. Między nami mówiąc, — dodałem z cicha, — szubrawcy go wykupią; — i tu znowu pokazałem garścią do kieszeni. (1)

(1) Nadto znajome w owym czasie i teraz pamiętne jeszcze *Brukowe wiadomości* i wędrówki szlachcica na łopacie czarnoksięzkiéj dostarczającego do pisma tego najważniejszych artykułów.

Pan assessor słuchał mię jak osłupiały, wytrzeszczył oczy, i cybuch z gęby wypuściwszy trzymał w ręku niedbale; a gdym skończył — słuchaj! — wrzasnął: — ty popie ptaluteczku, pałkuciu, czy djabli cię wiedzą jak tam ciebie nazywać i kto ty jesteś? znam ja wszystko! czy ty rozumiesz że ja taki dureń, że wierzę w szlachcica i jego łopatę? Ale może to ty sam włócząc się po świecie zbierasz plotki, i tym urwisom z pod ciemnéj gwiazdy, szubrawcom, dostarczasz nowinek: może to i ty napisałeś niedawno w brukowych wiadomościach wydrukowany *sąd Salomona* (1) jakoby to mój sąd; tak, że mnie teraz wszyscy w powiecie *Ptaluteczkiem Sa-*

---

(1) Na pewnym jarmarku, włościanin przedał wołu, i przegrał pieniądze wszystkie w kubki jakiemuś szalbierzowi; przyszedł więc na skargę do assesora, który odebrał pieniądze od szulera, i wsadził go w kłodę za to, że oszukiwał włościan; a pieniądze wziął sobie, za karę chłopaka, że szulerował. Brukowa wiadomość opisała fakt ten, i nazwała to *sądem Salomona*.

*lomonem* nazywają — ale mniejsza oto: masz twoje złotówki — i rzucił mi je w oczy — znaj że cudzego niechcę! ale pamiętaj ptaluteczku, że kiedy najdę w Brukowcu nasze dzisiejsze spotkanie się, to tak mi Boże dopomoż, zrobię tobie takie dzieło, że cię ani szubrawce, ani cała wasza kapituła bernardyńska nie wyplącze — jedź do djabła!

— Umyślnie do jego nie pójdę — rzekłem śmiejąc się, i kłaniając się nizko — chyba gdzie spotkam się z nim na drodze. — A więc bądźże zdrów ptaluteczku.

— No, no, — wrzasnął on grożąc mi cybuchem; — jeszcze mię draźnisz! — i poleciał nareszcie, a my także powlekliśmy dalej.

— To jakiś *haman! Holofernes!* — mruczał z cicha po swojemu brat Piotr.

## VII.

### Pan i Poddany.

Już kilkanaście baranów biegło za *rogaczem*, a zbliżałem się i chciałem na noc dosięgnąć do *Wołożyna*, gdzie jest także nasz klasztor, i gdzie oktawę Bożego ciała przebyć postanowiłem: gdy nam szyna na kole pękła; szczęście że blizko jakiejś karczemki, przy któréj i kowal się nalazł: więc kilka godzin spełzło na reparacyi; i słońce brało się już pod zachód, gdyśmy daléj wyruszyli; możebym jednakże dobił się w nocy i dostukał się do bramy klasztornéj; ale się razem z ciemniało i zachmurzyło się tak, że choć palcem w oko; trudno nam było, bo ani jechać

w pocieniku, ani na nocleg się przytulić nie było jak i gdzie? baranki nasze biedne nie widząc ani nas, ani wozu, skupiły się w kuczkę i beczały żałośnie: a tu na dobitkę burza grzmiała już nad nami, i błyskawice jak biczem smagały po oczach; poleciłem się więc opiece Matki Boskiéj i postanowiłem stać na miejscu; w tém, zapewne za Jéj miłosierdziem, postrzegliśmy z boku nam nie bardzo daleko kilka światełek, a szczególnie jedno jaśniejsze nad inne: poznaliśmy zatem, że to być musiała wioska jakaś, do któréj jakkolwiek dostać się potrzeba było, bo i deszcz bujny, kroplisty jak zwykle przed ulewą moczyć nas począł, i pioruny coraz gęściéj i bliżéj uderzały.

Nie zważając więc jak? i kędy? zawróciliśmy się do tych światełek, trzodkę naszą spuszczając na co Bóg zdarzy. Wkrótce po roli oranéj i po śianożątkach jakichciś, dobiliśmy się do płotów, i trzymając się podług przysłowia jak *ślepy płotu*, domacaliśmy się

przecie do wrót, i wjechaliśmy w ulicę wioskową.

Z zadziwieniem posłyszałem dzwonek z drugiego końca wioski do nas zbliżający się; a po dzwięku loretańskim domysliłem się, że to święty *Viatyk* zbliża się do którejkolwiek chaty: i rzeczewiście zbliżał się do téj saméj właśnie, z któréj okienek światełko przewodniczyło nam w ciemnościach; a teraz stało się dla mnie gwiazdą betlejemską, bo mię przywiodło przed Boga.

Posłyszano widać i w chacie ten święty odgłos dzwonka, bo wyszli wszyscy z latarnią na podwórko, a przy jéj blasku postrzegłem na przeciw siebie, jakby mnie drugiego: przybywał to bowiem z Panem Bogiem kapłan naszego zakonu z klasztoru Wołożyńskiego o milę ztąd odległego. Powitał on mnie Krzyżem Świętym; a ja uwenerowałem na kolanach tego wielkiego gościa, który ni w karecie ni w sajecie, ale na prostym wózku i na piersiach ubogiego zakonnika przybywał:

a przecież przynosił chłopkowi skarb, jakiego żaden pan, ani potentat tego świata dać nie może — skarb najdroższy, to jest *spokojną ostatnię godzinę*. Ale to cud prawdziwy, że chmury zapewna od dzwoneczka świętego, rozchodzić się poczęły: noc rozwidniała, a grzmoty uciekając od jego dzwięku, z daleka tylko jakby z gniewu pomrukiwały.

Weszliśmy zatem do chaty.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł kapłan na progu.

— Na wieki wieków! — odpowiedział głosem słabym, ale wyraźnym leżący na łóżku chory; i już tém samém poznałem że to był gospodarz domu, i ojciec całéj gromadki, bo nikomu innemu w chacie nie wolno odpowiedzieć na takie pobożne powitanie, jak tylko samemu gospodarzowi: to jego przywiléj i attrybucya u włościan naszych.

Kapłan obejrzawszy chorego, i znajdując go do spowiedzi gotowym, rozkazał płaczą-

céj żonie jego, aby otworzyła świronek, dla ulokowania na zbożu świętéj *Eucharystyi.*

— Niech, — rzekł on, — dawca na swych darach spoczywa i błogosławi je: (1) co uczyniwszy powrócił do chaty, z któréj wszyscy wystąpiliśmy, bo przyszło do spowiedzi chorego.

Niebo tymczasem rozpogodziło się zupełnie: noc się zrobiła piękna i jasna; poszliśmy więc oba z bratem Piotrem, na odszukanie naszéj trzodki po śladach kędy do wsi przybyliśmy: zacząłem wołać po imieniu naszego *prewodyra* — *Rogacz! Rogacz!* odezwał się on z daleka, a za nim cała gromadka, jakby nas na ratunek wzywała: na zawołanie moje powtórne i bliższe, *Rogacz* przywykły do mojego głosu i ręki, przybiegł ku mnie ochoczo ze swoją kompaniją; więc całą trzodkę odprowadziliśmy szczęśliwie do wioski.

---

(1) Zwykły obyczaj w Litwie w podobnych zdarzeniach.

Około Bożego Ciała noc krótka: cała biedna czeladka téj chaty nie zmrużyła oka, z całéj wsi nawet poschodzili się gospodarze dowiadując się o zdrowiu sąsiada: a tymczasem nim spowiedź odbyła się, nim kapłan odczytał z chorym zwykłe modlitwy przed Świętą Komuniją; a potém litaniję do Najświętszéj Panny, o szczęśliwą śmierć, którą wszyscy uklęknąwszy w chacie za nim powtarzaliśmy, to już i na brzask się wzięło: wkrótce słońce ogniście weszło; i kapłan właśnie ostatnie mu udzielał namaszczenie: oh! pomyślałem sobie, ostatni raz słonko w jego okienko dla niego zaświeciło! ale wkrótce ujrzy on słońce, które nigdy nie zachodzi!... Natenczas mogłem już obaczyć dobrze, i rozeznać oblicze umierającego. Nie był to człowiek zgrzybiały, ale schorzały: bladość śmiertelna na twarzy, ale w oczach jeszcze życie: i Bóg mu zachował do końca łaskę swoją, bo przytomnie modlił się i rozmawiał aż do skonania.

Był to widać człowiek roztropny i poczciwy a wielce pobożny; znał zbliżającą się śmierć swoją, a wszystko co mówił jak dziś pamiętam, bo wszystko było do przykładu, i daj Boże każdemu tak umierać, jak ten prosty a szczery wyznawca naszéj wiary świętéj.

W chatce było czysto i schludno, przybrano ją widać na przybycie kapłana: wysypano świeżym ajerem, stoł nakryto białym obrusem, a ławy i zedelki cieńkiemi namiotkami; nakoniec zapach jałowcu palonego na przypiecku, rozchodził się aż po dziedzińcu, i jakby kościelnym kadzidłem napełniając powietrze, do relikwialnych pobudzał myśli. Żona dogorywającego biedaka, z żalu płacząc rzewnie, a ze zwyczaju głosząc nad nim swe lamentacye, najotwarciéj mu śmierć blizką wyśpiewywała.

— Dość, kochana moja Krystyno,— rzekł on— dość: wiem że wraz Bogu ducha oddam, a chcę jeszcze i ciebie i dziatki nasze pobłogosławić.

W tém drzwi się otworzyły, wbiegła młoda panienka i rzuciła się Krystynie na szyję; a dziewczyna, starsza córka umierającego, chwyciła jéj ręce, i zachodząc się od płaczu całowała je. Krystyna była mamką panienki, jakem się potém dowiedział, a Magdusia siostrą jéj mleczną.

— Mameczko moja kochana! siostrzyczko moja Magdusio: nie płaczcie! — mówiła panienka, sama szlochając — Pan Bóg może podźwignie Marcina, a was pocieszy: dziadunio mój was nieopuści....

Konający chwycił ją także za rękę, i do ust przytulił.

— Panienko kochana! Marynio nasza! — rzekł on, — i ty nie masz matki, i ty sierota! klękaj tu razem, ja i ciebie pobłogosławię razem z mojemi własnemi dziatkami: bo i kocham cię jak własne dziecię moje.

Panienka uklękła obok Magdusi, i przy nich syn starszy już mężczyzna i kilkoro młodszych; choremu jakby życia przybyło:

podjął się o własnéj sile, złożył ręce i wzniósł je w górę; a wzdychał głęboko, widać modlił się w duchu. W takiéj postaci znalazł go wchodzący do chaty pan téj wioski. Gdy ujrzał on na co trafił, przykląkł i sam z cicha między gromadką tak, że go zatopiony w westchnieniach do Boga Marcin niepostrzegł; lecz gdy zniżył ręce i zwrócił oczy na klęczących ujrzawszy natenczas między niemi i pana swojego.

— Ach panie mój! ojcze mój! — zawołał on, — i ty tu z nami! niechże i ciebie Bóg błogosławi! w Imię Ojca i syna i świętego Ducha!

Pan i dziatwa uchylili głowy, gdy on przeżegnał wszystkich.

— Przyszedłem kochany mój Marcinie, — rzekł pan, — obaczyć jak się ty masz po lekarstwach, które ci onegdaj doktor zostawił.

— Oh! nie panie, nie! ja znam, mówił umierający, ja znam po coś tu przyszedł: przyszedłeś pożegnać starego swego i wier-

nego sługę. Niech ci Bóg zapłaci wszystkie łaski i dobrodziejstwa twoje! ojcze mój! dziatki moje tobie w opiekę oddaję!!!

Pan ocierając łzy,— Marcinie,— rzekł— jeżeli już cię Bóg do chwały swéj powoła; ja ci przyrzekam, ja ci przysięgam, że dzieci twych nieopuszczę, i wnukom moim pod błogosławieństwem umierając zalecę, aby potomstwo wiernego sługi mego, w nędzę i biedę niepopadło: służyłeś mnie od lat dziecinnych moich i twoich: potém chciałeś mieć chatę własną, i gospodarzyłeś poczciwie; pohodowałeś dziatki w bojaźni Bożéj. A jeżelim ja w czém tobie zawinił, odpuść mi po chrześcijańsku! daruj dla miłości Pana Boga! zawsze cię kochałem, i teraz kocham; a wkrótce zapewne i ja pójdę za tobą!

— Ach! i ja ciebie panie i ojcze mój kocham: żal mi ciebie— z kim ty bezemnie pogadasz, jak bywało zemną? kto ciebie pocieszy i rozdobrucha? kto z tobą razem na mogile twego jedynego dziecka, litaniję świętą

za jéj duszę odmówi? nie płacz panie, nie płacz! ja wraz przed Bogiem stanę, i modlić się będę razem z nią za ciebie.— Dziatki moje dziatki! ciężko mnie porzucać was! Żyjcie poczciwie; oto wasz drugi ojciec!.. Oj Boże!— i odpadł na łóżko...

Pan trzęsąc się z żalu jak osina, ledwo wymówić mógł „do widzenia się Marcinie!"— i wyszedł; a wkrótce i sługa ten poczciwy spokojnie oddał Bogu ducha.

Wnet potém przybiegł chłopiec ze dworu, i mnie tam zaprosił— pojechałem więc— odbył się nazajutrz pogrzeb Marcina kosztem dziedzica, na którym i sam pan podkomorzy z wnukami (taki był tytuł tego pana) i wszyscy dworscy służebnicy jego najdowali się; a gdy trumnę do ziemi spuszczano, piérwszą garść piasku rzucając on, rzekł.

—„Masz Marcinie ostatnią tę odemnie „za twą wierność zapłatę; resztę niech ci „Bóg w niebie doliczy."

Po trzydniowym u pana podkomorzego od-

poczynku, obdarzony kilką baranami, puściłem się daléj: a z tego zdarzenia przekonałem się, i każdemu powiem, że są jeszcze na świecie i poczciwi słudzy i dobrzy panowie.

---

## VIII.

### Farmazony.

Wołożyn (1) jest już blizko Niemna, za którym Nowogrodzki powiat sławny pszeniczką, i obfitością wszelkich bożych darów. A lubo bracia nasi klasztoru Nieświzkiego dobrze się tam pożywiają około książąt Radziwiłłów i swych możnych panów, wszakże postanowiłem i ja tam poprobować szczęścia, i udało się, nie ma co powiedzieć; a jednak wolałbym i nogą za rzekę nie stąpić, a było to tak:

Wielkie stada owiec pasą się tam po po-

(1) Wołożyn majątek Tyszkiewiczów w powiecie Oszmianskim.

łach, a lubo to owce drogie, bo na nich wełna jak jedwab' i piękne pieniążki biorą Nowogrodzianie za tę wełnę; jednak nie żałowano ich i dla kwestarza, a nim dojechałem do Nieświża nazbierała się taka gromadka, że już z nią daléj jechać niepodobna było.— Poradziłem sobie jednakże, bo zajechawszy do klasztoru naszego Nieświzkiego, gdzie mię wdzięcznie przyjęto, uprosiłem tamtéjszego ks. kustosza, że z kopę moich baranów przyjął w lokatę, i na paszę ze swojemi połączył. Tak więc zostawiwszy z dziesiątek przy sobie dla kompanij *Rogacza*, puściłem się daléj; bo w tych bogatych stronach i kalita napełniła się sporo, i miło było jeździć po tak pięknym kraju.

Tak od komina do komina, a dworów tam gęsto, zajechałem do pana marszałka *Niepokojczyckiego*. Zacny panisko! było to w sobotę: na stole mięsa ani odrobiny, ryb dostatek; lecz że sama imość suszyła soboty, więc jéj respektem i cały obiad był postnym.

— Wiesz co kochany kwestarzu, odezwał się do mnie wśród obiadu pan marszałek, zostań dziś u nas, jutro niedziela, dzień także nie do podróży. Mamy chwała Bogu domową kaplicę, i naszego szanownego księdza Jerzego kapelana, który cię przyjmie na kwaterę; a za to, posłużysz mu jutro do mszy, i odbędziemy razem nabożeństwo, odpoczniesz sobie, a w poniedziałek, jeżeli zechcesz koniecznie, z Panem Bogiem!

— Zawsze staram się panie dobrodzieju, odpowiedziałem, abym w niedzielę gdziekolwiek na mszę trafił; jeżeli więc wola i łaska pańska tak się mi szczęśliwie nadarza, akceptuję pokornie propozycyę, bylem się księdzu kapelanowi dobrodziejowi nie naprzykrzył z kwaterunkiem.

— A w Imię Ojca i Syna! rzekł staruszek kapelan; chyba i z baranami chcesz wleść do mojéj izby, to już natenczas byś mnie wycisnął, a inaczéj pomieściemy się.

— Więc zgoda, dodała pani marszałkowa,

matrona wspaniała, i pani jakich teraz nie widać: a gdy będziesz odjeżdżał księże kwestarzu, obacz się i ze mną, wynajdę i ja cokolwiek na chwałę Boską.

Tym więc smaczniéj zajadałem szczupaka, i wyborném popijałem piwkiem, a odmawiałem wina, do którego nagląc mię pan marszałek powtarzał dawne przysłowie *„post pi-„sces, vinum misces.”*

— Nie kwestarski to trunek jaśnie wielmożny panie, — odpowiedziałem — *„Cerevi-„siam bonam, et magnificum donum”* (1) to i wszystko czém kwestarz kontentować się powinien.

— Oho, — rzekł marszałek, — widać że choć młodyś jeszcze, bywałeś w szkole dawnych kwestarzy, bo masz koncept na pogotowiu; nasz kwestarz Nieswizki, to tylko *pastor bonus* swoich baranów, i nic więcéj.

Cały zatem ten dzień, i nazajutrz niedzielę

---

(1) Piwo dobre, i dar wspaniały.

przebyłem jak w raju, i nabożnie i wesoło. Był to dom pański, który komparować możnaby do domu pana starosty opisanego przez brata Ławrynowicza, choć może nie tak wielkiéj *substancyi i ostentacyi.* Na mszę ś-tą zgromadził się cały dwór, i oficyaliści wszyscy za przykładem obojga państwa swoich, modlili się pięknie i gorliwie, aż serce rosło patrząc, po staroświecku, po chrześcijańsku— a jednak— lecz o tém niżéj.

Gdym w poniedziałek wybierał się w dalszą peregrynacyę moją, pan marszałek dał mi parę dukatów; a imość zawoławszy mnie do siebie— weź, rzekła— bracie kwestarzu, tę sztukę płótna mojéj fabryki domowéj, i mojego blechu, na tuwalnie do ołtarzów waszego kościoła— a jakież to płótno!— precz i holenderskie.

Nie umiejąc już jak dziękować, za takie przyjęcie, i za taką hojność— każ, rzekłem— jaśnie wielmożna pani dobrodziko odemknąć kaplicę, niech jeszcze raz w niegodnéj mojéj

modlitwie poproszę Boga za wasze zdrowie i długie lata.

Tak się i stało — po czém wyprawiłem się za bramę, lecz gdym folwarczny dziedziniec przejeżdżał zastąpił mi drogę pan *Pszonka* ekonom tutejszy, któregom już widział w kaplicy, trzymając w ręku szynkę jak łopatę — masz na drogę mospanieńku, — rzekł rzucając tę ćwierć kabana do kałamaszki.

— *Deo gratias!* — rzekłem.

— *Ad felix videndum* — *mospanieńku* i kwita! — odpowiedział.

---

We dwa tygodnie potém, przejechawszy powiat Nowogródzki w szerz i wzdłuż, a nie kiedy i na ukos, podbliżyłem się umyślnie w sobotę pod Nowogródek: bo w przeszłą niedzielę jakoś tak fatalnie się zdarzyło żem został bezemszy: więc już w następną postanowiłem solennie się pomodlić.

Zostawiwszy więc brata *Piotra* z wozem

i baranami w pobliższéj wioseczce, u jakiegoś poczciwego gospodarza, sam piechotą poszedłem do miasteczka i dążyłem prosto do kościoła.

— Pójdziemy razem księże kwestarzu, — rzekł ktoś dopędzający mnie; — obejrzałem się, aż to pan marszałek, mój onegdajszy dobrodziéj, a z nim też kilku innych panów; niektórzy znajomi mnie także bom do nich zajeżdżał, — po solennych więc a pokornych z méj strony salutarjach, marszałek dowiedziawszy się jak? i po co? przybyłem, rzekł:

— Po nabożeństwie bracie Rafale do mnie na obiad proszę — a nawet, mówił uśmiechając się i poglądając na swych towarzyszy, nie źle trafiłeś do Nowogródka, możesz się tu dziś porządnie obłowić.

Nic nie wiedziałem co to miało znaczyć, ale ujrzawszy w kościele liczną frekwencyę obywatelstwa wytłómaczyłem to sobie *ad mentem* słów pana marszałka, choć to zupełnie co innego znaczyło.

Stawiłem się więc podług rozkazu po nabożeństwie do dworku jego: ale znowu niespodziewanie na dźiedzińcu spotkałem onegdajszego dawcę szynki, kochanego pana *Pszonki* ekonoma marszałkowskiego; a który rad był bardzo temu spotkaniu, i jemu zatem rozpowiedzieć musiałem, jak i dla czego tu się nalazłem, i że idę na obiad do jego pryncypała.

— Dajże pokój mospaneńku,— rzekł on;— jak się tam pomieścisz? dziś u pana marszałka pół powiatu na obiedzie.

— A cóż mam zrobić?— zapytałem.

— Chodź *mospanieńku* do mojéj stancyi, mam pieczeń uczciwą, którą mi moja imość na drogę dała; a i z pańskiéj kuchni podsuplementują nam przysmakami; posilisz się należycie: bo to widzisz *mospanieńku*, marszałek swoim dworem, a ja swoim: on tu marszałkuje, a ja len i siemie jego przedaję.— Żydki kaducznie zacięli się, ale i ja swego nieodstąpię; przyjdzie bodaj przenocować. No

więc proszę za mną *mospanieńku;* a po obiedzie możesz pójść i do pana: powiesz mu żem ja cię zwerbował, i że jadłeś jego obiad, choć z innéj missy. Kompanija u niego trwać będzie aż do wieczora, bo ja wiem co się tam u nich święci— i pokręcił głową— to jeszcze i na kwestę stanie czasu *mospanieńku*.

Akceptowałem zatém projekt pana *Pszonki:* a nadto tak on cóś mi na poczciwego człowieka wyglądał, tak mi postura jego podżyła a w staroświeckiéj kapocie przypadła do serca, żem wolał jego pieczenię, niżeli pańskie specyały, za które możeby mi jeszcze w tłumie, konceptami kwestarskiemi wypłacać się trzeba było; a których u mnie pasz.

---

Stancya pana ekonoma była w kuchennéj oficynie; byliśmy więc w samém gnieździe marszałkowskiego obiadu: okrajały się zatem i dla nas dostatnie porcye; aż tu wchodzi lo-

kaj galonowany, i stawiąc przedemną butelkę wina mówi:

— To pan marszałek dla jegomościa przysyła.

— A zkądże wie pan marszałek, że ja tu jestem?— zapytałem.

— Pan nie widząc jegomościa, siadając do stołu zapytał nas, czyśmy nie widzieli bernardyna, którego na obiad zaprosił: a my jegomościa już znamy, i patrzaliśmy jak pan ekonom prowadził jegomościa do siebie, więc i opowiedzieliśmy to panu: pan i goście żałowali bardzo, że nie ma kwestarza: potém coś z sobą po francuzku gadali, i nakoniec pan dał mi tę butelkę, kazał zanieść jegomości, i powiedzieć że prosi jegomościa nieodmiennie, abyś był u niego na godzinę ósmę wieczorem.

— Nie mogę,— rzekłem,— muszę do wozu mego i do baranów powracać.

— Nie czyń *mospanieńku* tak,— rzekł *Pszonka:*— jeżeli marszałek każe ci być u

siebie o ósméj wieczorem, to nie bez racyi, i zapewna sowite dla ciebie gotuje żniwo: nieodmawiaj więc: baranów *mospanieńku* przez noc wilk niepozrze wszystkich, a musiałeś zresztą dobrze ich tam gdzieś zalokować; przenocujesz zaś *mospanieńku* tu u mnie; łóżko w pogotowiu i kwita.

Przypomniałem ja wtedy co mi pan marszałek powiedział gdym się z nim spotkał, że w dobry czas do Nowogródka trafiłem, i że mogę się tu nie źle pożywić.

— Niechże i tak będzie— rzekłem:— powiedz jaśnie wielmożnemu panu, że spełnię jego rozkazy, ale tę butelkę odnieś nazad, bo widać on zapomniał, że ja wina nie piję.

— A to co *mospanieńku*,— zawołał *Pszonka*— biorąc butelkę do rąk własnych: jaka to poniewierka łaski pańskiéj. Owszem powiedz Jakubie panu, że kwestarz pokornie dziękuje za konsolacyę.

Uśmiechnął się Jakub, uśmiechnąłem się i

ja: a pan *Pszonka* nalał szklankę, łyknął do połowy, posmakował, głową pokręcił i rzekł:

— *Wybornissime mospanieńku!* — Gawędziliśmy zatem z popijającym marszałkowskie winko poczciwcem, gdy ja zapytałem go nakoniec.

— Czy nie wiesz panie Antoni — (bo tak mu było na imię) — dla czego to tak licznie tu zebrało się dziś obywatelstwo?

*Pszonka* na to pytanie spójrzał mi ostro w oczy, jakby go nagle osa ukąsiła, i pociągnął od razu taki haust, że całą szklankę połknął aż do dna; potem zamyślił się trochę i rzekł.

— A wasyndziejowi *mospanieńku* na co ta wiadomość? może wiem, może nie wiem, ale nosa w sprawy pańskie nie wścibiam, i znam dobrze cnotę nad cnotami, a życzę pamiętać *mospanieńku* że ciekawość pierwszy gradus do piekła. Idę, mówił daléj, wstając i biorąc czapkę, dobijać targu z żydkami o len,

a wasyndzieja *mospanieńku* czekam z łóżkiem po konferencyi z marszałkiem i kwita.

Nie rozumiałem coby w taki ferwor wprowadziło raptem pana *Pszonkę;* ale nie mysląc nad tém długo postanowiłem pójść z paciorkami do zaścianku, gdziem mój oboz zostawił, wiorst z parę niedaleko, a na ósmę powrócić, co i spełniłem; uregulowawszy tam wszystko z bratem Piotrem, na zachod słońca znowu byłem w stancyi pana ekonoma; doczekałem tam aż ósma na wieży kościelnéj wybiła, i natenczas poszedłem do pana marszałka.

Tenże sam lokaj drzemał w sieni, a obudzony mém wejściem wprowadził mię do piérwszego pokoju, i poszedł donieść panu o mém przybyciu; przychodząc wnet marszałek — dobry wieczór, rzekł, uprzejmie podając mi rękę: czemużeś z nami razem niechciał jeść obiadu?

— Najpokorniéj dziękuję jw. panu, — odpowiedziałem: — zawszem ja jednak pańskim chlebem syt.

— No, a teraz dajcie tackę kwestarzowi,— rzekł on do służby,— którą wnet podano,— i chodź za mną.

---

Wieczór był ciemny i chmurny, przeszliśmy prawie po omacku, i stanęliśmy przed bramą domu, od którego chociaż był na dziedzińcu, świeciło aż na ulicę; tam przy latarni zatrzymał mię pan marszałek i rzekł:

— Stój tu w bramie przy latarni, i każdemu wchodzącemu pokaż talerzyk, postoisz z godzinę, a próżnego nie odniesiesz; masz na początek — i rubla na talerzyku położył.

Nie smakowała mi jakoś taka kwesta, do żebraniny podobna; dla czegoż mnie między kompaniję nie wprowadził? pomyślałem i chciałem odejść — oh! i bodajbym był tak uczynił!!! ale znowu przyszło mi na myśl, że niewdzięczniebym sobie postąpił, i zagniewaćbym mógł mego dobrodzieja.

Gdy tak waham się w myślach, nie wiedząc co uczynić, nadchodzi jakiś jegomość.

— A tacka księże kwestarzu?— rzekł on. Wysunąłem ją; on mi na nią drugiego rubla położył, i odszedł.

Zrozumiałem natenczas, że to rzecz umówiona widać na obiedzie u pana marszałka: bo zkądby on wiedział że ja mam tackę? zostałem zatém na miejscu, i zajrzałem przez bramę na dziedziniec. Stał tam blizko budynek nie mały, z którego wszystkich okien świeciło jak na roraty, i do którego coraz to nowi wchodzili goście, a każdy uśmiechając się, lub pozdrawiając mnie grzecznie, kładł rubla na tackę: to mnie tylko dziwiło, że chociaż tam kilkadziesiąt osób weszło, tak że ja garść już rubli z tacki do kieszeni przesypać musiałem, cicho jednak było wewnątrz, i szmer jakiś tylko do mnie dochodził.

Nagle, uderzając mię ktoś po ramieniu z tyłu, zaszeptał:

— *A mospanieńku*, i wasyndziéj tu pod farmazońską bramą? może *mospanieńku* myślisz sfarmazonić się także, ale ostróżnie! o-

strzegam ostróżnie! proby djabelnie ciężkie! każą na ćwieki skakać, przez ogień iść, przez wodę brnąć, ze szkieletem trupim siedzieć w pociemku! niedotrzymasz *mospanieńku*, niedotrzymasz — i kwita.

Obejrzałem się więc, i postrzegłem przy świetle latarni pana *Pszonkę*, którego zgadłem wprzód i po mowie jego, ale nie rozumiałem co on mowił, tém bardziéj, że wydał mi się być podpiłym; widać że borysz dobitego targu o len zmieszał się mu w głowie z marszałkowskiém winem.

— Co wasan gadasz? — rzekłem; — jakie farmazony? tu mnie postawił pan marszałek z talerzykiem, na który ot kilkadziesiąt rubli zebrałem od gości wchodzących do tego domu — kto tu mieszka?

— He, he, he, — rozśmiał się *Pszonka* — kilkadzieśiąt rubli! kilkadziesiąt rubli — obaczym czy jutro nie znajdziesz pełnéj kieszeni trzasek zamiast rubli — oho! czy słyszys *mo-*

*spaneńku?* czy słyszysz?— rzekł chwytając mię za ramię.

— Słyszę, — rzekłem — zdaje się że młotkiem stukają, jakby ćwieki wbijano do ściany.

— Cicho *mospanieńku;* na miłość Boga cicho! bom ja głośno mówił. Oj ćwieki! ćwieki! ale nie do ściany wbijają tam ćwieki. Widzisz wasyndziéj *mospanieńku*, sądzą oni tam zdrajców, i za karę wbijają im ćwieki do łbów; djabeł potem zalecza te rany tak, że i znaku nie ma; ale już taki człowiek, tak często zbija się z tołku, że i my choć nie farmazony, przecież ten jego defekt poznając, mówiemy — *„on ma ćwieka we łbie;"* a to zdrajca farmazon zaklętym ćwiekiem piętnowany. Lecz jeżeli jeszcze raz zdradzi, to oni jego portret przebijają nożem, a choćby on był wteneczas i na drugim końcu świata, to już niewykręci się, i wnet jemu *caput* i kwita.

Oho! słyszysz *mospanieńku*, łańcuchy! dalibóg łańcuchy brzęczą! ahu! ciemno! wszelki

duch Pana Boga chwali! — i przeżegnał się drżący *Pszonka.*

Na ten brzęk łańcuchów i mnie jakoś dreszcz przeszedł po skórze: przeżegnałem się także.

— Otoż teraz,— szeptał przerażony *Pszonka*,— otoż teraz *mospanieńku* sam Lucyper z łancuchami zawitał, otoż teraz sam szatański rozgardyasz.— Żegnaj *mospanieńku*, żegnaj na miłość boga! zawsze to jednak ręka wasyndzieja duchowna i koło ołtarza chodzi — żegnaj ten dom przeklęty, bo dalibóg i dotrzymać trudno tu — strach! i uciekać trudno; bo nogi jakoś niestatkują.— Oto wlazłem *mospanieńku* — *ni u zad, ni u piered* — i kwita.

Sam nie wiedząc co robię, przeżegnałem ten dom

— Ehe! otoż masz! — rzekł nagle *Pszonka* chwytając mię za pasek — otoż masz! świetluteńko znowu — oto dogodziłeś im widać krzyżem świętym. Dogodziłeś *mospanieńku!* a bramy piekielne nie poruszą go, jak powiada nasz ks. kapelan....

— Idźmy ztąd, — rzekłem ja nakoniec, — bo choć nie rozumiem co tu się dzieje, i co wasan prawisz, ale coś tu jest bodaj nie dobrego.

W tém jakiś jegomość idący przez ulicę z latarnią w ręku postrzegł nas i mijając rzekł.

— A co tu robicie? i bernardyn jakiś? szpiegujecie jak uważam farmazonów? no strzeżcie się gdyby oni was razem z sobą na łysą górę nie porwali, — i rozśmiał się.

— Mości dobrodzieju, — rzekłem ja zatrzymując go, — powiedz mi, zmiłuj się, bez ogródki; czy to prawda że w tym domu zebrani są teraz farmazony?

— Najprzód księżulu, — odpowiedział on, — nie farmazony, ale *frankmassoni*, a po polsku *wolni-mularze;* a ten dom to ich *loża*, czyli miejsce zbierania się tego towarzystwa.

— W którym *mospanieńku* djabeł króluje — przerwał *Pszonka*.

Rozśmiał się znowu ten jegomość i zmie-

rzywszy nas obu swą latarką od stóp do głowy, rzekł:

— Mogę was moi panowie upewnić, że tyle oni z djabłem się znają co i wy, ale niepodsłuchujcie, bo to na uczciwych ludzi, a zwłaszcza na duchownych nie przystoi.

Odeszliśmy więc, strach czy borysz, poplątał nogi panu *Pszonce* tak, że musiałem go podprowadzać.

— Ratuj *mospanieńku* — mówił on,— ratuj i kwita.

Doszliśmy przecie bez szwanku do kwatery.

---

Po kilku słowach owego nieznajomego jegomościa, nie mogłem już wątpić, że ruble moje są farmazońskie; a zatem bez długiego namysłu postanowiłem odnieść je rano panu marszałkowi, ale mi w głowie pomieścić się nie mogło, jak to stać się mogło, że taki pobożny chrześcianin i katolik jak on, należał do takiéj piekielnéj sekty. Nie wiedziałem ja

wprawdzie, i po dziś dzień niewiem, co oni tam robią w tajemnicy, ale wszakże słyszałem że to wyklęte heretyki, i na wspomnienie *farmazona* zawsze jakieś mrówie przejmuje człowieka.

Wysypałem więc moje ruble na stół, nie licząc nawet; było ich blizko sta.

No, no, piękne pieniążki!— rzekł *Pszonka:*— cały rok jeżdżąc tyle nie zbierzesz; tylko czy wiesz *mospanieńku* jaką inkluzę ma farmazoński rubel? nigdy jego nie wydasz.

— Jak to?— zapytałem.

— A tak *mospanieńku:* kupuj za niego co chcesz i płać— on znowu u ciebie w kieszeni; jeden sposób pozbycia się takiego wiecznego gościa jest, że trzeba go włożyć w worek pszenicy, i z nią razem przedać, to już pójdzie w świat i nie wróci się.

Śmiałem się z takich wszystkich zabobonów, które plótł *Pszonka:* (1) bo mając krzyż

---

(1) Zabobony powszechne między pospólstwem o frankmassonii.

święty na piersiach, nie lękam się szatana, ni wszelkich spraw jego, ale jednakże do pieniędzy dotykać się nie śmiałem.

— Mniejsza,— rzekłem,— o te ruble; wydawać ja ich nie będę, bo i przyjmować nie myślę, i do klasztoru ich nie powiozę.

*Pszonka* ciekawie patrzał mi w oczy.

— A cóż *mospanieńku* z niemi zrobisz?— zapytał.

— To juz mnie wiedzieć— odpowiedziałem— ale powiedz mi jegomość, jak tu pogodzić pobożność i przykładny chrześcijański ład w domu pana marszałka, z jego farmazoństwem— czy spowiada się pan marszałek?

— Jak to *mospanieńku* czy spowiada się? cóż to wasyndziéj myślisz, czy on niedowiarek jaki? Prócz wielkanocnéj, przynajmniéj cztéry razy na rok i pan i sama imość nasza, i panicze gdy są w domu, i cały dwór, przystępujemy do Ś-go Sakramentu: oho! dałby nam ducha ks. kapelan, gdyby który chybił.

— A jednakże pan marszałek farmazon: a

zatem jak sam mówiłeś ma z djabłem konszachty, więc jakże to pogodzić?

— Jak pogodzić *mospanieńku?* jak pogodzić?— mówił to poziewając, to kręcąc wąsy i namyślając się *Pszonka — mospanieńku... Mospanieńku* — widocznie nie mógł mi dać rezolucyi, nakoniec rzekł: — a kiedy nie możesz pogodzić, to i nie godź.

Rozśmiałem się znowu na taką solucyę mojéj kwestyi, i zapytałem jeszcze.

— Czemuż mnie jegomość nie ostrzegłeś, i nawet niechciałeś odpowiedzieć na moje pytanie; dla czego tu się zebrała tak liczna kompanija panów? choć wiedziałeś oczewiście, że to wszystko farmazony, i wszyscy przybyli tu do swojéj *loży*, jak tam nazywają.

— Wiedziałem *mospanieńku*, wiedziałem, ale i ja ocierając się między niemi, nauczyłem się po farmazońsku dotrzymywać sekretu.

— Nie zawsze jednak,— odpowiedziałem— nie zawsze: bo tam pod bramą wygadałeś mi jegomość wszystko podobno, co wiesz.

Oho *mospanieńku*, to co inszego; tam pod bramą pewnie mnie djabeł za język ciągnął, bo tam *in circuito* tego domu jego panowanie.

— Ej, — rzekłem, — czy nie borysz to tylko na len rozwiązał jegomości usta?

Nie rozgniewał się poczciwy *Pszonka*, owszem uśmiechając się rzekł:

— Jedno przy drugiém *mospanieńku*, jedno przy drugiém — ale teraz borysz ten ciągnie mnie oto tu: a zatem dobranoc *mospanieńku!* — i jak stał wyciągnął się na łóżku — ja uczyniłem toż samo, na przygotowaném osobném dla mnie, odmówiwszy moje paciorki, i przykrywszy habitem farmazońskie ruble.

---

Nigdy nie miałem nocy, takiéj niespokojnéj — „*sen mara, a Pan Bóg wiara*" mówiłem ja sobie przebudzając się bez ustanku od snów jakichciś piekielnych. To ruble na stole pod habitem burczały jak koty, albo sy-

kały jak węże, to znów jakiś straszny farmazon szeptał mi coś na ucho, i młotkiem stukał w głowę; to byłem w jakimś lochu między trupami, a każdy trup do mnie się wyszczerzał, że aż pot zimny mnie oblewał; chciałem już obudzić pana *Pszonki* chrapiącego na całą izbę, ale mi wstyd jakoś było: doczekałem przecież dnia, i tém bardziéj poznałem, że mnie z temi rublami nie wozić się, bo bym z bezsenności i strachu umarł bez czasu.

Gdym więc obaczył, że u pana marszałka okienice już były otwarte, poszedłem doń niosąc pieniądze w chustce.

— A witam,— rzekł on,— witam! dzień dobry — w czas trafiasz kochany bracie na kawę— jakże wczorajsza kwesta?

— Odnoszę ją jw. panu — i wysypałem ruble na stół.

— Jakto? co to znaczy?— zapytał zdziwiony marszałek.

— Jw. panie,— rzekłem, — daruj! i nie

gniewaj się, ale ja tych pieniędzy przyjąć nie mogę, i nie liczyłem nawet.

— Dla czego?

— Oto bo.... bo — jąkałem się sam niewiedząc jak tu powiedzieć — oto bo — (nareszcie odważyłem się) — bo to pieniądze farmazońskie.

— Cha, cha, cha, — rozśmiał się marszałek do rozpuku — ach! głupiś mój kwestarzu, głupiś! jałmużna zkądkolwiek pochodzi, jest zawsze dobrym uczynkiem.

— Jw. panie, — rzekłem ośmielony, — i faryzeuszowie dawali jałmużnę.

— Zwarjowałeś, — rzekł z niejakim gniewem marszałek, — ktoś tobie bałamuctwa w głowę nabił, a ty wierzysz i odrzucasz dar pożyteczny i z najlepszych chęci wam ofiarowany. A po krótkiem zastanowieniu się dodał — wiesz co? jesteś jak cię poznałem roztropnym i poczciwym człowiekiem; zostań sam *wolnym mularzem*, to się przekonasz że tam nic przeciwnego naszéj świętéj religii

nie ma — ja sam ciebie wprowadzę, rzekł powstając.

— Ach! *Jezus Maryja Józef!* — krzyknąłem i uciekłem za drzwi.

Słyszałem znowu śmiech marszałka, pożegnałem się na prędce z *Pszonką*, nie odpowiadając nawet na jego kwestye, i nieoglądając się ruszyłem spiesznie za bramę, w bojaźni aby mię marszałek nie dognał i gwałtem nie zrobił farmazonem.

Gdym wyszedł za miasteczko, jakby mi kamień spadł z serca, i spokojny dostałem się do moich baranów.

---

Kiedy wróciłem późniéj do klasztoru, gwardyan nasz tamtoczesny ks. Borejko, który już dawno w Bogu spoczywa, witając mię łaskawie, bom więcéj kopy baranów przyprowadził: rzekł — ale *charissime*, nie tylko barany ale i ruble kwestowałeś; przysłano nam tu sześćdziesiąt cztéry ruble srebrne pocztą,

zebrane przez waszeci w *Nowogródku*. Nikt nie podpisał się na posyłce, zrozumieliśmy ztąd, że nie jednego to człowieka, tak sowita ofiara, ale musiała być składka jakaś; cóż z tego, kiedy nie poszła nam w pożytek.

— Jak to? — zapytałem ciekawie.

— Ot tak — pojechałem do Oszmiany, aby odebrać z poczty te pieniądze, a razem uprowidować się w rozmaite klasztorne potrzeby, na zakupienie których, w sam czas przychodził ten sukurs. Tam przyjęte na poczcie ruble odliczywszy, wpuściłem z workiem do kieszeni w habicie; cieżyły one mnie — wiesz waszeć że chwała Bogu głowy sobie nie zakrapiam, więc czujny zda się i baczny byłem na mą kieszeń przechodząc przez targ. Jednym razem poczułem że cóś w niéj lekko — szust tam rękę.... nie ma worka — osłupiałem!!! obejrzę się około siebie.... nie ma nikogo — wywracam kieszeń — caluteńka, ani najmniejszéj dziurki; — chybaż djabelska to sprawa, pomyślałem — zrobiłem kweres po

targu, ale to nic nie pomogło: jedném słowem, *dictum factum*, pieniądze przepadły; a ja wróciłem do domu, z tém z czém i wyjechałem, to jest z próżną kieszenią.

Natenczas ja opowiedziałem ks. gwardyanowi całą procedencyę tych rubli; sciskał on ramionami, dał mi burę za kwestę pod bramą, i nakoniec kiwając głową, powtórzył kilka razy — *male parta! male parta!*

---

## IX.

### Bajronista.

Zawsze i od wrót samych, poznać dawniéj można było, do jakiego wjeżdżałeś dworu, i jakiego gatunku mieszka w nim gospodarz? Teraz trudniéj to przychodzi, bo i w tym jakaś jednostajność się zaprowadza: na dziedzińcach przed tém równych, czystych i zielonych, teraz zasadzają krzaki rozmaite, gęsto a w niełądzie, tak, że choć tam budy

staw na cietrzewie. Gdybyż to tylko u możnych panów, to z panem bogiem, oni mają komu dopatrzyć ich gospodarstwa, ale i brat szlachcic stroi swój dziedzińczyk w *pląby* czy *klomby* (bo dalibóg nie wiem dobrze jak tam te zarośle po modnemu nazywają) i widzieć nie może z domóstwa swojego, ani swéj czeladki, ani swéj stodoły, ani swojego spichrza; a imość dobrodzika jakby zrzekła się widoku swych krówek, swych gęsi, kaczek i indyków, na które wszakże dobrze patrzećby powinna, zasłania je lasem, wązkie tylko w nim wycinając ścieżki, które jeszcze z pańszczyzny wyczyszczać i piaskiem żółtym wysypywać potrzeba. Za czasów mojéj kwesty tego nie było, jeszcze zwłaszcza u szlachty, a przynajmniéj nie tak powszechnie jak dzisiaj; powiadają że tym sposobem kraj pięknieje i kwitnie, ale po moim słabym rozumie i po staroświeckim przysłowiu *„nie sławna chata wuhłami, ale pirahami”* mnie zdaje się że kraj każdy dostatkiem, gospodarstwem, obfitym urodzajem

bożych darów, a nie ogródkami pod oknem i na dziedzińcach kraśnieje, kwitnie i sławi się.

Bywało gdy wjeżdżam na jaki dworzec szlachecki, spotyka mię najpiérwéj *pies;* szczeknie on kilka razy, jakby oznajmując panu o gościu, a jeżeli nie rzuca się na konia i baranów, i sam jest dobréj tuszy i karmiony, to już dobry znak: bo tu gospodarz dba widać o sług swoich wiernych i nie żałuje im chleba; a nadto gdy wszędzie gdzie okiem się rzuciło schludno, ogrodzono, opatrzono, nakryto, i choć *ubogo ale chędogo.* Gdy wnet baranki moje rozbiegały się po dziedzińcu bez przeszkody, to już pewny byłem, że i one dostaną kompanistę, i konik dostanie obroku, i sam kwestarz choćby trafił po obiedzie, znajdzie zwykłą porcyę *„na bernardyna.”* (1) Ale kiedy do szlacheckiego domku wjeżdżasz przez

---

(1) Gospodynie dawniejsze wydając obiady kucharzowi, dorzucali zawsze porcye zapaśne, na niespodzianego gościa: i to się nazywało *na bernardyna:* a weszło w przysłowie.

murowaną bramę; kiedy zamiast poczciwego gospodarskiego sobaki, wyskoczy na przeciw ciebie chudy chart, albo wyjące gończe, i barany twe rozpędzać poczną, gdy po małym dziedzińcu szeroka do ganku wycięta droga; słowem, gdy wszystko na co spójrzysz małpuje pańskość: to już nie jedź po téj drodze i zawracaj konia; bo tam u gospodarza najczęściéj pustki w *komorze* w *oborze* i w *gumnie*, a w głowie pstrokato. W głowy takie albowiem dwojakiego gatunku zajeżdża *państwo* i łamie w nich klepki; albo tam znajdziesz hardopyszka z zadartym nosem, który z tobą i mówić nie zechce, albo, co najgorsza i najczęstsza między młodemi paniczami, znajdziesz tam *per modum* filozofa, co to *ni do Boga, ni do ludzi*, który ci duby smalone pleść będzie, i takie niesłychane sentencye, że od nich uszy zatknąwszy ucieczesz;— prawdziwe filozofy mospanie: są to niby panowie i bogacze na *mądrość*, jak inni są bogacze na fortunę i pieniądze. Otoż jeżeli który

jest prawdziwie mądrym, to i dobrze; ale mają oni swych adherentów i naśladowców między licznym autorskim chorem, jak tamci między szlachtą, którym chce się koniecznie paryerować z témi mędrcami: więc w konsekwencyi dostają zawrótu głowy, jakby kto im wbił do łba owego farmazońskiego ćwieka, o którym mówił *Pszonka*, a ja śniłem.

Te wszystkie refleksye i konkluzye moje, wynikły z doświadczenia — *experto crede* — jak powtarza często nasz stary definitor; a na dowod opiszę tu moją jedną taką wizytę i rozprawę, z takim filozofem, któremu dałem bernardyńską admonicyę, szkoda tylko że nie bernardyńskim paskiem.

---

Po Nowogrodzkiéj farmazońskiéj sprawie, postanowiłem zwrócić się już do domu, i dążyłem do Wołożyna po zostawione tam moje barany, zajeżdżając wszakże to tam to ówdzie po dworach, w których jeszcze nie byłem.

Dnia jednego przed południem, przemyśliwając o obiedzie, dojrzeliśmy na boku z drogi białe kominy, więc drożyną ku nim wiodącą, zawrócił się brat Rafał.

Wkrótce wjechaliśmy w ulicę brzozową i przybyliśmy przed wrota. Tam stanąłem podług zwyczaju, i piechotą udałem się do dworu; a lubo żaden pies na przeciw mnie nie wyskoczył, jednak dziedziniec cały zasadzony krzakami, nie dobrze mi jakoś prognostykował; wszedłszy w te zarosle, posłyszałem w gęstwinie głos wykrzykujący:

— O *Baranie! Baranie!* Boski *Baranie!*

— Oho, — pomyślałem sobie, — postrzeżono mię widać z daleka, i gotują już barana; a pobożny gospodarz nazywa go boskim, jako ofiarującego się dla sług bożych. Na ten głos więc puściłem się przez krzaki, i stanąłem przed młodzieńcem leżącym i rozrzuconym na nizkiéj kanapce z darni; obwinięty niedbale w bławaty, miał on na głowie czerwoną sukienną jarmułkę, jak u Tatarów wi-

dywałem, a na nogach papucie złotem i jedwabiem w różne esy i floresy wyszywane; leżała też przy nim książka jakaś, szpargał papieru i ołówek.

Gdym się pokazał, spójrzał on na mnie — ale jak? aż mnie mróz przeszedł; nawiedzony, czy co, pomyśliłem; i nie spuszczając ze mnie tego obłąkanego a płomienistego wzroku, który mnie wskróś przeszywał; ani odpowiadając na moje zwykłe „*Niech będzie pochwalony.*”

— Mnich! — zawołał — mnich? zkąd tu?

— Nie mnich — odpowiedziałem, — ale pokorny bernardyn kwestarz.

— A! rzekł, włóczęga żebrujący na próżniaków!

— Nawiedzony, pewnie nawiedzony — pomyśliłem znowu, — bo bluźni.

Sam nie wiedziałem co począć, bom nigdy nie widział nawiedzonego; więc i ciekawość brała, i strach razem — nakoniec przeżegnałem go.

— Co to jest? za co mię żegnasz? — zapytał.

— Boś nawiedzony młodzieniaszku;— rzekłem,— bluźnisz, zły duch przez ciebie gada.

— A tak,— rzekł on na wpół powstając,— nawiedzony — masz racyę; ale nawiedzony duchem, którego ty nie znasz i niepojmujesz: duchem światłości, nieśmiertelności i chwały!

— Nie, nie nawiedzony, pomyśliłem sobie: bodaj tylko warjat — piękniem wpadł! ukłoniłem się więc, chcąc uciec.

— Stój!— zawołał on — stój! doczekaj mojego ojca; on ci zapewna da barana.

— Ha, więc to nie jegomość jesteś tu gospodarzem?— rzekłem nieco ośmielony.

— Fe, co za głupi wyraz, *jegomość* — znieść go nie mogę: nazywaj tak mojego ojca, gospodarza, który jako człowiek pozioméj intelligencyi, gospodarzyć tylko umie, i mnie chciałby do téj nędznéj ziemi, i do pracy nad nią gwałtem nachylić.... Matka — poczciwa niewiasta: broni mię przed ojcem, choć mię nierozumie... Kocha mnie: ale cóż

mi po jéj miłości? pospolitość! głos natury— i nic więcéj.

Teraz zrozumiałem po trosze co to za ptak? trzebaż go jednak zgromić, pomyśliłem, bo czwartego przykazania nie szanuje.

— Górno latasz młodzieniaszku,— przerwałem więc,— górno latasz! nazwałeś mię włoczęgą, a poczciwych zakonników próżniakami; sam zaś widać jesteś hultajem, i będziesz włocęgą, bo na chleb sobie zarobić nie będziesz umiał, ale nadto, grzeszysz śmiertelnie poniewierając tak rodziców twoich, którzy w tém tylko chyba są winni, że ci nie dali poczciwego chrześcijańskiego wychowania, i na modnego filozofa wyhodowali.

— Nie, nie, bracie kwestarzu,— odezwał się głos za mną, i wyszedł z za krzaków mężczyzna podżyły, spokojnéj i poważnéj postaci a szlachetnego lica — pokłoniłem się mu pokornie, bom poznał wnet gospodarza domu, a on rzekł.

— Witam, witam serdecznie niespodzie-

wanego gościa, powracając z pola obaczyłem za bramą twoich baranów, domyśliłem się więc że cię tu znajdę, a podchodząc dosłyszałem ostatnich słów twoich, podbudzonych widać niedorzeczną elokwencyą mojego syna. Wychowanie staraliśmy się dać mu bogoboyne a przyzwoite, i w domu własnym nie miał innych przykładów; cieszyłem się widząc w nim od dzieciństwa ochotę do książek, a jeszcze bardziéj cieszyłem się, że się dobrze pojął do cudzoziemskich języków, w których, jak wszyscy mówią, daleko większa mądrość niżeli w naszym.

Synek tym czasem uśmiechał się szyderczo, niepowstając nawet przed ojcem.

— Ja, — mówił daléj ojciec, — żadnego cudzego języka nie umiejąc, nie mogłem dośledzić co on czyta, a tym czasem on się przemądrzył, i wychowanie jego...

— Wychowanie moje! wychowanie! — przerwał porywczo młodzik zrywając się z siedzenia; — ojcze! nie rozumiesz mnie! ja się

sam wychowałem! Duch mój, który długo dręczono nędzną rutyną, uderzony jak iskrą elektryczną słowami nieśmiertelnych wieszczów, a szczególniéj tego orła Albionu *Bajrona*, poczuł swą siłę i możność, i objawił się we mnie, i mnie samemu gieniuszem poezyi....

— Czy rozumiesz księże kwestarzu? — zapytał mię ojciec.

— *Preter propter* mości dobrodzieju: tylko tego *orła z Albionu* nie spenetrowałem.

— A już mi on uszy tym orłem przeswidrował; on tak nazywa poetę Angielskiego *Bajrona*.

— A który mię nauczył,— perorował daléj młodzik,— patrzeć z wysoka jak on, na świat i ludzi— i jak on, pogardziłem światem i ludźmi — a odtąd....

— A to mi kaznodzieja! pomyślałem.

— Odtąd,— przerwał mu ojciec,— stałeś się próżniakiem i rarogiem, i cobyś miał mnie staremu pomagać w domu i za domem, to mar-

nujesz wiek swój młody, nas smucisz, a ludzi śmieszysz.

—Ludzi!—zawołał znowu porywczo syn,—ludzi! Oto moje wyznanie wiary o nich — posłuchaj ojcze, i ty *głupcze w habicie* — więc porwał szpargał swój z ziemi i czytał z ferworem:

„O wy ludzie! wy psy! wy gorsi
Od psów: bo chytrzy i skorsi,
Napaść, i kąsać i dusić,
Kto się wam podda — o nie ja!
Nie — próżna wasza nadzieja,
Do pracy dla was mnie zmusić!
Nie — jam nie wół wasz do pługa,
Jam nie niewolnik, nie sługa,
Bym z skarbów, które mam w sobie
Wam miał nieść podłe haracze!
Wrzeszczycie że nic nie robię,
Że wiodę życie próżniacze.
Wrzeszczcie — czcza wasza rachuba!
Próżniactwo moje — to chluba!
To roskosz dla mnie! nie przeto
Że mi lenistwo smakuje.
Nie! lecz że wielkim poetą
Być mogę — jestem — bo czuję
Że nim być mogę — lecz niechcę,

Boście wy tego nie warci,
Jak pieśni anielskiéj czarci!
Złoto mię, cześć wasza nie łechce:
Oklask wasz — hańba nie chwała!
A moja pociecha cała
Jest w tém, że ku naszéj sławie
Mogąc dać tyle, nie z siebie
Nie dam, i nic nie zostawię:
Lecz wszystko z sobą zagrzebię.
Tak, jakbym właśnie dla tego,
Chciał skarby świata całego,
Posiąść, jego mądrość całą,
I wszystkie tak zwane cnoty,
By nic wam z nich nie zostało:
Wy nizkie, ciemne istoty! — (1)

— A co? słyszałeś panie bracie?— rzekł obracając się do mnie ojciec — słyszałeś? mleko mu pod nosem nie oschło, a już znienawidział świat i ludzi, którzy mu nic złego nie zrobili.

— Syn jegomościa dobrodzieja chorym jest, — rzekłem.

— A dla Boga, gdzież tam? zdrów, zdrów

(1) A. E. Odyniec.

jak koń, je za dwóch, zwłaszcza matczyne przysmaki, która na nieszczęście wierzy w jego rozum, i pieści go jak osobliwość.

— Pleciesz mnichu,— odezwał się i sam wierszopis:— jam zdrów i na ciele i na umyśle.

— Otoż to młodzieńcze,— rzekłem,— że na umyśle nie spełna zdrów jesteś.

— Cóż to? zwarjowałem?

— Nie, do tego jeszcze nie przyszło, ale przyjść może; jeżeli pan ojciec nie użyje prędkiego sposobu i lekarstwa.

— Jakież to lekarstwo?— zapytali oba: ojciec troskliwie, a syn z miną uszczypliwą.

— Ja umiem na pamięć perskrypcyę,— rzekłem,— napisaną niegdyś dla młodzieży, przez ks. biskupa *Naruszewicza* wierszem, i jeżeli wola będzie posłuchać, to powiem.

— Wierszem?— zawołał zdziwiony młodzian:— *Naruszewicz* dobrze władał językiem.

— Nie wiem jak on władał językiem,—

odpowiedziałem,— ale dobrze uczył władać narzędziem bardzo pożytecznĕm na choroby młodości.

— No mów tę ciekawą *perskrypcyę* księże kwestarzu,— rzekł ojciec,— słuchamy; a więc stanąłem w kroku, i mysląc:— no paniczu! oddam ci za *głupca* w *habicie*— z równym jako i on swoje wiersze ferworem zacząłem:

**Oda do Bizuna.**

„O z wieków cudotworny synu byczéj skóry!
„Złych duchów exorcisto! poprawco natury!
„Stróżu durnéj młodzieży!
*(i kłaniając się wierszopisowi nizko, niedomawiając, rzekłem)*
„Proszku doskonały,
„Na upor, muchy w nosie,
*(iterum ukłon głową i ręką)*
„Miłośne zapały."

— Głupiś popie, z twemi wierszami,— rzekł młodzik i chciał odejść, ale ojciec zatrzymał go biorąc za rękę i mówiąc:— Nie Teodorze, nie, kwestarz słuchał do końca twoich wier-

szy, więc i ty jego dosłuchać musisz — zatem kontynuowałem.

„Pod jakimkolwiek słyniesz na świecie imieniem,
„Czy cię kozak nazywa plecionym rzemieniem,
„Czy lach basem bolesnym, czy swym obyczajem,
„Dziki z Krymu pohaniec ochrzcił cię nahajem,
„Tyś był wszystkiém przed czasy, gdy hruby sarmata
„Nie wysyłał po rozum do obcego świata
„Swych dzieci, ale przodków chwalebnym nałogiem
„Bez wielkich kosztów, miewał kańczuk pedagogiem.
„Moc twoja jak misterne dłoto, pracowicie
„Krzesząc wiory i w martwe pienki wlewa życie:
„Ty polor, ty lustr dajesz i wdzięki powabne,
„Ty w grzeczną młodzież Bartki zamieniasz nie zgrabne;
„Rura, niechluj, basałyk, wnet francuzem został,
„Gdy z kółka makarem, pan ojciec wychłostał!
„Gdzież twe szerokowładne znikło panowanie?
„Płaczą rzewnie strapione boćki i ormianie:
„Byłeś na dworach między najdroższemi sprzęty,
„Wecując na kobiercu

*(tu giest i ukłon do panicza)*

„Młode wiercipięty.
„Aż miło wspomnieć jak to bywało przed laty,
„Kiedy usiadł za stołem marszałek wąsaty,
„Na sądy z czerwonego w żupanie atłasu;
„A dobywszy groźnego z pod żołądka basu,
„Zgromadzonym mołojcom na gody niewdzięczne

„Wyliczał z kalendarza, zasługi miesięczne:
„Tyś z słowem grubiańskiém wyrwał nie ostróżnie.
*(Tak naprzykład jak i panicz dopiero, nazywając mię głupcem w habicie).*
„Tyś swój i pański chował sprzęt nie ochędóżnie.
„Tobiem mocno zakazał z panfilem się bratać.
„Tobie szachrować.— Tobie pokryjomu latać.
„Tyś plotkarz.— Tyś łgarz czysty — a tyś natręt zbytni.
„A waści zasmakował bardzo trunek żytni.
„Panicz się troche przekradł. A ten miły szpaczek,
„Po co to o pułnocku zalatał do praczek?

„Więc gdy wszystko opowie na te opłakańce
„Wtém pleczyści za kmotrów wnidą potrzymańce:
„Iwan Karet podporca, kwiat między hajdony,
„I pajuk jegomościa, Marcin podturczony,
„Toż Matiasz masztalerz, stangret Opanasy,
„Zdolne męże z niedźwiedziem w silne iść zapasy:
„Zaszczepią drzwi na rygiel, kloc po środku stanie
„Hałas, tertes, obietnic świętych ponawianie!..
„A on licząc po czwierciach bolesne dziesiątki
„Samorodnym indychtem wrażał cnót pamiątki
„Oddycha, przypomina, nieodstąpi kęsa
„Puki się leniwego nie narąbie mięsa.

„Bito wszędy, i młodź też lepszą była bita,
„Czego pijar nie dobił, albo jezuita
„Dwory poprawowały: a gdy duch zacięty,
„Nie dał się zgiąć na szkolne i na dworskie pręty;

„Wam żołnierze ostatnia zlecona robota,
„W waszym ogniu dać jeszcze probę tego złota!
„Tak przez różne przechodząc pletnie i batogi,
„Tracił wiek wpułszalony zwolna swe nałogi;
„Aż się też pożegnawszy z namiętności tłumem,
„Począł za przewodniczym iść tylko rozumem.“

— A tego przewodnika i tobie młodzieniaszku życzę, — rzekłem na końcu i pokłoniłem mu się pięknie.

— A co?— rzekł ojciec śmiejąc się serdecznie, — to lepsze niż twój *bajron.*

— To barbarzyństwo,— wykrzyknął on,— niegodne uszu ludzi wysokiéj intelligencyi, a kala świętość poezyi, gdy się nią śmie nazywać.

— Ale zkądże księże kwestarzu nauczyłeś się téj perskrypcyi?

— Bo nam niegdyś uczniom szkoły klasztornéj, nasz ks. professor zadawał to na pensę, a skoro kto pensy nie wydał, to mu ją w praktyce wrażał.

— Wybornie,— rzekł znowu ojciec, — tu

jednak lekarstwa twego użyć nie możemy, bo go w całym domu niema.

— A mości dobrodzieju — odpowiedziałem, — gdy idzie o zdrowie godnego syna pańskiego damy temu radę; u nas w klasztorze zdarzają się takoż kazusy podobnych chorob, wypada czasami albo złego ducha exorcyzmować z głowy durnéj młodzieży, albo muchy im z nosa wypędzać, albo twardy upor miękczyć: to w braku samego lekarstwa używamy bardzo skutecznie naszego domowego surrogatu, to jest bernardyńskiego paska z ogórkami.— *Purificat mentem* (1) mój dobrodzieju i doskonale leczy, więc i ja oto udzielę mojego ochotnie, do wiadomego użycia.

Rozśmiał się znowu ojciec, — zasłużyłeś na barana kochany kwestarzu, rzekł, zasłużyłeś i każę ci najtłuściéjszego wybrać; syn odwrócił się i pogwizdywał pod nosem — raptem krzyknął:

---

(1) Czyści umysł.

— Barany! barany! przebóg barany!

Spójrzeliśmy, alić trzodka moja rozbiegła się po krzakach, i chciwie objadała listki.

— Przebóg! — wykrzyknął znowu pan Teodor: — jam te krzewiny własnemi rękami sadził! własnym potem i własnemi łzami polewał! a teraz nędzny zwierz je niszczy.

— Niechby i zupełnie zjadł, — rzekł ojciec, — bo Bóg wie na co one tu potrzebne, zasłaniają mi tylko gospodarkę.

— Pan Teodor pobiegł skwapliwie wypędzać baranów, a rzucił niedbale swój szpargał na ziemię, który ja podjąłem; to i został aż dotąd u mnie. Ujmując kłopotu poecie wziąłem prewodyra za rogi, i wyprowadziłem za bramę; za nim poszła cała gromada, do któréj zacny gospodarz, wnet swojego barana dołączyć kazał; a lubo zatrzymywał mnie na obiad, wszakże unikając nie miłych dysput, zostać niechciałem, i zalecając tylko moje lekarstwo dla synala, pożegnałem ojca.

## Colloquium drugie u ks. kustosza.

---

### X.

#### Idea i Fantazya — Potok podziemny.

Niecierpliwy ks. kustosz po razy kilka pytał mnie, czy daleko postąpiłem w méj pracy? a nakoniec onegdaj w niedzielę rzekł mi:

— No *frater Rafaele*, przynieś wasze dziś wieczorem do mnie coś już napisał; będzie ks. jubilat, bardzo on ciekawy twego autorskiego talentu, i zaprosiłem pana prezydenta, naszego sąsiada: znasz jaki to godny i rozumny weteran; on będzie wybornym a praktycznym sędzią naszym, posłuchamy i pogadamy.

Przyszedłem więc podług tego rozkazu

wieczorem, niosąc pod pachą mój seksternik. Pan prezydent powitał mię łaskawie, ksiądz jubilat uśmiechał się poglądając na mnie z ukosa i zażywał tabakę, a ks. kustosz dał mi szklankę herbaty w rękę.

— Znajomy — rzekł kustosz do prezydenta — panu nasz brat Rafał, lecz teraz rekomenduję go jako naszego domniemanego autora; przepowiedziałem panu jaką mu zadałem pensę, obaczemy teraz jak ją nam wyda?

— Słuchamy, — rzekł prezydent.

— Siadaj więc bracie oto tu między nami, — rzekł kustosz mieszcząc mię przy stole, — i zaczynaj.

Trochę mię mitrężył ten pan prezydent, ale przeżegnawszy się nabrałem serca; rezolutnie zatem zacząłem lekturę, i kontynuowałem ją bez przerwy. Gdym za każdym rozdziałem odpoczywał i popijał herbatę, ks. kustosz powiadał tylko: — daléj! — daléj! — i tak aż do końca — a gdym wszystko przeczytał, ks. jubilat spał zwiesiwszy głowę na piersi;

pan prezydent brwi marszczył i przykąsywał usta, a ks. kustosz poglądał to na mnie, to na prezydenta, tarł czoło i widocznie namyślał się, a wszyscy milczeli.

— No, jakże tam daléj? *wecował na kobiercu młode wiercipięty* — przemówił ocknąwszy się jubilat; widać zasnął był na tym wierszu; rozśmieliśmy wszyscy. Nakoniec po namysle, rzekł ks. kustosz:

---

— A widzisz bracie Rafale żem ci dobrze powiedział, gdyś się bronił od pisania, żeś nie po budach niedźwiedzich, ale po ludzkich domach kwestował, a w niejednym dotykałeś i ocierałeś się o rozmaite kwestye towarzyskie, z których każda przyczynia się do obrazu czasu w którym kwestowałeś i do dzisiejszego jako sukcessora po tamtym. Dziś niektóre z tych kwestyj dojrzały i przeszły *w czyn;* niektóre są pod nieustannym rozbiorem, niektóre się przerodziły, ulegając tak nazwanemu

*postępowi*, który jest godłem naszego wieku; ale zarody prawie wszystkich szczególniéj codziennych i powszednich, przebijały się już natenczas. Wszystko dziwnie i nagle zmienia się i przemija w naszym czasie,— mówił daléj ks. kustosz;— w naszych towarzystwach, w naszych obyczajach, w naszém codzienném nawet życiu. Kilka zaledwo dziesiątków lat rozdziela kwestę Ławrynowicza od kwesty brata Rafała, a jakże one dalekie obrazem i pojęciem. Kwestarz nie mędrzec; pobieżne tylko widoki snują mu się przed oczyma; on jeżeli je zbiera i opisuje, nie wchodzi jednak ani rozważa głębiéj ich przyczyn, ani ducha z którego się one rodzą; ale obrazy Ławrynowicza tego nie wymagają; one odzwyczajonym nam i z podań już tylko świadomym tamtych czasów, oryginalnością, kolorytem i prawdą same biją w oczy i same się tłómaczą, a przywiązują wspomnieniami jeszcze niewygasłemi w sercach. Twoje któreś przeczytał, i dalsze jeżeli je pisać będziesz, są i być

muszą tém, czém i jakie było towarzystwo w czasie twéj kwesty; bezbarwne prawie, zamierające, żadnemi szczególniejszemi faktami nie odznaczające się: tak, że gdyby ktokolwiek książkę twą, jeżeli ją napiszesz, złączywszy z pamiętnikami brata Ławrynowicza, czytał jednym ciągiem, różnicę tak widoczną piérwszego dzieła od dalszéj kontynuacyi, przypisaćby mógł różnicy talentu autorów. Ty sam w twych ekskuzach, któremiś od pracy wymówić się chciał, brak treści kwestarskiéj przywodziłeś za przyczynę, a jednakże z widocznego teraz porównania was obu, i głębszego pojęcia rzeczy téj wynika krótka i zwięzła definicya, razem i różnicę między wami, i przyczynę téj różnicy zajmująca — to jest:— Ławrynowicz kwestował po *fantazyach*, a ty po *ideach*.

— *Non intelligo reverendissime*,— (1) ozwał się ks. jubilat.

---

(1) Nierozumiem.

— W rzeczy saméj mości ks. kustoszu, to jaśniejszego potrzebuje wytłumaczenia,— rzekł pan prezydent:— bo zdaje mi się że i *fantazya* bez *idei* być nie może.

— Nie prezydencie,— mówił daléj kustosz,— nigdy dzieckiem fantazyi nie była *idea stała;* następuje ona zwykle, i u nas nastąpiła po zniknieniu téj wesołéj przewodniczki życia, i gasi jéj ostatki, ale nic po niéj w spadku nie bierze sobie, ani przyswaja. *Idea* gdy ogarnie całe narody, staje się *duchem czasu;* fantazya biega od narodu do narodu i gości tylko w każdym czas niejaki: u nas bodaj najdłużéj gościła.

Życie pełne, szerokie, swobodne, niewyrozumowane, braterskie i szlachetne, dobroduszne i szczere; rozmaite codziennym czynem i animuszem, choć podobne powszechnym narodowym obyczajem. Takiém było życie ojców, a tém bardziéj dziadów naszych, po którego ostatkach kwestował brat Michał. Ale gdy ono powoli gasnąc, znikło na koniec...

— A dla czegoż? i jakim sposobem znikło? — przerwał prezydent.

— Oho! o tém szeroko święty *Dawid* pisał, — odpowiedział kustosz, — i sam panie prezydencie lepiejbyś to niżeli ja wytłómaczył. Komu siódmy krzyżyk na czole, i kto nie w murach klasztornych, ale publicznie żyje, ten musiał być obecnym i ostatniemu między nami tchnieniu ducha przeszłości i swobodnéj *fantazyi*, i napływowi obcych *idei*, które nas samych w sobie zasklepiły.

— *Idea* więc jakem to powiedział następuje po *fantazyi* lecz nie dziedziczy po niéj: z *fantazyą* jednoczemy się naturalnie, z *ideą* sztucznie; z piérwszą sercem, instynktem, z drugą rozumem, a raczéj rozumowaniem. *Fantazya* naśladuje, *idea* zaraża: *fantazya* raz zamarła, nie wskrzesi się już bodaj nigdy; *ideje* rodzą się jedne z drugich, wiążą się, spokrewniają się, różnią się i jednoczą, walczą niekiedy z sobą, i godzą się, giną nakoniec częstokroć, ale zawsze złém lub dobrém

potomstwem obdarzają ludzkość i towarzystwo. My po przejściu narodowéj *fantazyi*, własnych nie wyrobiliśmy *idei;* cudze były gotowe rozszerzone po całéj Europie, więc je małpim obyczajem przyswoiliśmy sobie; już na zarody téj *idei* zachodniéj walczącéj u nas natenczas z pańskim poczciwym animuszem, natrafił i brat Ławrynowicz w domu starosty. Wkrótce opanowała ona wszystkie klassy społeczności naszéj, rozumie się prócz chłopów, bo ci po francuzku nie uczyli się, i odtąd owczym pędem brnęliśmy za cudzoziemszczyzną.

— Aleśmy przecie ks. kustoszu dobrodzieju dobrnęli dziś do swojego,— przerwał znowu prezydent.

— Tak,— rzekł kustosz,— jak zapatrzyliśmy się na obcych, zajętych tylko sobą, chwalących się własną przeszłością, a poniewierających naszą; chwalących się własnym sensem i rozumem, a nam go odmawiających; trafiliśmy za łaską bożą na *ideę*, abyśmy się także rozpatrzyli w sobie i za sobą, abyśmy

do własnych, nie do cudzych głów chodzili po rozum: i na *drugą*, również szczęsliwą, abyśmy od nich to tylko nasladowali i przyswajali sobie, co nam pożytecznėm i właściwėm być osądziemy.

W takim rozbiorze znaleźliśmy chwała Bogu, obfity skarb cnót rodzinnych dotąd zaniedbany i poniewierany, i mądrości rodzimėj dotąd nieuszanowanėj; więc z zadziwieniem przekonaliśmy się, że nie mamy czego zazdrościć obcym, że jako ziemia własna własnym chlebem nas wykarmić może, tak i cnoty własne mogą wykarmić duszę naszą i wznieść ją ku wszelkiemu dobru, i wszelkiėj doskonałości, byle je z miłością i pracą uprawiać i rozszczepiać. Pojęcia te są dziś powszechne i najpiękniejsze dają owoce, a jeszcze piękniejsze nadzieje, ale nie było jeszcze ich ani zarodu gdy kwestował brat Rafał.— Po wielkim paroksyzmie wojennym, był to u nas czas chorowitėj niedołężności; trącał się więc on o rozmaite *ideje*, to nierozważnie przyswajane

w młodzieży, jak naprzykład *bajronizm:* to o jakąś manię bez celu i bez skutku upowszechnioną, jak naprzykład *frankmassonia* u starszych; to nakoniec o pospolite wady samolubstwa, jak u pana assessora ***ptaluteczku;*** które obrazy obyczajów, w krytykę zmieniają.

— Trącił się jednak,— rzekł prezydent— i o jedną poczciwą, to jest ojcowskiego obejścia się panów z poddanemi, która dziś zmieniła się w ***czyn*** świadczący w obliczu Boga i ludzi, że chętnie i ochotnie poświęcamy nasz interess na ofiarę chrześcijańskiéj ludzkości, a zatém że ją mamy w duszy i w sercach.

— Tak, trafił na dom jeden,— rzekł ks. kustosz, do którego zły przykład nie doszedł.

— Dom jeden!— przerwał powstając rezolutnie prezydent— i dom jeden mowisz ks. kustoszu, i jesteś w błędzie; a podzielasz błąd ten z wielu innemi, których zdaje się być zadaniem ubliżać przeszłości i teraźniejszości naszéj, ukrywać w cieniu wszystko co dobre, a objawiać wszystko co naganne, i z których

każdy jak doktor złowróżby, okazując wrzody na skórze pacyenta, chce dowodzić że w nim, cała krew zepsuta. Tymczasem tak nie jest; byliśmy słabi, nierozważni, niekiedy nadpsuci obcymi przykładami, jakeś to sprawiedliwie powiedział ks. kustoszu, ale nigdy źli z natury. *Fantazye* nawet nasze, gdyśmy byli samemi sobą, czasami swawolne, ale nigdy nie były złośliwemi: bo gruntem serc naszych jest, i była zawsze wiara prawdziwa i szczera, a we wszelkich codziennych zdarzeniach i postępkach, wysokie oszacowanie siebie samych, swojego imienia, swéj dostojności, a jedném słowem swojego szlachectwa, na piérwszym były względzie.—To *drugie* uczucie, modyfikowało się *piérwszém;* i dla tego zło było w nas wyjątkiem, wyjątki te nawet były rzadkiemi, i dla tego imiona wyjątkowe w tym względzie, okryte nienawistną pamięcią, doszły podaniem aż do naszych czasów; a gdyby były i częstsze, to wyjątki nie stanowią całości, bo całość była zawsze poczciwą.

Znam ja, bo przez wiek mój długi, byłem świadkiem wszystkich przejść i przemian stosunków naszych z włościanami; przepowiem więc je wam najszczerzéj, abym wywiódł cię ks. kustoszu z mylnych wyobrażeń, dość dziś zresztą pospolitych, a tyczących się szczególniéj wewnętrznego ducha, i uczuć naszych w téj sprawie. Dzieje te są bez głośnych faktów, uważny tylko postrzegacz notować je i zatrzymywać mógł w swéj myśli; jest to śledzenie źródła i tajemniczego biegu podziemnéj krynicy, która gdy się wydobędzie na powierzchnię ziemi, wszystkim już staje się widoczną, a idzie tylko o wiadomość, czystem-li jest źródło z którego bierze początek?

— Jeżeli woda téj rzeki jest czystą i słodką, to i źródło być musi dobre i czyste — odezwał się przecie ks. jubilat.

— Wniosek bardzo naturalny,— mówił daléj przezydent, — a jednakowoż w téj okoliczności od wielu zaprzeczany: zejdźmy więc do tego źródła.

*Patryarchalnemi* były stosunki naszych przodków z poddanemi; cóż znaczy to słowo, *patryarchalność*, to nie niewolnictwo. Jest to miłość i łagodność chrześcijańska ze strony rządców, a przywiązanie i ufność ze strony rządzonych; i taki w rzeczy saméj był niegdyś stosunek między panem i chłopkiem jego.

Urodzenie rozdzielało te dwie kasty głęboką przepaścią, ale tę przepaść zapełniała miłość chrześcijańska, za którą idąc przebywali ją panowie i z ojcowskiém sercem wnosili do chat włościan swoich troskliwość, radę, pomoc wszelką, i pociechę; przechodzili ją wzajemnie i włościanie, niosąc śmiało do dworu swoje potrzeby i troski, pewni opieki i wsparcia. Prócz tego wzmacniały tę zobopólną życzliwość okoliczności domowe, zwłaszcza w miernych szlacheckich rodzinach. Tam niańka panienki, tam faworytna sługa pani, wydana za mąż za faworytnego myśliwca jegomościa, tam dziatwa wiernego

włodarza, na którego staraniu i poczciwości, całe pańskie gospodarstwo i cała chudoba leżały; i temu podobnie a tak dalece, że słudzy i poddani dobro i mienie pańskie nazywali *nasze*, i dla tego chętnie strzegli go i na nie pracowali; a pan mówiąc *moje chłopki*, wymawiał to nie w znaczeniu własności, ale w takiem jak się mówi: — *moje dzieci*, *moi bracia*, to jest, w myśli serdecznéj, która wszystko co kocha przyswaja.

— Złote czasy panie dobrodzieju, złote czasy! — rzekł ks. kustosz — ale....

— Rozumiem, — przerwał nie dając mu dokończyć prezydent, — chcesz mówić, ale czy wszędzie tak było? No, to miejże na uwadze ks. kustoszu, że ogół narodu i ducha powszechnego, nie zaś szczegóły maluję: a jak świat światem i ludzie ludzmi, wszystkich na jedną formę nie zlejesz; lecz w téj okoliczności i naówczas, jakem to już nadmienił, mała bardzo liczba od téj formy odskakiwała.

Otoż macie gniazdo owéj podziemnéj krynicy, któréj biegu doślezdzamy, a któréj czyste wody wpłynęły jeszcze i do serc naszych w dojrzalszéj naszéj młodości; bo uczucia te patryarchalne przelewając się w obu klassach z pokolenia na pokolenia, jeszcze i do nas starszych doszły.

Lecz wkrótce potok nasz wrył się w mniéj czyste warstwy, a mówiąc wyrozumialéj, stan wyobrażeń moralnych zmieniać się począł; a stan materyalnych potrzeb wkradającym się zbytkiem codzień zwiększany, do coraz ściślejszego zajmowania się gospodarstwem i ciągnienia zeń coraz większych dochodów przymuszać począł dziedziców, a zatem i do coraz ściślejszych obowiązków włościan. Rwały się więc już wprawdzie ogniwa pięknego wieńca łączącego dotąd właściciela roli z témi którzy mu plony z niéj zbierali, lecz z tegoż samego pilniejszego i czynniejszego gospodarowania wynikł zdrowy wniosek i *idea* że od stanu zamożności włościan zależał i stan dziedziców;

a tak interes zastąpił serce. Skutek materyalny prawie tenże sam, bo wzbudzający takąż samą troskliwość pana o byt jego chłopków, ale moralnie zeszliśmy daleko niżéj. Na objaśnienie stanu tego i różnicy przychodzi mi na myśl przykład.—Oto dajmy że we wsi jakiéj pomorek na bydło zabił co do sztuki dobytek włościan; dziedzice w obu peryodach wsparliby gospodarza, ale dziad i ojciec kupiliby mu natychmiast krówkę dojną aby miał mléko dla dzieci, i swego wydatku za dług by mu nie policzyli, syn zaś kupiłby mu wnet parę wołów, aby miał czém i pańską i własną ziemię orać, i wydatekby swój na dług włościaninowi zapisał: oba więc by go wsparli, może nawet drugi skuteczniéj, ale piérwszyby tylko wdzięczność i modły nieszczęśliwego zjednał.

Tak interes wybudzony wzrastającemi potrzebami, wprowadził w gospodarstwa szczelniejsze obejścia się i rachunek codzienny oziębiający i zniechęcający włościan; za nim

weszły niedowierzanie i nieufność ku panom, od któréj bardzo już blisko do nienawiści....

---

Ale kraj jednakże ubożał; właściciele ziemi upadali i bankrutowali, majątki wielkie rozdrabiały się na małe schedy, na miejscu jednego pana, rodziło się kilkanaście, a czasem i kilkadziesiąt nowych panków; a każdy na swoją rękę męczył odłogi sobie wydzielone, aby mu jak najobfitsze rodziły plony. Przyczyny tego powszechnego natenczas bankructwa i wynikłego ztąd drobiazgowego podziału kraju, czyli eksdywizyów, są jeszcze w świeżéj pamięci; i to inna materya któréj dotykam dla tego tylko, że w tym fatalnym trzecim peryodzie, potok nasz wrył się w najgorszą warstwę, to jest w napływową. Improwizowani bowiem nowi dziedzice napłynęli na ziemię, bez innych celów i usiłowań, jak wynagradzania sobie przymusowo na niéj lokowanych kapitałów. Usiłowania te powięk-

szyły zapewna massę ziarna w kraju, ale też powiększyły i pracę około niego, a zatém i znoje włościanina, poglądającego na nowego pana z którym go żadna przeszłość nie łączyła, nienawistnie, a często z poniewierką, jeżeli zwłaszcza był to parweniusz, w którym ekonomski pierwiastek przebijał się w każdym kroku (a takich było bardzo wielu); i nastąpiło jakieś roztrojenie, w którém zdawało się że los włościan najmniéj nie obchodził właścicielów; a jednakże w tymże samym czasie, potok nasz zaczął wybuchać na wierzch, i to inicyatywą samejże szlachty.

Peryody te ściśle ograniczać się nie dają: wszelkie bowiem *ideje* jak mgły lub chmury nieograniczają się regularnym zakresem: z jednéj strony nikną, z drugiéj się rozszerzają, tu się rzedzą, tam gęstnieją; ale za niemi jest słońce, które częstokroć gorętszym promieniem niespodzianie i na wskróś je przebija. Tak właśnie i tu się stało; wśród téj powszechnéj a pozornéj jednak otrętwiałości

na losy włościan, przypadły sejmiki gubernskie 1817-go roku, na które po dziesięciu delegatów, to jest czoło z każdego powiatu wybierano. Z mojego byłem sam między niemi, więc jak dziś pamiętam, gdy na jednéj sessyi wniesiono projekt uwolnienia włościan z poddaństwa. Okrzyk powszechnéj zgody zabrzmiał w sali; jedna tylko znalazła się oppozycya, a ztąd niejakie zamieszanie spowodowało zawieszenie wyborów; lecz po dniach kilku znowu otworzono izbę, a uwiadomiony o wypadku błogosławionéj a nieśmiertelnéj pamięci Cesarz Aleksander, przyjąwszy łaskawie i pochwaliwszy zamiary szlachty, rozkazał zapytać każdego z nich, czyli się zgadza na zniesienie poddaństwa? Marszałkowie więc powiatowi rozesłali delegatów z tém zapytaniem do wszystkich obywateli: jakiż rezultat okazał się z obliczenia odpowiedzi? dobrze pamiętam liczbę nawet, oto za uwolnieniem było podpisów *1,469*, przeciwnych zaś osób *80;* widzicie więc różnicę ośmdziesiąt na

przeciw półtora tysiąca. Zaiste nader mało wyjątków!

Potem zdawało się że wszystko ogłuchło, ale *idea* postępem czasu wzmocniona, którą się i rząd przejął już, trwała jednak. Z niéj wyniknęła regulacya inwentarzy i powinności włościańskich; a czynność ta, uchylając nadużycia dziedziców, dała poznać włościanom że samowolność panów względem nich ustała, że i panowie mają władzę nad sobą, do któréj oni w krzywdach swych uciekać się mogą; jakoż i uciekają się rzeczywiście.

Tak powoli szły rzeczy ku ostatecznemu rozwiązaniu, które oto teraz daj Boże szczęśliwie się dokonywa. Wszystko to, mówił daléj prezydent, jest już dzisiaj przeszłością, treścią do dziejów tego kraju, ale w tych dziejach nie można zostawić piętna hańbiącego na pamięć całéj klassy narodu, która na nie nie zasłużyła, któréj prawość i chrześcijańskie cnoty, objawiały się zawsze w téj materyi szczerze otwarcie i szlachetnie, któréj

zatem obwiniać i spotwarzać nie godzi się za grzechy pojedyńczych indywiduów.— Niech cierpi kto zasłużył, ale nie wszyscy za jednego lub za kilku!!!

— Teraz nastąpią inne peryody,— przedłużał prezydent — daleko ważniejsze; bo tu wejdzie na scenę i w nowe życie klassa ludności, nie liczona dotąd w narodzie, dla którćj szranki dobrowolnie i ochotnie sami otwieramy. Prawa które dla niéj i dla siebie piszemy, któż wie czyli w praktyce dostatecznemi się okażą? nie raz je może zmieniać jeszcze przyjdzie po doświadczeniu, a jakikolwiek los ztąd dla nas wypadnie, abyśmy w każdéj przemianie zachowali tę prawość sumienia, i tę czystość duszy, która ojcom i dziadom naszym zastępowała prawa, a nam uległość prawom ułatwi.

---

Skończył prezydent, i po niejakiem milczeniu odezwał się ks. jubilat.

— *Dixisti sermonem* (1) panie prezydencie.

— Które, dozwol pan,— rzekł ks. kustosz, że ja skończę:

Przepaść tę,— mówił on zatem,— o któréj rezonowałeś prezydencie, między szlachtą i włościanami, a którą niegdyś zapełniała miłość i życzliwość wzajemna, na któréj potem interes wątłe położył kładki; dziś ją ma zapełnić prawodawstwo, i tak ją zasypać i wygładzić, aby po niéj obu stronom bezpecznie przechodzić można było: niestety! może tylko dla wzajemnych rozrachunków... a bodajby nie dla wzajemnych sporów i kłótni. *Quid leges sine moribus?* (2) powiedział kiedyś stary *Cycero.*

— Z téj temy,— przerwał znowu jubilat— choć nie ewangielicznéj, możnaby wziąć kazańko osobne i długie— *Quid leges sine mo-*

(1) Powiedziałeś kazanie.

(2) Co po prawach bez obyczajów?

*ribus?* powiada mędrzec pański — a któż tam będzie wertował wszystkich mędrców pańskich, dla zadania fałszu kaznodziei!

— I od razu kłamstwem zacząć naukę — rzekł kustosz.

Jubilat uśmiechnął się i zażył tabaki.

— Otoż ja kazania mówić nie myślę, — kontynuował kustosz, — bo mi nie idzie o filantropiczne komunały, których dziś wszędzie nasłuchać się można. Potrzeba ofiar! potrzeba ofiar! wykrzykują dziś i powtarzają jedni za drugimi; ofiarując je ponieść w uszczupleniu dochodów swoich. O! nie w tém najgłówniejsze ofiary, do których przygotować się powinniśmy. W obyczajach właśnie naszych znajdziemy co ofiarować mamy. Potrzeba najprzód odrzec się miłości własnéj, i owéj *buty pańskiéj*, z którą się rozkazywało poddanym swoim, a któréj nie było ni w sercu, ni w słowach, ni w obejściu się z chłopkami przodków naszych, w owe czasy, które po opisaniu twojém prezydencie złotemi na-

zwaliśmy. A nie jest to jedna z najmniejszych ofiar! między dumném i szorstkiém *rozkazuję* do którego nawykliśmy, a grzeczném, jeżeli nie pokorném, *proszę*, stoi pycha i samolubstwo, z któremi codzień się kłócić, i codzień je poskramiać przyjdzie.

Potrzeba będzie odrzec się *lenistwa*— mamy jeszcze wielki kapitał, któregośmy prawie nie dotknęli dotąd, to jest *pracę:* da on nam lichwę, ale użyć go trzeba pilnie, i niedać się w niéj zastępować najemniczym, a nigdy szczerym usługom; pracować myślą, okiem i rozsądkiem własnym około samych siebie i około własnéj ziemi, która naówczas zrównoważy nam pewnie i nagrodzi ubytek, łatwo dotąd przychodzących dochodów.

Potrzeba nakoniec odrzec się fałszywego wyobrażenia, jakiego bez rozwagi trzymamy się, lub zdajemy się trzymać, o włościanach naszych:—*klassa to ciemna, nie rozumna, nie oświecona*— powiadamy: a przecież chło-

pęk ma dosyć rozumu na swoją potrzebę — rozum ten jego składa się z naturalnéj *przenikliwości* i *ostróżności* w stosunkach z panami: piérwsza wspiera się drugą — ulega on rozkazowi, bo musi, ale w duszy osądzi ten rozkaz sprawiedliwie i trafnie. Obie te własności jego, poczytujemy mu za wady, które jednak udawadniają, że on zrozumiał dobrze stan swój dzisiejszy i swe dzisiejsze położenie, i stosować się doń umie; ale i tu przez siebie samych tylko wpłynąć nań i poprawić go możemy. Niech włościanin w sercu i w każdym kroku pana znajdzie zawsze i nieodmiennie szczerość, sprawiedliwość i dobroć, niech przenikliwością swoją nigdy w nim niczego innego niedopatrzy i nie dośledzi; a pozbędzie się tém samém téj ostróżności i nieufności od któréj, jakeś dobrze powiedział prezydencie, nader już blizko do nienawiści.

Krótkie to warunki w téj materyi, ale główniejsze; na nich zakon i prorocy, i spełniając je o panowie! podług słów *Lewity*,— „*Bę-*

*„dziecie jeść chleb w sytości, i bez strachu „będziecie mieszkać w ziemi waszéj.”* (1)

---

— Mówiłem jak świecki obywatel,— rzekł prezydent,— dokończyłeś kustoszu jak duchowny katechista; z pomiędzy mnóstwa uwag, prawideł i proroctw, wybrałeś zdaje mi się treść samą, i zredukowałeś ją do ścisłych trzech przestróg. O jak dobrze byłoby, gdyby każdy szlachcic gospodarz przyswoiwszy sobie, i do własnéj pozycyi zastosowawszy twoje wnioski, ziscił tym sposobem słowa *Lewity*.

— Gdybyż je słyszano, lub czytano,— rzekłem.

— I cóż z tego?— rzekł kustosz— czas, doświadczenie, wypadki powszechne, zamieniają i leczą częstokroć ludzi z chorób moralnych, książki zaś i nauki na mało się tu przydają; im częściéj powtarzane, tém mniéj ce-

---

(1) Lewityk— księga 111— rozdział 26-ty.

nione. Stary morał w książce, jak stara odzież, rzuca się w kąt na pastwę szczurom. *Kommunały*— nowy wyraz weszły dziś w modę, i rzucony jak klątwa na samą nawet najprawdziwszą prawdę, gdy się ona zbyt często słyszeć daje; toż samo spotkałoby i nasze sentencye. Ale zkądże brać nową mądrość w rzeczy dziś powszechnie i przez wszystkich traktowanéj?

— Wszakże kochany ks. kustoszu, — mówił po zastanowieniu się niejakiém prezydent;— nie byłem od tego, aby naszą dzisiejszą *dyssertacyę*, wasz przyszły autor wpisał w swoje dzieło — „*Gutta carit lapidem, non vi, sed* „*saepe cadendo*" (1) jak wiesz o tém ojcze: niech choć jeden z tysiąca przyjmie te nasze *kommunały* do serca, a jedném tysiączném złego z pośród nas ubędzie.

— Chybaż sami ichmość dobrodzieje wpiszecie do mego raptularza to, coście mówili—

---

(1) Kropla przebija kamień, nie siłą ale często padając.

odezwałem się; — bo chociaż dzięki Bogu na pamięci nie szwankuję, ale takim długim kontrowersyom niedotrzymam, a swoim nędznym rozumem niedopiszę.

— Niechże tak i będzie, *ad majorem dei gloriam* panie prezydencie — czy zgoda? — zapytał kustosz.

Prezydent skinął głową, i w kilka dni potém skopijowałem już tylko co oddany mi przez ks. kustosza seksternik.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

# CZĘŚĆ DRUGA.

## XI.

### Zdziecinniały.

Zajechawszy do *Nieświża* po moje barany, odpoczywałem tam dni kilka jak we własnym klasztorze, a słysząc opowiadania wielkich dziwów, które niegdyś tu na zamku Radziwiłłowskim za panowania tam książąt odprawiały się, poszedłem obejrzeć go: oh! niewiedziałem ja natenczas, że po tym zamku chodził niegdyś brat nasz *Ławrynowicz*, że w tych salach odbywała się sławna kapituła i poku-

ta ojców naszych tamtoczasowych; a tobym z większą jeszcze ciekawością i uwagą wszystko tam rozpatrywał.

Ale żył jeszcze stary dworzanin księcia Radziwiłły, tegoż samego syndyka naszego, pan *Bukowski:* (1) zapoznałem się z nim w klasztorze. Mieszkał on w miasteczku, w swoim dworku, ale codzień po mszy świętéj zachodził do księdza kustosza na ranny posiłek; a potém po kolei od celi do celi odwiedzał ojców, którzy go bardzo szanowali, jakoby jaką drogą relikwię po Radziwiłłach im zostawioną. Razem on z nimi i do refektarza, i na konsolacyę, tak, że więcéj żył między bernardynami, niżeli w swym dworku: ot już to zwyczajnie starzy mają sympatię do klasztorów.

Więc staruszek ochotnie podjął się być mo-im konduktorem po zamku.— Miłyż Boże! wszystko tam było w ruinach — wzdychał głę-

---

(1) Rzeczewiście żył jeszcze w Nieświżu szatny księcia Karola Radziwiłły *Bukowski*, w owym czasie, który na tę kwestę przypada.

boko Bukowski rozpowiadając mnie. „To sala „hetmańska!— To sala królewska— To po„koje paradne— w tym pokoju wszystkie sprzę„ty i meble były z lanego srebra— To kaplica „zamkowa"— A jakżeby poznać że to kaplica? ani śladu ołtarzy, a w kącie jednym kupa gruzów ze szlifowanych rozmaitych kamieni, z których i ołtarze i ściany i obrazy nawet, jakby malowane układanemi były. A wieleż to tych obrazów i portretów dawnych zrzuconych w jednéj izbie na kupę? wieleż to żelaza i zbroi połamanych? któremi cały pułk w kirysy ubrać by można było.

Zaprowadził mnie potem Bukowski do lochów pod zamkiem— „Tu, rzekł on wskazu„jąc na sklep poboczny, zamurowane były „skarby Radziwiłłowskie..." Daléj stały ogromne skrzynie z papierami i księgami. Na dziedzińcu leżały dwie długie harmaty: „było ta„kich kilkadziesiąt na wałach zamkowych"— mówił Bukowski, i nakoniec zaszedł do komnaty na dole, któréj okna zasłaniały się wy-

sokiemi wałami zamkowemi tak, że choćby w dniu najpogodniejszym ona przyćmioną być musiała.

— „Tu, rzekł on, ostatni raz usługiwa-
„łem panu memu i dobroczyńcy, księciu Ka-
„rolowi Radziwiłłowi wojewodzie Wileńskie-
„mu; olsnął on biedny na starość, obrał więc
„sobie to pomieszkanie, do którego słońce nie
„dochodziło, i nie raziło zbolałych jego oczu:
„odjechał potém do *Białéj* (1) gdzie go miał
„leczyć jakiś zagraniczny okulista; ale z tych
„leków oczy jego zamiast uzdrowienia, zamknę-
„ły się na zawsze, i powrócił nasz ukochany
„książe do swojego Nieświża w trumnie... a ja
„szatny jego, dodawał ocierając z łez oczy, i
„szat nań śmiertelnych nie włożyłem."

Gdyśmy wychodzili z tych ruin, orzeł Radziwiłłowski z miedzi wykuty, i na wieży zamkowéj na żelaznym pręcie utkwiony, obraca-

---

(1) *Biała.* Dobra Radziwiłłowskie w królestwie Polskiem.

jąc się od wiatru zaskrzypiał przeraźliwie— Bukowski stanął, obrócił się doń, zdjął czapkę, i patrząc nań, a smutnie kiwając głową—„jęcz, rzekł:—jęcz orle sławny! gniazdo twe upadło.... „*sic transit gloria mundi.*" (1)

Nigdy, nigdy nie zapomnę tego staruszka od téj uroczystéj chwili, i teraz stoi on mi przed oczyma, z uchylonéni czołem przed orłem Radziwiłłowskim.

---

Od środy do niedzieli przegościwszy tak w Nieświżu, postanowiłem po nabożeństwie wyjechać, byłem więc i na kazaniu, a przysłuchiwałem się tém pilniéj, że już poznałem księdza kaznodzieję, który po *obedientii* wybierał się właśnie do klasztoru naszego Bienickiego; a zatem chciałem osądzić, czego

(1) Po roku 1813-m zamek Nieswizki był rzeczewiście w takim stanie w jakim go tu opisuje kwestarz. Późniéj staraniem administracyi, któréj naczelnikiem był pan Mikołaj Malinowski, zamek został zrestaurowanym i zamieszkałym.

z ambony słuchać będziemy?— Mówił on bez pisma, co mu Bóg natchnął; nie pamiętam już z jakiego tekstu, ale wszystkim stanom dawał *ad intende;* a gromiąc wszelkie nałogi, bił szczególniéj na lenistwo, i wszystkich do pracy, podług przeznaczenia każdego na świecie nakłaniał.— Co panom to panom, co chłopkom, to chłopkom; a od tych nie daleko stawiąc i okoliczną szlachtę, któréj pełny był kościoł, a dawne fumy i hajdamactwa wybijając jéj z głowy, zawołał w zapale swéj metaforycznéj elokwencyi: „Przekujcie teraz bra„cia mili oręż na lemiesz, i tym uprawiajcie „wasze niwy ojczyste!” i tam daléj.

Nim się wybrało, nim się pożegnało, to i słońce dobrze zaszło za południe; a więc na prędce skosztowawszy barszczu w refektarzu, wywlekliśmy się powoli z miasteczka. Trzodka moja złączona z baranami, które tu z depozytu zabrałem, podwoiła się i nie małéj mi przyczyniała mitręgi; tak, że postanowiłem zaraz przynająć w jakiejś wiosce chłopaka dla

dopędzenia jéj przynajmniéj do *Wołożyna*, (1) gdzie w klasztorze naszym, już lepszą miałem nadzieję pomocy.

O półtory mili od Nieświża, zdarzyła się okolica szlachecka.

Od razu poznałem że to nie wioska; bo taki to i kominy gdzie niegdzie białe na dachach domostw, i okienka większe w świetlicach, i bramki na zawiasach zamiast wrót prostych, i ogródki i wiszniaki zieleniły się. Kiedym kwestował to jeszcze były te ostatki ochędóstwa po okolicach; a choć już często niektóry domek stał podparty we wszystkie ściany z kominem skrzywionym na dachu i z szybami pobitemi, przez które wiatr świstał; to ieszcze można było komparować, że to stary szlachcic włożył na bakier dawną swoję konfederatkę, wziął się w boki, i stoi sobie czupurno, pogwizdując wesołą piosnkę

(1) *Wołożyn*. Miasteczko Tyszkiewiczów w powiecie Oszmiańskim.

*„Cztéry kąty, a piec piąty” „Oto to ja pan— „i o nic nie dbam!”*— Taką nadrujnowaną okolicą była i ta w którój się zatrzymałem, nie dla kwesty, bo zwykle nie naprzykrzałem się tam, gdzie zamożności nie widziałem; lecz właśnie tu postanowiłem postarać się, o poganiacza moich baranów. Zostawiwszy więc wóz i trzodkę na dyrwanku, wszedłem sam na ulicę i na dziedziniec do dworku, który piérwszy mi się nadarzył.

Dajże boże przypomnieć com tam widział i słyszał; bo najtrudniéj spamiętać i opisać to, w czém i jest rzecz, i nie ma rzeczy: w czém i jest sens i nie ma sensu. Niechże już sobie ks. kustosz sens moralny tu wyciąga, a ja przystępuję do *narracyi*.

---

Siedział na szerokiéj *pryźbie* (1) osypa-

---

(1) *Pryzba.* Tak nazywają osypanie około chat z ziemi, odarnowane zwykle, na którem we dni pogodne ludność włościańska, przed słońcem usiada i ogrzewa się.

néj około domu, staruszek siwiuteńki jak gołąb; musiał mieć lat ze sto, a przynajmniéj blizko tego. Na twarzy i na czole nigdzie u niego nie było marszczków, bo skóra żółta jak pargamin, tak przyschła do szczęk twarzy i głowy, że jéj na marszczki nie stało; oko jednak biegało mu żywo, i na siłach nie zdawał się upadłym, bo rzezwo się krzątał około fabryki, którą na tejże pryźbie z kilkoletnim chłopcem wnukiem swym czy prawnukiem prowadził. Budowali oni wielki pałac ze szczepek i osypywali piaskiem, aby go mocno ufundować w ziemi; ale zdziwiłem się bardzo, że obok dziadka leżały dwa pałasze bez pochew; jednego koniec złamany i podsmalony służył widać za ożóg do pieca, drugi cały, ale zupełnie rdzą pobity. Gdy mię postrzegł stary, chwycił za swoje pałasze i krzyknął: — nie dam! dalibóg nie dam!

— Niech będzie pochwalony, i t. d. rzekłem.

— Na wieki wieków mościjanie, odpowiedział on — ale taki pałaszów nie dam.

— Mój jegomość, — rzekłem, — nie mogę zrozumieć co u jegomościa w głowie; na co mi twoje pałasze, zabierać ich nie myślę.

— Tak, a czemuż dziś na ambonie wykrzykiwałeś Mościjanie?— „*Przekujcie oręż na lemiesz!*” ja wraz zrozumiałem, że to znaczy abyśmy z naszych starych pałaszów porobili *narogi*. Stary zdziecinniał! powiadają na mnie, zdziecinniał! a przecież i teraz rozumiem, po coś tu księże kaznodzieju przyjechał; chcesz dopilnować tego przekonania i napędzić nas do kuźni.

— Bój się boga staruszku, — rzekłem, — jam nie kaznodzieja, jam kwestarz, i nawet nie z Nieświzskiego klasztoru, chociaż byłem tam dziś na nabożeństwie, i na tém kazaniu, którego widać i jegomość słuchałeś.

— A słuchałem, słuchałem; bo mnie co niedziela wnuczek mój starszy, wozi kałamaszeczką do kościoła. Czyż my nie mamy innego żelaza na narogi? czyż koniecznie psuć na to nasze staroświeckie szabelki?

— Kaznodzieja,— rzekłem,— chciał przez to wyrazić....

— Oho ho,— przerwał mi stary,— ja wiem co on chciał przez to wyrazić *mościjanie:* oto że nam dość wojować, a orać ziemię potrzeba. Oho ho, — a co powiedzą na to panowie dygnitarze?

Tu powstał, i lubo drżał na nogach, jednak rzeźwo chwycił za pałasz, i krzyżując nim w powietrzu, wykrzyknął:

„*Gdy pałasz obce mierzył granice*"

I po niejakim namyśle jakby przypomniał.

„*Ustąpić musiał i wąs fryzurze.*"

A to z dawnéj pieśni, którą i ja umiem, na pochwałę wąsów — rzekłem.

— Nie prawda *mościjanie!*— zawołał przyciskając mocno to swoje przysłowie i ze złością tupając nogami — nie prawda — nie ustąpił! nie ustąpił! won niemcze z fryzurą!

„*Żem jeszcze szlachcic, pokręcam wąsa.*"

I rzeczywiście pokręcił wąsa swego, spło-

wiałego wprawdzie i zaniedbanego zupełnie, ale sutego jeszcze i gęstego.

— A teraz, a teraz mówią, ustąp *mościjanie* pałaszu, lemieszowi. To czémże mierzyć będziem obce granice?...

Nie dawno pan Antoni *Zbrożek* i pan Filip *Stańczyk* sąsiedzi nasi pokłócili się o niwę, czyja szersza? bo od wieków wiecznych powinne być obie równe. Po długich certamentach i kwestyach, zgodzili się na przyjaciół. Ja mościjanie jako najstarszy wiekiem, byłem *superbitrem umitate* (superbitrem unanimitate) wybrany. Cała okolica wysypała się za nami na pole, bo w tym sęk na czyim stanie.

— Jakiś tam *stupidus mościjanie* krzyknął — Przemierzyć krokami! Otoż zaczęła się processya po miedzach. Pan Stańczyk po swojéj granicy suwał jak niedźwiedź; a po Zbrożkowéj skakał jak sroczka. Pan Zbrożek przeciwnie, wielki moderat i polityk, maszerował równo i poważnie po obu granicach, ale miał

osóbną numeracyę dla siebie, a osóbną dla pana Stańczyka. Sobie liczył kroki:— *dwadzieścia ośm— dwadzieścia dziewięć— dwadzieścia dziesięć* — trzydzieście i znowu daléj mościjanie:— *trzydzieście ośm — trzydzieście dziewięć — tróydzieście dziesięć*— czterdzieście— a Stańczykowi liczył po naszemu: więc ja skonkludowałem, że z tego nic nie będzie; że trzeba przemierzyć po świętéj sprawiedliwości, ale nie krokami *mościjanie*, bo każdy z ichmościów litygantów, i ichmościów adherentów, kroki swe podług swéj inklinacyi miarkował, sekundując jednéj albo drugiéj stronie. Ale czémże mierzyć? Komornika gdzież tam szukać; a gdyby i był, to wiadomo, że gdzie łańcuch przejdzie, tam pięćdziesiąt lat trawa nie rośnie — powrozem? to chłop mierzy — łokciem to żyd mierzy — ferowałem więc dekret aby przemierzyć pałaszem — po szlachecku *mościjanie*. Zdzieciniały! krzyknęli wszyscy; zdzieciniały! ale ja nie uważając na to, przyniosłem wnet

mój oto ten pałasz, i sam swoją osobą *mościjanie*, przemierzyłem obie miedze. Pokazało się że niwa pana Zbrożka szerszą była ną półtora pałasza od niwy pana Stańczyka; ot i przegrał pan Zbrożek; wnet więc lemiesz zrównał co pałasz przemierzył, i odtąd święta zgoda między panem Zbrożkiem i panem Stańczykiem. Niechżeby *mościjanie* tak było między pałaszem i lemieszem; a to zaraz kuć, przekowywać! a kiedy *mościjanie vice versa* przekują czasem *lemiesz na oręż*, co wtenczas będzie? he?

---

Tymczasem szlachta przechadzająca się na ulicy, ujrzawszy za wrotami moje barany, a mnie rozmawiającego ze starcem, zaczęła się około nas zbierać. Wszedł piérwszy wysokiéj postury, suchy i dobrze podżyły jegomość; w szaraczkowéj długiéj aż po pięty kapocie, w szerokim słomianym kapeluszu na głowie, i z kijem sękatym w ręku, po jego maszerunku

punktualnym, i po minie nastrojonéj poważnie, domyśliłem się ze słów staruszka, kto to był, i zgadłem; gdyż powitał mnie mówiąc z uniżeniem ręki do kolan:

— „*Asana dobrodzieja*, *sługa i podno-* „*żek — Antoni Zbrożek.*

Odpowiedziałem, również uniżając rękę.

— *Upadam do nożek* — brat *Rafał Karęga: po barany sięga* to jest, bernardyn kwestarz z klasztoru Bienickiego.

*Jak długi*, *na usługi* — rzekł znowu pan Zbrożek uśmiechając się, i dodał — miło spotkać się z mądrym człowiekiem, bo to „***similis simili gaudet.***" (1) Azatem submittując się asanu dobrodziejowi, na nocleg do siebie zapraszam, bo pana *Borsuka* gospodarza tego domu nie ma; wyjechał w Słonimskie do familii, a ten nasz zdzieciniały *Matuzal* jego ojciec, u którego w głowie jak w pietuchowie....

— Nie, mój dobrodzieju,— przerwałem—

---

(1) Podobny z podobnym cieszy się.

słuchając konwersacyi tego staruszka, poznałem ja, że jego głowa jest jak nasz klasztor Bienicki; niektóre w nim cele ze starości zrujnowane i zapadłe, ale niektóre dobrze się jeszcze trzymają i są zamieszkałe.

— *Dwadzieścia dziesięć*,— odezwał się stary kopiąc znowu pryźbę: — ale mój pałasz *mościjanie*, skonfundował tę nową arytmetykę! i rozśmiał się jak dziecko, gdy mu figiel jaki uda się.

— Jasiu,— mówił potem do wnuczka,— teraz będziemy kopać staw wielki około zamku, tak jak w Nieświżu; i postawim bramę na grobli, a zamkniem ją szczelnie, i żadnego kowala nie puścim do zamku.

— Ale dziadulu,— odezwał się wnuczek,— dziś niedziela, kopać nie można.

— A prawda moje dziecię, prawda,— i pogładził dziecinę po głowie.

Tymczasem za panem Zbrożkiem weszło i więcéj szlachty: wszyscy starsi wiekiem, bardzo pięknie i politycznie ze mną się zapozna-

wali, młodzi zaś poświstywali sobie tylko, na nic nie zważając, a niektórzy poszedłszy do staruszka, dworować sobie zeń zaczęli; ale nie pozwolił on im długo téj zabawki; powstał on nagle i chwytając za pałasz.

— A *kysz* błaznota! — zawołał — a *kysz!* bo nauczę was *mores* i rewerencyi dla siwéj głowy! czy ja niewidziałem żeście nawet zakonnika niepowitali i nie uczcili przynajmniéj krzyża świętego, który on ma na piérsiach.— Oho! dawniéj mościjanie sto na kobiercu za takie *wituperye...*

Chłopcy rozśmieli się i uciekli.

Co to jest ojcze Szymonie, zkąd i na co te pałasze dobyłeś? — zapytał pan Zbrożek.

— A pytaj się waszmość *mościjanie* u kaznodziei księży bernardynów Nieświzkich.

Natenczas opowiedziałem panu Zbrożkowi i wszystkim słuchającym, jak sobie wytłómaczył starzec kazanie dzisiejsze, na którém prawie wszyscy oni byli, ale żaden widać tak pilnie go niesłuchał, ani tak pojął jak zdzie-

ciniały. Opowiadania mego lubo zdawał się on nieuważać, siedząc na pryźbie i kiwając tylko głową; jednak gdym skończył, zapytał:

— Cóż powiesz na to *mościjanie?* co powiedzą na to panowie dygnitarze?

— Jacy tam dygnitarze wleźli tobie w głowę ojcze Szymonie?— odezwał się Zbrożek:— żeś za młodu z niemi sejmikował, i doznawał ich fáworów, to ci się zdaje że oni i teraz żyją jeszcze i prewodyrują szlachcie; a tu ani dygnitarzy, ani dygnitarstwa dawno już niema.

— A gdzież podziało się *mościjanie?* czy francuzi zrabowali?— zapytał z zadziwieniem starzec powstając i niespokojnie patrząc nam w oczy; niecierpliwie czekał odpowiedzi, któréj nikt z nas dać mu nie mógł, nawet i najmędrszy z całéj gromady pan Zbrożek, aż któryś ze szlachty, tyle bodaj znający się na dygnitarstwie ile i my wszyscy:

— A cóż to za dziw?— rzekł— marudery rabowali kościoły, obdzierali ołtarze, to i dygnitarstwo kiedy gdzie napadli mogli zabrać.

Musi to być rzecz bogata *dygnitarstwo:* sam widziałem u jednego kawałek pasa litego Słuckiego ze złotémi fręzlami, zapewna go gdzieś od jakiegoś dygnitarstwa oderwał.

Starzec usiadł znowu, namyślał się, przecierał czoło, i głową potrząsał,— rzekł nakoniec.

— Rabowali kościoły.... obdzierali ołtarze ... prawda, pamiętam.... A czy jest jeszcze w Wilnie Najświętsza Panna Ostrobramska, i Pan Jezus Antokolski?

— Jest, jest,— odpowiedzieli wszyscy.

— Jest — mówił stary — jest — no, to wiary naszéj świętéj nie zrabowali.

Potém znowu się namyślał, znowu tarł czoło, jakby mu w głowie cóś trudnego było, i potém znowu zapytał:

— A czy są jeszcze pańskie dwory *mościjanie?*

— A jużcić są, choć nie takie jak dawniéj— odpowiedział Zbrożek.

— Są — to dobrze — a czy śpiewają tam *„Zawitaj ranna jutrzeńko”* — *i kochajmy się?*

Zbrożek wzruszając ramionami rzekł:

— Prawisz ojcze Szymonie ni w pięć ni w dziewięć, i piąte przez dziesiąte, aż mnie wstyd za asana.

— Aha! piąte przez dziesiąte, waszmość *mościjanie* znowu do swéj arytmetyki. No, otoż bo — i znowu powstał starzec, i coś jakby nadzwyczajnego zaświeciło mu w oczach — bo kiedy tam śpiewali *„Zawitaj ranna jutrzeńko! i kochajmy się!”* — mówił on uroczyście jakoś i poważnie; — to i modlili się jak bracia... i kochali się jak bracia — i szeroko — szeroko, jak siatka w węzełki wiązana ta *fraternitas* rozciągała się po kraju.... Ale kiedy to idzie tam dziś *piąte* przez *dziesiąte*... to i... to i dygnitarstwo *mościjanie* przepadło.... i szlachectwo idzie ni *w pięc* ni *w dziewięć*.

To powiedziawszy, stary usiadł i opuścił głowę; znaczno było że się wysilił, wziął

swoje pałasze na kolana, a patrząc na nie kiwał głową i rękawami oczy ocierał.

My z panem Zbrożkiem patrzaliśmy jeden na drugiego.

—Zdziecinniały,—rzekł nakoniec Zbrożek—zdziecinniały! Już teraz nic więcéj niepowie; znamy jego naturę; gdy tak usiądzie i płacze, to już milczy jak kamień. Pójdźmy więc, suplikuję asana dobrodzieja na gospodę do mnie. Bywaj zdrów ojcze Szymonie! zawołał Zbrożek, i za nim wielu innych szlachty.

—Bywaj zdrów staruszku! powtórzyłem i ja.

Ale starzec ani oczu na nas nie podniósł.

## Wołożyn.

# XII.

### Podanie Żydowskie — Tak i nie.

Ponury i milczący zwykle brat Piotr, oniemiał jeszcze bardziéj, gdyśmy się nazad zawrócili; niechciało mu się wracać do klasztoru, gdzie go z pogardą nazywano i traktowano. Wprawdzie mruczał on coś sobie czasami, ale nie mogłem nic dosłyszeć: zdało mi się raz że po hebrajsku i zgromiłem go, więc znowu milczał. W Nieświżu znikał on po razy kilka z klasztoru, a całą sobotę niewiadomo gdzie przebył.

— Oj czy nie szabas on tu tylko z żydami odprawia, — rzekł mi tamtejszy kustosz, — gdym mu całe *curriculum vitae* tego nowego chrześcijanina opowiedział; niespokojny zatém chodziłem do późnéj nocy po miasteczku, dopytując się o niego.

Nazajutrz znalazłem go krzątającego się jak zwyczajnie około wozu: na zapytania i wymówki moje nieodpowiadał, lecz gdy zadzwoniono na mszę, poszedł skwapliwie do kościoła i modlił się gorliwie; pomyśliłem zatém, że bodaj on dwóm panom służy, niewiadomo tylko któremu wierniéj.

---

Pan Zbrożek dostawił mi chłopaka rzeźwego, a ten wziął z sobą do pomocy domowego swego kundla, i tak obadwa pomagając jeden drugiemu, utrzymywali w kupie moją owczarnię; nakoniec zbliżyliśmy się do Wołożyna. Na wjeździe pod miasteczkiem, spotkała nas niespodziana mitręga, jak zawierucha jaka.

Tłuszcza żydów wszelkiego wieku, starych i młodych, nawet mnóstwo małych bachurów wrzeszczących przeraźliwie, i pędzących się za jednym także żydem, który uchodził przed niemi; wprawdzie spiesznym krokiem, ale nie tak jakby się ich lękał, lub od nich uciekał; i żydzi nie tak biegli, jakby go dopędzić, lecz raczéj jakby go wypędzić i wystraszyć a przeprowadzić tylko chcieli.

Na ten hałas kundel nasz szczekać, rzucać się i wyć począł; barany się rozbiegły, a my ogłuszeni takim rozgardyaszem zatrzymaliśmy się na drodze. Wtém żyd pędzony obrócił się ku ujadającéj za nim tłuszczy i stanął; aże blizko naszego wozu, więc mogłem nań uważnie rzucić okiem.

Nadzwyczajna to jakaś była figura; od razu poznałem, że to człowiek z cudzéj ziemi.— Wysoka uroda, twarz śniada jakby cygańska, powiedziałbyś że słońcem śpieczona; oko ogniste jak węgiel rozpalony, broda czarna i gęsta. Jeszczeż to nic, bo i między naszemi

żydami możnaby na podobnego natrafić, ale szaty jego różniły się bardzo od zwykłych izraelskich. Miał on bowiem na głowie *per modum* jakiegoś zawoju czerwonego, i czerwonym szerokim pasem po czarnéj aksamitnéj czamarze był opasany, a na ramionach miał płaszcz krojem i kolorem podobny do takich pod jakiemi węgrzyni apteczki swoje noszą. Płaszcz ten przy śpiesznym jego pochodzie podwiewany wiatrem pół drogi zajmował; niosł on wielką księgę pod pachą, a długi kosztur w ręku. Gdy stanął i obrócił się, żydzi tchórze stanęli także, mniejsze bachury nawet uciekać poczęli. On wtenczas księgę i kosztur kładąc na ziemi, wziął w obie garście piasku, podjął obie ręce i oczy w górę, wyrzekł głośno i uroczyście jakieś hebrajskie wyrazy, i sypnął piasek na żydów.

— Gwałt!— krzyknęli żydzi jednym głosem.

— Gwałt! — krzyknął z niemi razem mój brat Piotr i przeżegnał się; ja sam przeraziłem się szczególniéj jego piekielnym wzrokiem

jaki z piaskiem cisnął na żydów. On tymczasem podjąwszy swój kij i księgę, poszedł daléj, a ośmielone żydostwo krzycząc *Orur! Orur!* (1) i wzajemnie sypiąc nań piaskiem, ruszyło za nim w tropy.

— Co to znaczy? — rzekłem zdziwiony do Piotra, — czy nie *hamana* oni pędzają.

— Nie, — odpowiedział, — nie — święto hamana jeszcze daleko.

— A cóż to byłoby u licha? co znaczy ten piasek? i co on powiedział, sypiąc go na nich?

— Oh, oh, — rzekł brat Piotr — to straszne słowo! bardzo straszne! przeklął on ich.... przeklął aż do dziesiątego pokolenia.

— Któż on jest?

— Nie wiem, nie wiem, ale był on niedawno w Nieświżu, mówił jąkając się Piotr.

— Zkąd to wiesz bracie?

Piotr nieodpowiedział, ale ja poznałem że on w Nieświżu bratał się widać z *synagogą*,

---

(1) Przeklęty.

i wyciągnąłem zły prognostyk, że bodaj stanie się tak, jak mówił nasz gwardyan wyprawując mnie z nim na kwestę:— *wilcza naturu do lasu ciągnie.*

Gdy ta burza minęła nas i daléj się poniosła, zebraliśmy się jakkolwiek i dojechaliśmy w południe na sam obiad do klasztoru; tam opowiedziałem cały ten mój wjazd do miasteczka, a gdym opisywał posturę wypędzanego żyda.

— Czy nie *Ahasferus* zjawił się tu w nasze okolice?— rzekł ks. gwardyan.— Zaproszę ja dziś tutejszego rabina wieczorem na piwko; człek to arcy mądry po żydowsku, a bardzo roztropny i poczciwy po naszemu; żyjemy z sobą w dobréj komitywie, on nam opowie co to było?

---

Nie odmówił wezwaniu ks. gwardyana starozakonny mędrzec wołożyński.

Gdy on szedł przez miasteczko do klasztoru, byliśmy na ganku, i widzieliśmy jak gromady

żydów zastępując mu drogę, cisnęli się doń jedni przed drugiemi, całując kraje szat jego: zapraszany niskiemi pokłonami wstępował on do niektórych domów; a tymczasem ks. gwardyan wszedłszy z kilką ojcami i ze mną do swojéj celi, mówił mi.

— *Wołożyn*, to Rzym dla żydów litewskich, i rabin wołożyński nigdy dla nich nie umiera; od dawna bowiem w jednéj tu rodzinie godność ta i mądrość przechodzi sukcessyą z ojca na syna tak, że zmiany nie znaczno. Mój przyjaciel pan *Salomon* ma już syna żonatego i wnuka, więc dynastyi jego na długo stanie. Zewsząd tu zwożą bachurów na naukę do szkoły; najbogatsi *morejni* mają sobie za wielki honor kiedy mogą powiedzieć, że ich syn jest uczniem *rabina wołożyńskiego;* a dla ubogich żydków nieboraczków, na koszta ich tu życia i utrzymania, znajdziesz w każdym żydowskim domu, zwłaszcza po miasteczkach, przy drzwiach obok *jerozolimskiéj* i *wołożyńską* karbonkę.

Starych także żydów zjeżdża się tu wiele, nawet z dalekich krajów, i siedzą często po lat kilka nad księgami, których mnóstwo tu się znajduje i codzień przybywa; bo chociaż Salomon od nikogo i nic dla siebie nie bierze (a mógłby mieć krocie, gdyby przyjmował pieniądze i dary które mu codziennie ofiarują), ksiąg jednakże nieodmawia, i dla tego furami tu je zwożą. Ale cóż to niestety znaczy?— mówił wzdychając ks. gwardyan,— są to wszystko magazyny niewierności żydowskiéj: *Talmudy*, *Miszny*, *Gomory* i inne podobne temu bałamuctwa.— Salomon jednak czyta i łacinę, a bodaj rozumie i po grecku: słowem byłby mądrym prawdziwie, gdyby był chrześcijaninem.

— Przerwał tę rozmowę sam wchodzący rabin..

To znowu drugi żyd nie taki jak inni: nosił on na codzień żupan z takiéj saméj białéj opony, jaką żydzi tylko w szabas idąc do szkoły na siebie kładą, i w niéj przyszedł tu

w gościnę. Nawet kapelusz miał biały, a pod nim jarmułkę z złotogłowiu, i pas z takiejże litéj materyi: wszystko to attrybuta jego patryarszéj godności, na którą go, jak powiadają, siedmiu najmędrszych z całego świata rabinów w Amszterdamie koronowało. Figura sucha, widać nad księgami zawiędła, i nic osobliwego, ale gdy zaczął mówić, to byś go słuchał cały dzień, i zapomniał że słuchasz żyda; tak czysto po polsku, i tak argumentalnie rzeczy wywodził.

Nie pamiętam co się tam w konwersacyi między nami toczyło na początku; ale gdy piwko zaprawione cytryną, muszkatową gałką i cukrem z cynamonem, udobruchało mędrca, ks. gwardyan zagadnął go w kwestyi rannego w miasteczku rozruchu.

Co się to dziś stało panie Salomonie? jakiego to żyda cała wasza ludność wypędzała z Wołożyna? brat nasz oto ten kwestarz bienicki, spotkał się z tym tłumém, i widział tego dziwnego jakiegoś człowieka; a po opi-

saniu jego figury, przyszło mi na myśl, że to może *Ahasferus* — (1) widziałem go kiedyś... malowanego: waćpan wiesz panie Salomonie kto on jest, i dla czego bezustanku iść musi? więc może i tu do nas zawitał.

Rabin uśmiechnął się tylko i haust kaliszanu pociągnął.

Więc powiedz nam jeżeliś łaskaw, co się to znaczyło? rzekł gwardyan.

Salomon długo kiwał głową i milczał, a gdy gwardyan powtarzał pytania i prośby,— na co ichmościom ta wiadomość potrzebna? odpowiedział — ja upewniam że to nie był *Ahasferus*, bo go nigdy na świecie nie było i nie ma.

Mniejsza czy on jest, czy go niema, mówił znowu gwardyan, dysputować o to nie będziemy, to nie artykuł wiary; ale jest w tém jakaś tajemnica, któréj nam powiedzieć niechcesz: wszelakoż rozruch w mia-

---

(1) *Ahasferus* — Żyd wieczny tułacz.

steczku był nadto jawny, ukryć tego nie można, i nie jeden waćpana zapyta o przyczynę.

— Dla czegoż mnie koniecznie?— rzekł Salomon.

— Bo wszyscy wiedzą że tu nic między starozakonnemi bez woli i wiadomości twojéj się nie dzieje.

A gdybym i powiedział, rzekł po niejakim namyśle rabin, cóż ztąd? kiedy mnie ichmość nie uwierzycie.

— To coś ciekawego! dla czegoż nie uwierzym.

— Bo nieuwierzycie.

— A sam czy wierzysz panie Salomonie?— zapytał gwardyan, i patrzał mu w oczy:

Rabin wzajemnie patrzał w oczy księdzu, a my wszyscy na nich obu.

Nakoniec znowu po namysle rzekł Salomon wskazując na zegar wiszący na ścianie.

Czy wiecie co mówi ten zegar?

*Obstupuit* ks. gwardyan, i my także zdziwieni spójrzeliśmy na zegar.

— A cóż? czy nic nie słyszycie?— pytał znowu rabin.

— Cóż tu można posłyszeć— odpowiedziałem ja— pendul czyka i nic więcéj.

— Tak, czyka— ale czykając on coś mówi.

— Nie rozumiemy tego zegarowego języka,— rzekł gwardyan:— wytłómacz jaśniéj panie Salomonie, tę jakąś swoją widać Salomonowę *hiperbolę*.

Rabin powstał, i z powagą rzekł:

— Pendul mówi nieustannie— *Tak, nie— Tak, nie— Tak, nie— indeks* idzie nieznacznie jednostajnie i powoli. A waga ciągnie na dół— Teraz rozumiecie?

Pokręciliśmy głowami.

Więc uroczyściéj jeszcze i z ręką ku zegarowi wyciągniętą mówił Salomon.

— *Indeks* to życie! idzie godzinami, jednostajnie, powoli, nie znacznie; *waga* w dół ciągnie do mogiły! a *pendul* to myśl ludzka waha się nieustannie na dwie strony:— *Tak, nie— Tak, nie*— to jest *wierzy, nie wierzy*—

*wierzy, nie wierzy!!!*— Kiedy *waga* stanie na dole, *indeks* ustawa na zawsze, i *pendul* staje: tylko niewiadomo wtenczas na któréj stronie był on raz ostatni— czy na *nie?* czy na *tak?*

Zadałże nam do myślenia! jakoż milczeliśmy wszyscy, a on usiadł. Lecz ks. gwardyan opamiętawszy się rzekł:

— *Hiperboła* twoja i *Komparacya* głęboka: ale się do nas nie stosuje; bo my wierzemy twardo i szczerze.

— Tak,— odpowiedział rabin,— wierzycie twardo i szczerze, co wasze— a nie wierzycie twardo i szczerze co nasze: ale są rzeczy ni wasze ni nasze, które pokażą się ludziom, zadziwią, przelękną niekiedy, i zginą potém na zawsze, czy na długo— jak naprzykład i wasz *Ahasferus*... Wy to nazywacie *zabobonem;* a jednak w te zabobony wierzycie i niewierzycie— *Tak*, *nie*— *Tak*, *nie*....

— Jakto,— rzekł żwawo gwardyan,— ja mam wierzyć w zabobony!

— Nie wierzysz tu, w celi swojéj, — odpowiedział Salomon; — ale pójdź księże gwardyanie sam jeden o północy pod kościół, do sklepu między trumny; dla czegoż tam drżeć będziesz jak w febrze? dla czegoż serce twoje bić będzie jak młotkiem? dla czegoż ci włosy na głowie powstaną? wszakże tu w celi nie wierzysz w upiory, a czemuż ich w sklepie się lękasz?

— Téj *proby nieprobowałem*, — rzekł uśmiechając się ks. gwardyan, — ale cóż to należy panie Salomonie do dzisiejszego rozruchu w miasteczku?

— Jakto? czyż nie mówiłem że nie uwierzycie temu cobym powiedział o przyczynie tego rozruchu, czyż mię nie zapytałeś ks. gwardyanie, czy ja sam wierzę?

Gwardyan pomyślił nieco i rzekł:

— A! teraz rozumiem, konsekwentnie rozumiem twe paraboły i komparacye. Mów więc panie Salomonie, mów jak wierzysz, my uwierzym.... że ty wierzysz.

— I to niekoniecznie — rzekł znowu Salomon: — bo gdy *waga* życia mojego stanie u dołu, nie wiadomo na któréj stronie będzie raz ostatni *pendut* — czy na *Tak* — czy na *Nie?*

Ks. gwardyan podolewał szklanki; usiedliśmy wszyscy, a Rabin zaczął.

---

— Jest na świecie rzeka *Sambatie*.

— Nie słyszałem o takiéj rzece w żadnéj Europie, gdzież ona? i w jakiéj części świata? — zapytał gwardyan.

— W téj, któréj jeszcze nieodkryto, odpowiedział rabin.

— A jakże wiesz że jest ona, kiedy jeszcze nieodkryta? — rzekł znowu gwardyan uśmiechając się, i rozumiał że skonfundował żyda. Ale ten zapytał go wzajemnie a poważnie:

— A czy już wszystko odkryto co Bóg stworzył?

Tém pytaniem sam skonfundowany gwardyan zamilkł.

— Otoż za tą rzeką — mówił daléj Salomon, — jest kraj żydowski, w którym od śmierci Mojżesza żyje starozakonne plemie, nie należące do żadnego z dwunastu naszych pokoleń, bo to familia samego Mojżesza.

— Zkądże oni tam? — zapytał któryś z nas.

— A jeżeli mam cały Talmud wam tłómaczyć, to i do jutra niedowiecie się kto był ten żyd wypędzony dziś z miasteczka? i za co go wypędzili?

Upewniliśmy zatém pana Salomona, że już mu przerywać nie będziemy.

— Ponieważ tedy początek téj historyi, — mówił rabin, — nieudał się nam od ziemi i rzeki jeszcze nieodkrytéj, to zaczniem inaczéj, od własnéj ziemi, i od własnego Wołożyna.

Może temu lat sto, a może i więcéj, wszyscy żydkowie Wołożyńscy zebrani byli na mogiłach i modlili się Bogu za dusze swoich ojców, gdy wszedł pośród nich młody żydek ze skórzanym workiem na plecach; a chociaż wynędzniały i obdarty, jednak wnet go wszyscy

poznali i przypomnieli, a najpierwiéj jego własny ojciec, któremu on upadł do nóg. Był to bowiem *Jankiel* pierworodny syn ubogiego żydka szklarza z miasteczka, ale wnet wszyscy odskoczyli odeń ze strachem, gdy on rozwiązawszy swój worek, wyjął z niego głowę ludzką świeżą, jakby dziś odciętą, i przed rabinem położył.

Gwałt! gwałt! krzyknęła cała gromada. Ale Jankiel wyjął z zanadra jakąś karteczkę i pokazał rabinowi; rabin spójrzawszy wstrząsł się i zawołał mocno, aby się wszyscy ucieszyli i uspokoili.

Natenczas Jankiel prosił rabina, aby dał wszystkim *chejrym* na sekret, aby potem wszystkich odprawił, a został tylko sam z kilką starszemi i z ojcem jego; co gdy się tak stało jak on żądał, Jankiel rzekł obracając się do głowy:

— „Przysiągłem tobie że cię zaniosę na „mogiłę ojca twojego, i w niéj cię pochowam."

Włożył sobie potem pod język ową kar-

teczkę którą rabinowi okazał, wziął głowę i poszedł prosto, jakby od dawna wiedział, do kamienia wrosłego już w ziemię, i po dziś dzień tam leżącego, na którym wykute imię jakiegoś dawno pod nim spoczywającego Abrahama. Dziesięciu ludzi ledwoby tę plitę dźwignęło, on podjął ją jedną ręką, wygrzebał tam potém dół głęboki, dobrał się aż do kości ludzkich, zapewne tego Abrahama, i wśród nich złożywszy przyniesioną głowę, znowu zarył wszystko, i tym samym kamieniem przywalił.

Patrząc na te cuda, zdziwieni rabini i starsi, ledwo oczom swoim wierzyć mogli: nakoniec odeszli wszyscy do domu rabina, a tam Jankiel taką im o sobie opowiedział historyę.

---

— Pamiętacie zapewna, jak lat dwie temu, przyjechało do nas dwóch żydów poważnych, jakoby z Jerozolimy, i mówili że ich wysłał ztamtąd, bardzo bogaty i bardzo sławny ku-

piec tamtejszy, aby mu przywieźli z naszego kraju, z którego jakoby i sam był rodem, zięcia do jedynéj jego córki, po któréj on dawał posagu, tyle złota, ile ona sama waży; a po jego śmierci, wszystkie jego bogactwa i miliony zięciowi dostać się miały. Tylko chcieli koniecznie aby żydek ten młody, był pierworodnym synem u swych rodziców, i gdyby był już poduczonym dobrze; to jest, aby znał wszystkie punkta reguły i modlitwy naszéj religii. Ojcu dawali wiele pieniędzy, i obiecywali że syn jego co rok go złotem osypywać będzie.

Więc na mnie wypadło jechać z nimi: bo byłem u ciebie ojcze pierworodnym, bom z łaski twojéj Rabbi umiałem właśnie tak jak oni chcieli wszystkie punkta i modlitwy nasze, bo nakoniec było nas u ojca sześcioro, i żyliśmy najczęściéj z jałmużny, a z ojcowskiego szklarstwa trudno było i na chleb zarobić. Jednakowoż ojcze, nie zaprzedałeś ty syna, i nie wziąłeś od nich pieniędzy; choć byłeś i jesteś

pewnie i teraz ubogim; pobłogosławiłeś tylko i oddałeś mnie jak *Izaaka* na ofiarę, ale Bóg mnie jak *Izaaka* wybawił.

Jechaliśmy długo i długo, płynęliśmy potém długo i długo, znowu jechaliśmy przez pustynie długo i długo, a wszystko na wschód słońca; aż nareście stanęliśmy nad wielką rzeką, którą przepłynąwszy przybyliśmy do wielkiego miasta. Tłum narodu nas spotkał i witał; ale nie rozumiałem ich mowy, a myśląc że jesteśmy już w Jeruzalem, zdziwiłem się że naszego hebrajskiego języka nie słyszę. Zapytałem o to moich opiekunów, ale oni nic niemówiąc zawieźli i wpuścili mnie do szkoły bardzo wielkiéj i wspaniałéj, i w niéj mnie jednego zamknęli.

Strach mię objął, w głowie mi się pomieszało, i wpadłem w sen głęboki.

Niewiem jak długo spałem; gdym się przebudził, znalazłem przed sobą stół zastawiony, różném najlepszém jedzeniem; ale ja niczego

dotknąć niemogąc i rzewnie płacząc, wołać zacząłem wielkim głosem.

O ja nieszczęśliwy! O cóż się ze mną stanie?

Na te moje wykrzyknienia odpowiedział mi głos z muru.

„To się z tobą stanie, co się stało i ze mną: „utną twoją głowę, i postawią tu na miejscu „mojéj.”

Znowu bardzo się przeląkłem, i odbiegłem od tego gadającego muru. Ale tenże sam głos mówił daléj:

— „Nie lękaj się — nie lękaj się; ale słu„chaj mnie, i zrób wszystko co tobie każę, „a ja cię wybawię od zguby, a siebie z tego „więzienia. Wiedz albowiem że ty nie jesteś „w Jeruzalem, ale w mieście bez nazwiska za „rzeką zaklętą *Sambatie*, za którą żadna cu„dza noga zajść nie może. Mieszka tu poko„lenie żydowskie z familii samego Mojżesza, „które przy jego śmierci odłączyło się od lu„du Izraelskiego, i któremu on ten kraj ko„nając odkazał, a mieszkać tu będzie aż do

„przyjścia Messyasza, który już ich ztąd wy-„prowadzi i z całym Izraelem połączy. Po-„nieważ zaś oni nie wiedzą i nie znają za-„konu naszego, ani świąt ani modlitw, ani „obrządku, które potém Bóg nam podał, więc „wysyłają co lat sto, kilku swoich do krajów „gdzie najwięcéj żydów, szczególniéj prawo-„wiernych jak nasi w Litwie, aby tam namó-„wili jakimkolwiek sposobem żydka młodego „i pierworodnego, a zatém wykupionego (1) a „poduczonego dobrze, i aby go tu przywieźli; „tu zaś ucinają mu głowę, i stawią ją w téj „szkole i w téj szafie, ale kładą jéj pod język „słowo Mojżeszowéj kabały, to jest *słowo ży-„cia*, przez które on niegdyś wszelkie cuda „czynił; przez które faraonowskich czarnoksię-„żników zwyciężył, i wodę na pustyni ze skały „wyprowadził. Głowa więc ta ożywia się na-„tenczas, i odpowiadać musi na wszelkie ich

---

(1) Za każdego pierworodnego syna żydzi płacą okup Lewitom: to jest jednemu z pokolenia Lewitów najbliżéj natenczas znajdującemu się.

„zapytania: tak jak i ja odpowiedziałem na „twoje, gdyś wykrzyknął co się z tobą stanie?”

Oto słowo kiedy słowo! oto *verbum!* mówił śmiejąc się gwardyan, musisz je zapewna znać panie Salomonie. Zmiłuj się, zrób nam jaki maleńki cudzik.

Rabin powstał, spójrzał obrażonym wzrokiem na gwardyana, i rzekł:

Słowo to znasz sam księże!

— Jakto?— zapytał zdziwiony gwardyan. Słowo to, mówił poważnie rabin, jest... *Bóg!* ale aby ono cudotworczém się stało, potrzeba aby usta człowiecze godne były je wymawiać — i dla tego..... i dla tego księże gwardyanie.... my obadwa cudów nie zrobim. Znowu skonfundowany gwardyan zamilkł.

„Takim sposobem opowiadał daléj żydek „wołożyński swemu rabinowi i starszyźnie, „powtarzając im słowa uciętéj głowy; takim „sposobem wiedzą *Zasabatejczycy* wszystkie „punkta i reguły naszego zakonu; a dla tego „co lat sto odmieniają oni głowy, że wciągu

„takiego czasu, może się tu między nami stać „i postanowić cóś nowego, o czém stara gło-„.wa niewie.

„Teraz, mówił mi tenże sam głos, przystąp „śmiało do téj szafki; otwórz ją, a nie trać „czasu; dwa dni przespałeś, dziś trzeci koń-„czy się; na trzecim zaś muszą oni koniecznie „swoje zrobić. Zginiesz zatém jeżeli opóźniać „się będziesz.

„Ośmieliłem się więc i otworzyłem szafę.... „Ale cóż się zemną stało, gdy tam ujrzałem „tę głowę gadającą.. osłupiałem i z miejsca „ruszyć się nie mogłem. Znowu mnie zatém „ona głowa dodając odwagi rzekła:

„*Jankielu* synu Szlomy wołożyńskiego, wi-„dzisz że wiem kto jesteś, wiedz także żem „i ja z Wołożyna, i mnie tu niegdyś tak jak „ciebie przywieźli; nielękaj się więc, ale przy-„siąż że mnie zaniesiesz do ziemi i miasteczka „gdziem się urodził, i zkąd sam jesteś, i tam „mnie w mogile ojca mojego pogrzebiesz. Da-„jeszże mi na to *chejrym*?

— „Daję,— odpowiedziałem już śmiało,— „daję!

„No, teraz zbij to szkło, wyjm z pod mo- „jego języka karteczkę pargaminowę, na któ- „réj napisaném jest słowo kabały, i włoż tę „karteczkę sobie pod język; potém włoż mnie „do worka swego skórzanego, w którym przy- „wiozłeś tu swoje *Tfilim* (1) i wychodź ztąd. „Nikt cię nieobaczy ani zatrzyma: wszystkie „i wszędzie drzwi i bramy tobie się otworzą, „rzeki przed tobą się rozstąpią, jeść ani pić „nie będziesz żądał, i sam niewiedząc jak, „staniesz w Wołożynie na nasze święta *Jom-* „*Kipur* (2). Tam znajdziesz wszystkich na- „szych na mogiłach, słowo to nakoniec, za- „prowadzi cię prosto nad kamień ojca moje- „go i podniesie ten kamień przed tobą."

---

(1) Znaczy w ogólności — rzecz świętą — a w szczególności żydzi tym wyrazem nazywają swe pasy rzemienne i małą skrzyneczkę z dziesięciorem, którą na łeb przywiązują, gdy się modlą.

(2) *Jom-Kipur* — Dzień expiracyi — za dusze zmarłe.

Spełniłem to wszystko jak widzieliście, i oto jestem między swojemi, dokończył Jankiel z radością, i znowu ojcu i rabinowi nogi całował, a rabin spisał całą tę historyę według jego słów: wydrukowano potém pismo rabbina, i książeczkę tę mamy tu u siebie w Wołożynie (1).

— A domyślam się teraz, — rzekł gwardyan, — domyślam się; to pewnie dzisiejszy wygnaniec był *Sabatejczyk*, i przyszedł tu po nową głowę. Zgadłemże panie Salomonie?

— Zgadywasz ks. gwardyanie, — odpowiedział rabbin, — tak jak i ja zgadywałem, patrząc pilnie na wszelkie tu jego kroki i obróty, a najbardziéj na jego staranie, i podmawianie kilku młodych bachurów z méj szkoły, aby z nim jechali.

— A czemużeś go wypędził? — rzekł znowu gwardyan; — trzeba go było zatrzymać a

---

(1) Tytuł hebrajski téj książeczki — *Saramelah.*

wziąść na *antabę*, niechby nam pokazał drogę do swego zaklętego kraju.

— A to naco?— odpowiedział Salomon,— kwestarza byście tam swego nieposłali, a przyjdzie czas, gdy wszyscy o téj drodze dowiemy się.

— Kiedy?— zapytaliśmy razem.

— Wtenczas,— mówił znowu powstając i z powagą rabbin,— wtenczas gdy się nam wszystko co było, co jest, i co będzie odkryje!

— To jest kiedy?— powtórzył pytanie gwardyan.

— Gdy umrzesz!— zawołał rabin— uroczystym głosem podnosząc oczy i ręce w górę— gdy umrzesz!!!

Wszyscyśmy oniemieli na tak niespodziany argument — milczeliśmy i szklanek nawet do ust niepodnosząc, jakby nam pieprzu do kaliszanu sypnął. Salomon dopił spokojnie własnéj; powiódł po nas oczyma — ukłonił się— i wyszedł.

Nazajutrz wybierałem się już w drogę, gdy mi chłopak wzięty z okolicy oznajmił, że brat Piotr od wczorajszego wieczora zniknął. Przeraziła mię ta wiadomość, bo podejrzywając go o powrót do Judaizmu, miałem jakoś na sumnieniu żem go z klasztoru wywiozł; prześledziwszy więc całe miasteczko, gdym się go nigdzie niedopytał, postanowiłem pójść do rabina i ściśle jego wyekzaminować o moim zbiegu. A że wczora poznałem jaka to mądra głowa, i jak trudno mi będzie wyprowadzić go w pole, jeżeli sam dobrowolnie wyjść nie zechce, uprosiłem więc ks. gwardyana aby poszedł zemną.

Gdyśmy doń weszli spotkał nas uprzejmie i uśmiechając się zapytał: — Pewnie przyszliszcie ichmość szukać swego Piotra.

— A tak, — rzekł gwardyan, — więc wiesz panie Salomonie gdzie on jest!

— Tak, nie — tak, nie — odpowiedział rabin wskazując na zegar wiszący i u niego na

ścianie — tylko ręczam że go niema w Wołożynie.

— No panie Salomonie — mówił serio ks. gwardyan,— proszę nieżartować i wrócić nam naszego zbiega.

— Gdybym go wam zabrał, tobym go i wrócił, chociaż prawdę mówiąc, nie jest on ani wasz, ani nasz.

— Jakto nie nasz? — zawołałem — Piotr jest ochrzczonym!

— Sam przecież uznał że nie jest ani waszym ani naszym; bo poszedł za trzecim.

— Za kim?

— Za Sabatejczykiem.

— Jakto być może?— zawołaliśmy oba zdziwieni.

— A tak niezawodnie — ręczam.

— Czyś go widział panie Salomonie?

Po chwili milczenia i z niejakim przymusem rzekł rabin: — widziałem.... widziałem go na rozdrożu — *tak*, *nie* — *tak*, *nie* — błąkał się... ścigał tajemnice rozumem.... naciągał nadto tę

zerdzewiałą sprężynę życia ludzkiego.... więc i pękła...

—To się znaczy że zwarjował?— zapytałem.

— *Tak*, *nie* — *tak*, *nie!*

— A czy wiesz panie Salomonie,— rzekł nakoniec zniecierpliwiony gwardyan,— i wiesz zapewna, bo czytasz wszelkie księgi, a nawet bodaj greckie, że była w Grecyi sekta filozofów, tak nazwanych *sceptyków*, którzy o wszystkiém wątpili. Czy mieli oni rozum?

— *Tak*, *nie* — *tak*, *nie!*— odpowiedział rabin jeszcze poważniéj.

— Tfu! tfu!— wykrzyknął gwardyan — Salomon się rozśmiał i odeszliśmy z niczém.

---

Po takiéj odpowiedzi Salomona, nie było mi już po co gonić za warjatem. Ks. gwardyan Wołożyński dał mi swego klasztornego woźnicę, a przy pomocy chłopaka danego mi przez pana Zbrożka, przebyłem szczęśliwie

mil kilka, pozostającéj mi drogi, i pędząc przed sobą więcéj kopy baranów, tryumfalnie zawitałem do *Bienicy*.

---

## XIII.

### Są twoje — ale to nie ty.

Nie dał mi długo wypoczywać w klasztorze nasz ówczesny ks. gwardyan: w kilka tygodni po moim powrócie, rzekł on do mnie: *Gratias tibi* bracie Rafale za twą kwestę, opatrzyłeś obficie naszą dyspensę, a nawet i naszą kalitę. Ale zima się zbliża, potrzeby się powiększają; bo gdzie z półkopy ludzi nakarmić codzień, napoić i odziać przychodzi, tam zapasy nie długo trwają; jedź więc znowu bracie miły. Na południu, chociaż spotkałeś się z farmazonami, i choć farmazońskie pieniądze nie poszły nam na pożytek, jednak ci Bóg poszczęścił, jedźże teraz na północ: nie długa będzie twoja wędrówka, bo już

piérwszy *ber* (1) w połowie; kilka tygodni *wentylacyi* nie zaszkodzi waści a klasztorowi pomoże; wybieraj się więc bracie, i bez zwłóki ruszaj.

Nazajutrz zatém już byłem na wozie, i dyrekcyę podróży mojéj podług rady ks. gwardyana na półncc obróciłem. Na południu *palisto* — na północy *lesisto*. Na południu *gliniasto* — na północy *piaszczysto*. Na południu, wieś przy wsi, dwor przy dworze; na północy mil kilka ujedziesz, i to jeszcze ciemną puszczą, nim trafisz na gniazdo ludzkie, ależ za to te gniazda szerokie! panowie liczą tam na tysiące włok swoje obszary i łasy; a gdyby kwestarz zamiast baranów, mógł od nich brać łosiów, wilków, i niedźwiedzi, toby kopami dzikiego zwierza za sobą prowadził. Oto byłaby osobliwość!

Na furmana nająłem sobie mieszczanina

---

(1) *Ber* — 7-ber — i tak daléj cztéry miesiące kończące się na *ber*.

z naszego miasteczka; podżyły już to był człowiek i wprawdzie rozmówisty, ale gdzież mu do woznicy, który niegdyś brata Ławrynowicza woził; a jednakże wiedział on i opowiadał mi historyę fundacyi naszego tu kościoła i klasztoru. Wierzył on nawet w owe skarby ukryte i zaklęte w grobie fundatora, ale to mi wyszło natenczas z głowy i z pamięci; i aż oto teraz po przeczytaniu Pamiętników Kwestarza, jam sobie przypomniał to podanie, a ojcowie w klasztorze o nim się dowiedzieli. Piérwszy raz rzuciliśmy okiem na konterfekt *Kociełła*, zapylony, i w zakrystyi w kącie wiszący, a przy nim i na worki, jakby na kopije tych, których autentyki pełne złota, on sam strzeże (1).

Puszczając się na południe zostawiłem *Wilię* za sobą; więc teraz jadąc na północ, miałem ją przed sobą i przebyłem brnąc daléj a daléj i doświadczając codzień hojności chrześcijańskiéj tamtejszych panów.

---

(1) Pamiętniki Kwestarza.

Wszakże nad spodziewanie króciéj trwała ta *wentylacya* moja, na którą mię ks. gwardyan wyprawił, i która nie miała mi zaszkodzić, a przecież bardzo zaszkodziła. Oho! *Homo proponit — Deus disponit!* Zachorowałem bowiem w drodze tak mocno, że ledwo żywy dowlekłszy się do klasztoru naszego w *Drui*, i zalokowawszy się tam w infirmarium, odprawiłem mojego Macieja z wozem i baranami do domu, a sam poleciwszy się miłosierdziu Matki Boskiéj, do któréj od lat dziecinnych mam szczególniejsze i doświadczone modlitewki, i opiece ojców moich i braci w Chrystusie, czekałem na łóżku co mi Bóg przeznaczył.

W téj więc nieodległéj peregrynacyi mojéj, jedno ledwo takie spotkało mię wydarzenie, które przypomnieć sobie i wpisać tu muszę; ależ bo i napadłem na gniazdo!!!

Dni jesienne coraz krótsze; starałem się więc zawsze jak najwcześniéj lokować się na noclegi, abym w tych lesistych stronach nie błądził *nocyma* po srogich puszczach i rojstach.

Jednego zatém wieczora, jeszcze nawet przed zachodem słońca, zajechałem do jakiegoś poczciwego a ciepłego chłopka w pośród pięknych borów na zaścianku żyjącego; i trafiłem doń na *łaźbiny*, to jest gdy on pszczółki swoje, to w ogródku to w borze na barciach podbierał. Nietylko on mię ochotnie przyjął, i sutą wieczerzą uraczył, ale jeszcze sporym jaszczem pięknéj patoki obdarzył; nazajutrz zaś rano wybrałem się rozpowiedzianą przezeń drogą do wielkiego a blizkiego jak on mówił dworu, bo u nich mil kilka to sąsiedztwo; i około południa wyjechawszy z lasów na pole, ujrzałem ten dwór, prawda wielki, murowany; więc zawróciłem się ku bramie z dobrą nadzieją, że miłościwie jak zwyczajnie u bogatych dobrodziejów przyjętym będę, i że wypocznę sobie dzień jakiś, bo już mię choroba nagabała.

Wraz za bramą na dziedzińcu droga się rozdzielała na dwoje: jedna się zawracała do pałacu przed ganek, druga szła prosto aż do

drugiéj dość odległéj bramy, za którą rozlegały się obszerne ekonomiczne zabudowania. Tam moje miejsce pomyślałem, bo tam pewnie mieszka pan ekonom czy pan kommisarz, z któremi najczęściéj u wielkich panów kwestarskie odbywają się sprawy; — jechałem więc prosto przed siebie — dziedziniec jak suknem atłasowym zasłany; taka piękna i czysta na nim murawa, którą moje barany skubać zaczęły.

Wtém posłyszałem z ganku wołanie:

— He! co to? kto tam waść? a stój mosanie! — i postrzegłem biegącego ku mnie lokaja z pałacu. Wyśiadłem więc co najprędzéj z wozu, i zacząłem spędzać owce moje z murawy.

— Pan prosi jegomościa do siebie; — rzekł zasapany w biegu lokaj.

— Zajadę, — rzekłem, — do ekonomii, i ztamtąd wnet upadnę do nóżek jaśnie wielmożnego pana.

— Nie, nie, — odpowiedział *servitor* —

proszę jegomościa zawrócić wóz pod ganek, i samemu iść za mną, bo tak pan kazał.

— Ale bo widzisz mój bracie moja trzodka popsuje murawę.

— To nic, mój jegomość — odpowiedział on, — to nic. Nasz pan lubi owce, i ma ich z tysiąc, czy bodaj więcéj; często tu na dziedzińcu kopami ich przypędzać każe, i z ganku na nich pogląda, lub z owczarzem sam je rozpatruje; murawa potém jeszcze lepiéj rośnie.

— A cóż tam mosanie rozhowor prowadzicie?— krzyknął znowu głos z ganku;— kiedy ja kazałem zawrócić, to i zawracaj mosanie— więc bez dalszych wymówek zawróciłem podług rozkazu.

— Czy to wasz pan taki srogi i gniewliwy?— zapytałem u idącego obok mnie lokaja.

— At sobie pan! — odpowiedział on kiwając głową niedbale — Ja tu niedawno na służbę się dostałem, i niedługo pobędę, bom przywykł u prawdziwych panów służyć.... a ten bodaj także nie dawno wlazł do pałacu, to i

nie umie jeszcze w nim siedzieć. At spanoszały sobie pan! i machnął ręką.

Nie było już czasu do dalszych kwestyj bośmy się zbliżyli do ganku, na którym oczekiwał nas jaśnie wielmożny.

Była to *facies* szczególniejszego gatunku: średniéj tuszy i urody, łeb szeroki i łysy, tak przynajmniéj z daleka postrzegłem; ale gdym już był przed nim, ledwom się nie przeżegnał z zadziwienia ujrzawszy czarną gęstą i wichrowatą czuprynę na jego głowie. Czy tak obrosł w mgnieniu oka; lecz że ten cud potém kilka razy przedemną się powtarzał; że on kilka razy i zdejmował i wkładał sobie na głowę tę czuprynę jak czapkę, więc teraz żadnéj gęstéj czuprynie na głowie podstarzałego ćwika nie wierzę. Oczy on także raz zakrywał pięknemi w złoto oprawnemi ze szkła zielonego okularami, to zdejmując je z nosa i z za uszu, patrzał jasno, tak; że raz bywał łysym i ślepym, a znowu kędzierzawym brunetem i ostrowidzem. W téj ostatniéj

postaci, to jest gdy marszczki na łbie i podoczami pozakrywał, młódszym był o lat dziesiątek przynajmniéj, niż gdy się stawił w naturalności; bo wtenczas miał pewnie sześć krzyżyków pełnych, lub i przepełnionych. Ubrany w aksamitną sobolem czy tam inném jakiém futerkiem obłożoną czamarkę, zastępującą widać szlafrok, siedział on na ganku w szerokiém krześle, popijając kawę ze sporego kryształowego, bogato w srebro osadzonego kubka; a paląc lulkę z długiego aż do ziemi cybucha, wielkim bursztynem rozpychał sobie usta. Pan, całą gębą pan! ale że mu z lica i z postaci nie łagodność i wspaniałość pańska, na któréj poznałem się przecież w moich włoczęgach po rozmaitych wielkich i małych dworach, ale jakaś buńczuczność i hardość wyglądała; a to przymioty zwyczajne nie samych wielkich panów, ale raczéj wielkich sług wielkich panów; to i jego pańskość podejrzaną jakoś mnie się wydała, zwłaszcza po odezwaniu się o nim sługi jego.

— He! co mosanie? wilk na nasze barany! — zawołał on — złapałem cię na przesmyku! a znamy tu podobnych tobie z *Drui*, z *Bucławia* — a waść zkąd? he! co?

— Z *Bienicy* jaśnie wielmożny panie.

— Aha z *Bienicy*, wiem, to w Oszmiańskim: widzę żeś roztropny, znasz *mores* i respekt jaki się komu należy — tak, *jaśnie wielmożny*, bo byłem *vice*... ale na co mam się tłómaczyć, gdy sam to poznałeś — więc dobrze — piękne już masz stadko owiec — he? co mosanie?

Za wozem bowiem moim, szła i moja trzodka, a na jéj przodzie wielki baran od pana *Brochockiego* mnie dany, któremu na szyi uwiązawszy dzwonek, na *prewodyra* przyuczyłem.

— Zkąd masz tego barana popku? — zapytał pan: — wygląda coś na merynosa he! co?

— Ze Słuczczyzny panie dobrodzieju.

— Zgadłem — tam najpiękniejsze owczarnie; trzymaj go za rogi, — rzekł do lokaja, —

czemu łatwo poddał się mój biedny *prewodyr* bo był do rąk przywykły.

W mgnieniu oka pan siedział konno na baranie; oszłapił go mocno, i rozchylał gęstą jego wełnę.

— *Infantado!* jak mi bóg miły *Infantado!*— zawołał on— co chcesz popku za tego barana he! co mosanie?

— Niewiem jw. panie co to jest *Infantado?* ależ na baranach nie jadą,— rzekłem,— bo mi żal zrobiło się mego rogacza, który upadł pod jezdcem i zabeczał.

— No, no popku nie lękaj się; nie zacisnę go, nie zacisnę; ale wiesz co? handel! dwie sztuki za jedną! dwa barany za jednego! he! co mosanie. A za każdém takiém *he! co?* bystro on na mnie rzucał okiem wyzywając jakoby na odpowiedź, któréj najczęściéj nie czekał, i sypał jak z rękawa własne zalety i pochwały.

— Nie mogę odpowiedziałem dogodzić żą-

daniu jw. pana, bo bez *prewodyra*, któż mi trzodę za wozem poprowadzi?

— No pomyślim i pomiarkujem się,— rzekł on zsiadłszy z barana, i dopijając swą kawę:— jedź tam na ekonomię, mówił potém, wskazując ręką memu furmanowi drogę, a waść popku, ponieważ podobasz mi się, zostań tu. Zjesz przecie obiad z nami, o jakim w klasztorze ani ci się przyśni, i za klasztorem nie często. Tu szepnął cóś na ucho małemu kozaczkowi, który się podwinął na ganku, a ten pobiegł na folwark.

—Oj, hardopyszek to jakiś,—pomyślałem;— poczekaj, przytnę ja tobie. Weneruję stopy jw. pana rzekłem, i dziękuję za ten honor, któryby mnie spotkał za stołem pańskim! ale wysokie progi na moje nogi; sam jw. pan przekonałeś się że znam *mores* i respekt, ale znam i od siebie, i dla siebie; popek niech zasiada z panem; ale prosty brat kwestarz bernardyński, podług swéj ubogiéj kondycyi,

znajdzie i u dyspozytora pańskiego dostateczny posiłek... więc i ja ruszam za moim wozem.

— He! co mosanie — przerwał mi skonfundowany trochę pan — he! co? aha! stój! tak, nie popek, nie; ale brat kwestarz, cha, cha, cha, — a kaci was wiedzą kto z was starszy. Ale mniejsza o to, zostań tu kwestarzu, i koniec rzeczy; a ponieważ jest to godzina w któréj obchodzę i lustruję całą moją administracyę, więc chodź za mną; obaczysz i przed ludźmi powiesz co ja mam, i kto jestem.

Nie należało mi go daléj obrażać, dość że sam od postpozycyi się obroniłem; więc owszem ciekawie poszedłem za nim na tę lustracyę.

---

Rzeczka oddzielała dziedziniec pałacowy od ekonomicznego; na niéj most murowany, który przeszedłszy pan, stanął w pozyturze, i obracając się ku mnie z miną ukontentowaną,

he! co mosanie?—zawołał:—miasteczko pop... nie nie, kwestarzu, miasteczko! nie prawdaż? mury! mury! A gdybyś tu był przed kilkunastu laty gdy dobra te należały do wielkiego wprawdzie, ale po dawnemu niedołężnego pana, tobyś widział same ruiny; ale jak się te ruiny dostały w moje ręce, oho! wnet ruch! z panem rachunki, a z majątkiem moderumki; aż nakoniec panam mosanie wykwitował, a majątek wymurował.... ale dla siebie — he! co?

— A cóż?—rzekłem,—kiedy Pan Bóg po sprawiedliwości błogosławił, to i dobrze, ale.... i zamilkłem.

— No cóż ale?— zapytał on ciekawie.

— Ja milczałem uśmiechając się tylko.

— He! co?— zgadywam myśl twoją,— ale kiedy djabeł pomagał, chciałeś powiedzieć.

— Kiwnąłem głową.

— Ha, jeżeli i pomagał,— mówił on daléj śmiejąc się także,— to nie proszony ani dziękowany.

— At tak, jaśnie wielmożny panie, — dodałem, — z łaski swojéj, i po przyjacielsku.

Rozśmieliśmy się oba.

— Nazywają mię dorobkowiczem, parweniuszem, ale ja drwię z tego — zazdrość mosanie, zazdrość ludzka.

Tak dyszkurując zbliżyliśmy się do budowli wielkiéj, z któréj szerokiego komina, gęsty dym walił kłębami; gdyśmy drzwi otworzyli i weszli, nie mogłem ani kroku postąpić, ani rozpoznać się gdzie jestem; tylko co wspominając przeklętego nieprzyjaciela dusz naszych, rozumiałem żem wpadł właśnie do jego państwa. Para jakaś gęsta i ciężki duch mi zajęła i zamgliła oczy: huk, puk, szum, świst odurzył mię zupełnie; widziałem tylko przed sobą, jakieś wielkie ognisko, a nad nim i w około, i na dole i na górze, i po całéj téj zamroczonéj otchłani, jakieś przewijające się i smolnemi płomieniami błyskające straszydła.

— Ach! Jezus, Marya, Józef! — krzyknąłem; — gdzie ja jestem?

— He! co? — czego wrzeszczysz? — jesteś w browarze parowym; — odezwał się głos pana, — ale utopiony gdzieś tam daleko odemnie w tém piekle — chodź tu!

— Z miejsca ruszyć się nie mogę, — krzyczałem znowu, — ratuj mię pan na miłość boga, i każ ztąd wyprowadzić na świat boży.

— He! co? — kto tam jest? — a prowadźcie tu kwestarza.

Na ten rozkaz zjawiło się przedemną dwóch żydów; jeden świecił pękiem rozpalonego łuczywa, a drugi mnie prowadził, to po wschodkach w górę, to po wschodkach na dół, aż nakoniec wszedłem do izby, gdziem na nowo ujrzał światło dzienne.

— A chwałaż Bogu! — zawołałem oddychając wolniéj i przecierając oczy; — a chwałaż Bogu żem się między ludzi dostał. Po co mię tu pan wprowadziłeś?

On mi śmiechem najprzód odpowiedział, a potém rzekł: — Wprowadziłem cię tu na bernardyńskie śniadanie; ot patrz jak wó-

deczka potokiem z za ściany do beczki płynie; ręczę ci że wyśmienita; łyknij! podajcie kieliszek kwestarzowi.

Żydów około nas było pełno, i jeden z nich, podstawił czarkę pod rurę, z któréj wódka płynęła, i podawał mi pełną.

— Najprzód ja wódki niepiję,— rzekłem,— a gdybym i pił, to bym przyjął z rąk pańskich, ale nie z pogańskich.

— Oho mosanie, masz swoje *ale*— rzekł pan.

Żyd tymczasem przykrył czarną dłonią, skłócił mocno i szumnie pieniącą się gorzałkę i podnosząc na oko panu,— mówił z chlubą:— Perły jasny panie! perły!

— He! co?— piérwszy raz jesteś w browarze parowym?— zapytał on mnie.

— Daj boże i ostatni jw. panie.

— A to czemu?— to grunt i dowód gospodarki wielkiéj i zamożnéj; u małéj szlachty tego nie obaczysz: (1) patrzaj co tu kuf, a

---

(1) Potém gorzelnie parowe rozpowszechniły się; ale

wszystkie pełne takich pereł, z jakimi się ten barabasz chwali.

— Dozwól mi jw. panie wyjść ztąd,— rzekłem,— tylko proszę przewodnika, bo sam nie trafię.

— No, no,— pójdziemy razem,— odpowiedział pan,— i otworzył drzwi osóbne, których niewidziałem, *insperate* zatem, ujrzeliśmy się na dziedzińcu, nie przechodząc przez te przeklęte labirynty. Więc na dalszą puściliśmy się lustracyę.

W stajniach pyszne konie, cugi i zaprzęgi. W wozowniach wspaniałe karety, i rozmaitego blajeru kolaski, bryki i wozy. W oborze krówek najpiękniejszych aż miło spójrzeć; a w owczarni gwałt! tuzin klasztorów bernardyńskich cały rok wykarmiłbyś baraniną.

Spichrze, które odmykać kazał, bodaj u-

---

natenczas rzeczewiście tylko po wielkich majątkach je urządzano, a niedokładność początkującéj maszyneryi, wnętrze ich podobném czyniło do tego obrazu. (*P. W*).

myślnie dla okazania mi dostatku swojego, zasypane ziarnem od dołu do góry, słowem wszędzie gdzie mnie poprowadził, obfitość i ład. Ale też i rygor! czuj duch! panowie oficyanci bez czapek szli za nami, pokornie; a jak się pan odezwał, *he! co?* to wszyscy *szarf!* jak gimejni przed generałem. Jednakże te he! co? uprzykrzyło się mnie; bo za każdém pochwaleniem się, a chwalił się co krok swoim bogactwem, pytał mię zawsze, i pobudzając do podziwienia wszystkiem patrzał w oczy i powtarzał swoje he! co? mosanie?

Nieodpowiadałem za każdym razem i milczałem, bo już namyśliłem dlań generalną odpowiedź, to jest dawny wierszyk, którego razem z kilką innemi, i razem z ową odą uzdrawiającą zwichnięte młode głowy, niegdyś nauczyłem się; a którego, choć mi niewróżył szczęśliwéj kwesty, ale zamilczećbym go nie mógł; bo konceptu gdy raz wejdzie na język, gładko nazad nie połkniesz.

Gdyśmy już wracali do pałacu, zaszedł nam drogę tenże sam lokaj i podając panu list — z poczty — rzekł.

— A to od mojego Michasia, — odezwał się on — łamiąc pieczęć.

— Mam kwestarzu, syna jedynaka.

— Niech Bóg hoduje na pociechę pańską, — rzekłem — uchylając głowę.

— Już wyhodowany mosanie, — mówił on daléj, — a szprytna sztuczka! Jak tylko przeszedł szkoły, że tam gwiazd nie liczył, i tylko liznął wszystkiego po trochu, więc nie sposobiąc go daléj na wielkiego filozofa, wnet pchnąłem w świat, do kancellaryi w gubernii; pensyjka wprawdzie nie wielka — no — ale... ale... są z boku, z boku niewinne akcydensiki.... Grosza mu nie daję, niech panicz sam pracuje i uczy dorabiać się chleba, tak jak i ja się dorobiłem, i ja grosza niemiałem w jego wieku.

— Ale on mosanie oho! jak poczuł pot; jak zaczął to pisać, to skrobać, to i wyskrobał się na człowieka! rozum nad lata. Dwu-

dziesty drugi rok mu ledwo, a głowa mosanie, niech go licha! jak zacznie prawić i prawić, to aż moja pęka. Otumanił okolicznie wszystkich moich sąsiadów, i teraz on plenipotent w gubernii prawie wszystkiéj tutejszéj szlachty; osobliwie do wywodów *gracz!* i wszystkich ma w kieszeni....

— Czy nie on sam w kieszeni u wszystkich?— przerwałem niby żartem.

— Na jedno to wychodzi,— mówił uszczęśliwiony tatulek ze swego synka,— na jedno wychodzi; on im służy, a oni mu się przysługują, ręka rękę myje. Kiedy zaś do nas zawita czasami, to matka aż skacze około niego z radości; bo to mosanie elegant brzyżysty! batystowy! (1) Zegarki, pierścionki, bursztyny na cybukach! a wszystko to ztąd:— mówił stukając w łeb palcem— ztąd!

Ot i teraz błazen jak się wykierował? do

(1) Natenczas były w modzie, bryże batystowe karbowane na piersiach u mężczyzn elegantów.

nosi mi że odkomenderowany na sekretarza do kommissyi rekrutskiéj.... to od razu kapitalik mosanie — he? co!

A co najlepsza, że dla siebie nie załuje, nie skąpy, nie — ale na bok w cudzą rękę grosza niepuści! nie żal takiemu i fortunę zostawić.

„*Jakie drzewo taki klin — jaki ojciec, taki syn*" pomyślałem: tymczasem zbliżyliśmy się do pałacu.

— Proszę za mną mosanie, — rzekł on — i weszliśmy do pokojów.

— Pańskie, prawdziwie pańskie komnaty; napatrzyłem się ja wprawdzie takich w Nowogrodzkiém i w Słuckiém; ale tutejsze bodaj czy nie przywyższyły tamte. W piérwszéj zaraz ujrzałem z pięciu kwestarzy w wielkich lustrach wiszących po ścianach; obrazów w złotych ramach jak do ołtarza, tylko że świeckich a nie świętych, mnóstwo: i czegoż tam jeszcze niebyło? Boże zmiłuj się!

— Postrzegając moją admiracyę, he! co

mosanie!— zawołał pan;— to nie w waszych celkach... No widziałeś kwestarzu jak ja gospodaruję; teraz rozpatrz się jak ja mieszkam. Pójdę tymczasem przebrać się na obiad; bo widzisz mosanie, wynidzie na pokoje i moja żona z córkami.

— A wszakże jw. pan mówiłeś, że masz syna jedynaka.

— Naturalnie, syn gdy niema brata liczy się jedynakiem — i wyszedł.

— Nieulegając temu zaproszeniu rozpatrywania jego pańskich apartamentów, siadłem sobie spokojnie blizko drzwi, i czekałem obiadu, który stawał się mi coraz pożądańszym, zwłaszcza po tak długiéj przechadzce. Siedziałem tak z godzinę, aż się znowu pokazał znajomy mi lokaj, ale przebrany także na przepych, i błyszczący od galonów jak obrazek.

— Proszę na obiad,— rzekł lokaj.

— Ach mój bracie,— odpowiedziałem;—

jakże ja tu pójdę, po tych slizgawicach i kobiercach?

— At, nieuważaj jegomość,— mówił on,— idź śmiało, — jegomość po kościele chodzisz pokornie, to co innego, a tu... znowu machnął ręką; a ja znowu żałowałem, żem z nim więcéj pogadać niemógł.

W sali długiéj i szerokiéj przynajmniéj jak nasz refektarz, znalazłem już siedzących około okrągłego stołu; pana, panię, i panięta; dla mnie nakryto na osóbnym stoliku przy kredensowéj szafie. Nigdzie mię jeszcze niespotkała taka konfuzya i szlachecki hambit odezwał się we mnie. Poczułem że mi policzki gorzały; po myśli przemknął mi pochop „*odejdę*" ale chwała Bogu habit odpowiedział „zostań— a „pokora zakonna?" Wnet więc pokonana pycha jako grzech śmiertelny, i ja ukłoniwszy się pokornie okrągłemu stołowi, i odmówiwszy zwykłe *benedicite* usiadłem za moim. Wtenczas spójrzano na mnie, spójrzałem i ja na wszystkich. Jegomość przestroił się zupełnie,

czuprynę nawet czy inną włożył, czy też samę uczesał i ufryzował na nowo, słowem wyglądał i bogato i czupurno, i brzyżysto i buchasto!

Imość i córeczki w bławatach, obok jeszcze kilka kobiet, niewiem już z jakiéj nacyi, bo gadały cudzemi językami jak nawiedzone, a wszystkie ciekawie na mnie poglądały: imość sama przymrużając oczy, córeczki nie śmiało i z ukosa, a te inne kreatury *generis foeminini* wytrzeszczonemi oczami, jakby mnie urzec chciały. A może i urzekły, bo przecież od tego obiadu, gorzéj mi się na zdrowiu stało. Obiad był wyśmienitym, i byłby jeszcze smakowitszym, gdyby go swemi pochwałami sam gospodarz nie psuł; do każdéj bowiem potrawy wbijał on jak dwie koście ostre, swoje he! co? i jeszcze kwasił dodatkami, których już i niepamiętam.

— He? co mosanie? — na waszych przystawkach w klasztorze takiéj sztuki mięsa nie obaczysz; jedz mosanie popku, chcę mówić

kwestarzu, jedz! bernardyni wiadomo pasibrzuchy, a ty jak uważam delikatnie tylko kosztujesz. — Gabryelu, dołoż kwestarzowi jeszcze jednego zraza, i naléj mu szklankę madery, téj którą ja sam piję.

A gdym się bronił od tak wielkich porcyi.

— Pij! — mówił on, — pij! wino wyborne; a z całym swoim konwentem mojéj piwnicy nie wypilibyście; pij mosanie, nie żałuj!

— Ej — myśliłem ja, słuchając razem i téj uprzejmości, i tego chlubstwa, i téj rubasznéj poniewierki; — ej nabiegasz ty na moje wierszyki, jak zając na cel strzelca.

Dla tego choć się obiad skończył, i kompania okrągłego stołu, niby to żegnając się, muchy około nosa opędziła, ja chociaż podziękowawszy, mógłbym ich razem i pożegnać; że przecież rachunek nasz z panem niebył jeszcze skończony, a sam on nieprzestawał zemną konwersować, owszem jakby umyślnie rozmowę przedłużał, więc i ja niekwapiłem się za drzwi.

— He!. co mosanie?— rzekł on uśmiechając się;— przepraszam za obiadek: możeś głodny kwestarzu.

— Syt jestem aż nadto jw. panie,— odpowiedziałem kłaniając się uniżenie.

— Bo to mosanie jeździsz po rozmaitych dworach i panach, co w jednym obaczysz opowiadasz zapewna w drugim.

— Tak jw. panie,— przerwałem,— jeżeli cokolwiek postrzegę ku zbudowaniu ludzkiemu, to dobry przykład roznoszę po świecie; ale jeżeli przeciwnie, to plotkarzem nie jestem.

— Otoż to mosanie— otoż to— i dla tego właśnie oprowadzałem cię wszędzie, abyś ludziom opowiadał, co to jest ład i gospodarność, nawet u wielkich panów; azatem jak uboga szlachetka nasza skromnie trzymać się powinna.... więc będziesz miał kwestarzu co opowiadać, i co tu pochwalić— nieprawdaż mosanie, he? co!— mówił z uśmiechem, i klapiąc mię łaskawie po ramieniu.

— A tuś mi!— pomyślałem ukontentowany.

— Tak, — rzekłem, — tak jw. panie; ale w téj okoliczności, przyszedł mi na pamięć dawny wierszyk; staroświecka to wprawdzie poezya, ale tu gdy idzie o pochwały domu pańskiego, zdaje mi się że przypada raźnie.

— Dobrze, dobrze — oto mi prawdziwy kwestarz, z konceptami a nawet z wierszykami; zarobisz barana, zarobisz — mówił on nie zgadując treści mojéj perory, i rozumiejąc zapewna że to będzie dlań penegiryk. Żono, dzieci, zawołał, a chodźcie tu, posłuchajcie poezyi bernardyńskiéj.

*Poezy! poezy!* odczwały się one z zadziwieniem i podeszły ku nam z drugiego końca sali.

Więc mówiłem:

„Chcesz bym cię chwalił mospanie,
Ale czy pochwał nam stanie?
Bo tu trzeba chwalić ciebie;
Nie zaś co masz ku potrzebie.
Piękne twe cugi, karety,
Są twoje — *ale to nie ty!*"

„Przepyszne też twoje szaty,
Owe sajety bławaty!
Drogą igłą haftowane,
Za najprzedniejsze są miane.
Z ślicznych korónek mankiety,
Są twoje — *ale to nie ty!*"

„Kuchmistrz twój jest wyśmienity,
Z każdéj potrawy człek syty:
Pod twém srebrem stoły mdleją,
Wina strumieniem się leją:
Przepyszne wety, pasztety,
Sątwoje— *ale to nie ty!*"

Codzień z wielkich dóbr przychody,
Płyną jak ze źródła wody:
Wszyscy przed tobą czapkują,
Bo w szkatule złoto czują.
Pełne worki i kalety
Są twoje — *ale to nie ty!*"

„Pokaż żeś jest sprawiedliwy,
Żeś na cudze nie jest chciwy:
Prawowierny, bogobojny,
Ku nędznym że jesteś hojny;
Jak ujrzę te twoje cnoty,
Wraz rzeknę — *O co to, to ty!*"

Gdym skończył jegomość przez czas niejaki, patrzał na mnie bystro: potém zdjął czu-

prynę z głowy i położył na stole... ja odstąpiłem dwa kroki w tył — on potarł czoło, i stanąwszy figurnie rzekł rękę ku mnie podnosząc:

„Baran dobry na kotlety:
Ale ja go zjem — *nie ty!*"

He! co mosanie? — krótko, węzłowato i *ex promptu!* — a tymczasem *popku fora ze dwora* — wskazał mi drzwi i odszedł, a za nim imość i cała czereda.

Po takiém pożegnaniu, niebyło po co dłużéj tu popasać; pośpieszyłem więc na ekonomię; gdyby nie moja poezya, miałbym tam zapewna wygodny nocleg. Zdziwił się mój Maciéj gdym mu kazał zaprzęgać, a oba zdziwiliśmy się jeszcze bardziéj, gdyśmy postrzegli że nasz *prewodyr* ostrzyżony.

Co to jest Macieju? — zapytałem, — jak i kiedy to się stało? czyś sam dozwolił zdjąć przed zimą kożuch z naszego poczciwego *Rogacza?*

— A w Imię Ojca i Syna! — odpowiedział Maciéj; — jakto ja miałem dozwolić? toż ra-

bunek dobrodzieju! domyślam się: mnie na obiad zawołali, a tymczasem zawinęli się tu z nożycami, około naszego barana... ale ja im tego niedaruję; to moja szkoda, ja niedopilnowałem, to ja i dójdę tego interessu, idę do samego pana.

— Daj pokój Macieju,— rzekłem,— daj pokój; widziałeś że na rogaczu naszym, pan siedział i wełnę jego rozpatrywał, więc postrzyżyny te bez jego rozkazu stać się niemogły, a ja przypominam że gdyś ty odjeżdżał od ganku, on coś szepnął kozaczkowi swemu, i ten poleciał za tobą na folwark, on to musiał nieść dekret na naszego *prewodyra.* A więc bez dalszych kweresów, wyjeżdżajmy ztąd co najrychléj, aby nam na rozdrożu noc gdziekolwiek nie zabiegła, wszak to już zmierzcha. Nim mrozy nadejdą, Pan Bóg nowy kożuch *rogaczowi* sprawi.

— Jak wola jegomościa dobrodzieja— odpowiedział Maciéj— wyjeżdżajmy— ale ja radzę wrócić po wiadoméj drodze do zaścianka

gdzieśmy taki wyśmienity nocleg mieli; poczciwy chłopek przyjmie nas znowu najżyczliwiéj i najlepiéj, ręczę jegomościa; świetlica czysta i ciepła, wypoczniem wygodnie — a jutro mając dzień Boży przed sobą, rozpytamy się drogi na *Druję* (1) gdzie dobrodziéj odpocząć chcesz, i do któréj jak mi tu powiedziano, jest mil pięć czy sześć.

Zgodziłem się na ten projekt Macicja; dowlekliśmy się do zaścianku; jak on przepowiedział, tak się i stało, chłopek przyjął mię jak ojca, a Macieja jak brata. Przenocowaliśmy wprawdzie bardzo dobrze, ale nazajutrz gorączka już mię objęła, i nawpół żywy, jak to wyżéj opisałem, dostałem się do *Drui*.

---

(1) *Druja* — Miasteczko w Lepelskim powiecie — Obywatela *Miłosza*.

## Colloquium trzecie u ks. Kustosza.

---

## XIV.

Spotykając się ze mną na kurytarzu, znowu zapytywał mię prawie codzień ks. kustosz:

— A jakże tam idzie bracie Rafale twoja skryptura? coś waszeć próżnujesz? pośpieszaj powoli, *festina lente*, jak tam powiedział stary *Horacyusz*, bo my czekamy; a uprzedź mię wcześnie kiedy mam zebrać *Auditorium*? to jest zaprosić znowu pana prezydenta i naszego ks. kaznodzieję, który wymawiał mi onegdaj, żem go na piérwsze posiedzenie nie wezwał.

Tak kurstany bez ustanku, przysiedziałem fałdów, i w jedną sobotę oznajmiłem ks. kustoszowi, żem na jutro gotów. A więc nazajutrz w niedzielę ks. kustosz zaprosił pana prezydenta z nabożeństwa na obiad do swojéj celi; pod wieczór zaś i mnie zawołano; zatém z raptularzem moim w ręku, przyszedłem.

Pan prezydent powitał mię jako i piérwiéj uprzejmie, i z uśmiechem podając mi rękę.

— *Salve!* — rzekł— *Salve doctissime auctor!* (1)

— Oho! już i *doctissime*,— odezwał się ks. kaznodzieja,— czy nie za wysoko mości prezydencie dla kwestarza.

Oh bo to *rigorosus pater!* ten nasz kaznodzieja— słowa niedaruje gdy nie według jego myśli.

— Dowiodę ci ojcze kaznodzieju,— odpowiedział prezydent,— żem w powitaniu brata Rafała, nie przesadził; i że niezapomniałem

---

(1) Witaj, uczony autorze.

jeszcze mojéj łaciny. Do ciebie rzekłbym— *Sapientissime pater*— *Doktryna* bowiem i *Sapientia* (nauka i mądrość) nie są to synonimy blizkiego znaczenia: wprawdzie piérwsza jest matką drugiéj, ale też bywa ona niekiedy i bezdzietną; dla tego wiele mamy uczonych, a nie mądrych przeto. Nadto, mój mości dobrodzieju, nauka nie z jednych tylko książek drukowanych się czerpie; świat jest wielką księgą, któréj praktyczne rozdziały przebiegał brat Rafał, więc jest on w nich *doctus*, i nam właśnie takie rozdziały z téj księgi, czytał i ma czytać.

Ks. kaznodzieja, czy to przez konsyderacyę dostojnéj persony pana prezydenta; czy to używając *pro hac sola vice* (1) jezuickiego argumentu, *per silentium*, (2) który, jak dowodzi ks. Jubilat, wielce niekiedy w dysputach pożytecznym bywa, dość że nie prowa-

(1) Na ten raz jeden.
(2) Dowod przez milczenie.

dząc dalszych kontrawerssyj zamilkł.— A tymczasem ks. kustosz uporządkował nas wszystkich po dawnemu przy stole, porozstawiał przed każdym szklanki z herbatą, i sam usiadłszy obok prezydenta.

— Czytaj,— rzekł do mnie,— słuchamy.

---

Więc i zacząłem, a gdym po rozdziale *Zdzieciniałego*, potrzebował nieco odetchnienia, i położywszy sekstern na stole, herbatę moją ostygłę popijać zacząłem, ks. kustosz przerywając milczenie słuchaczów.

— Cóż na to, panie przezydencie? zapytał.

— A cóż? a cóż *reverendissime*,— mówił namyślając się prezydent,— znowu kwestarz podług słów twoich ks. kustoszu, trącił się o kwestye żywotne naszego towarzystwa: jedne mu się odzywają jak echa z głębi przeszłości, drugie jak fałszywe tony owczesnego czasu, przedłużające się aż do dzisiaj, inne nakoniec które materyalnie czy duchownie,

żyją w sercach i umysłach naszych, a zatem wpływają na codzienne nasze kroki.

I tak naprzykład, jeden ten wyraz *Kochajmy się!* który tak głęboko wpojonym był w treść życia naszego, że nawet w głowie staréj i zdziecinialéj, w któréj już wszelkie wyobrażenia zatarły się, czerstwo się jeszcze odezwał, jakże wielkiego jest znaczenia w dziejach, w obyczajach, a nawet w naturze naszéj!!! Żaden naród takiém się nieposzczyci; bo żaden niemiał go swém godłem, żaden go tak niepojął i nieprzyswoił jak my, a nawet my sami dziś się ledwo na niém poznajemy i odkrywamy wartość jego, jak dzieci znajdujący w puściźnie po śmierci matki drogi klejnot, drogi talizman ich dobra, na który za życia jéj nie zwracali uwagi i oszacować nie umieli, chociaż w czasie dni godowych, i uczt rodzinnych, błyszczał on na jéj czole. W swieckim znaczeniu, słowo to, następowaćby powinno wraz po pieśni *Bogarodzicy;* tak jak miłość wzajemna ludzi między sobą, następuje i rodzi

się z miłości Boga, i jak obie panując w sercach naddziadów naszych, stawały się pobudką tak codziennych domowych jako i publicznych ich czynów. Były waśnie i kłótnie między nami, były — to prawda; bo kiedyż i gdzie między ludźmi być może wieczna jedność i zgoda? ale wśród największych zawziętości, nigdy głos kapłana wzbudzający w sercach w imię Boga miłość i pokój, naprożno i bez skutku nieodzywał się. Słowa święte wysokich pasterzy kościoła biskupów, koiły ogniste gniewy rwących się częstokroć na bratobójcze walki możnowładców; a spory i kłótnie braci szlachty, poczciwy pleban zwykle pogodził, przywiódł zwaśnionych do konfessyonału, i potém razem z niemi spełnił kielich miłości i pojednania: ***Kochajmy się!***

— ***Eloquentissime!*** panie prezydencie dobrodzieju, ***Eloquentissime!*** — zawołał ks. Jubilat zażywając tabakę i pokręcając głową.

— Mniejsza czy ***eloquentissime,*** ale ***verrissime***, wierzcie mi; a jeżeli ze wzruszeniem

to opowiadam, to dla tego że pamiętam dobrze, gdy ten kielich braterskiéj miłości, bywał jeszcze i w mojém ręku....

Onegdaj powiedziałeś ks. kustoszu i sprawiedliwie, że porzucając obce naśladownictwo, znaleźliśmy chwała Bogu obfity skarb cnót rodzinnych, które mogą wznieść duszę naszą ku wszelkiemu dobru i wszelkiéj doskonałości, byle je z miłością i pracą uprawiać i rozszczepiać. Prawda, znaleźliśmy ten skarb w przeszłości naszéj, w dziejach naszych: jak się on nam był zatracił, i dostawszy go, jak się dziś nań zapatrujemy, i jak go używamy? treśćby ta była do ważnego dla nas zastanowienia;— bo naprzykład dajmy to, że w składach dawnych, zarzuconych znaleźliśmy starą pradziadowską karmazynową ferezyę. Wyborna sajeta! doskonały gatunek, nie zbutwiała bynajmniéj, i bardzo użyteczną nam być może, owszém trwalszą jeszcze da odzież od dzisiejszych półsukienek, ale kolor i krój odmienić potrzeba: piérwszy jest nadto jaskrawym,

drugi do dzisiejszego obyczaju nieprzypada. Otoż o dobroci i doskonałości odszukanego materyału, niema dziś sporu — lubo spor taki, młode wnuki poczciwych naddziadów z ujmą i oczernieniem ich pamięci niedawno jeszcze wiodły — lecz dziś głosy i pióra prawie jednozgodne przyznają mu zalety; idzie tylko o przefarbowanie go i przykrojenie stosowne do dzisiejszych czasów; zdania i rady w tym względzie są nader rozmaite... *Postęp*...

— Gwałt panie prezydencie! — przerwał porywczo ks. kaznodzieja, — jakby ukąszony od żmii, gwałt! jeżeli nowy *postęp* będzie farbować i kroić naszą poczciwą staroświecką ferezyę, to będziemy z niéj mieć na końcu poblakłe rękawice, ale z nich już nazad karmazynowéj ferezyi nie zrobim. Przyznam się panu że pracuję teraz nad długiém kazaniem potępiającém ten wyraz i szkodliwy wpływ jaki na otumanione głowy w naszym wieku wywiera.

Uśmiechnął się prezydent i rzekł:

— Rozmyśl się ks. kaznodzieju, nim ze swém kazaniem wstąpisz na ambonę, rozmyśl się dobrze, bo potępisz wyraz dziś święty, a przynajmniéj poświęcony, a potępisz niesprawiedliwie. Wskazuj drogę po któréj *postęp* iść ma, ale nie stawaj mu na drodze, bo go nieutrzymasz. Obali cię nieprzepartą swą siłą i zdepcze; sile téj niéma dziś *plus ultra*.

---

Każdy wiek ma swój *postęp* — bo instynkt szukania dobra i szczęścia, instynkt odgadywania tajemnic stworzenia, doskonalenia się własnego, jest wlanym od Boga w naturę ludzką, i jest najszlachetniejszą władzą jego duszy; nieustanne więc rozwijanie się téj władzy, jéj usiłowania dościgania coraz nowych prawd i idei, nazwano *postępem* ludzkości, i wyraz ten, daruj ks. kaznodzieju, ja właściwym i nieuległym potępieniu znajduję.

— A tak *postęp* podług pana, — rzekł kaznodzieja, — jest zawsze dobrém dla ludzi.

— Bywa i złém,— odpowiedział prezydent spokojnie popijając swą szklankę,— to jest, bywa on na złéj drodze; ale że *zło* nie ma zasady w prawach boskich, razem z ludzkością stworzonych, a zatém chwała Bogu skutki i czyny *zła* nie są ni wieczne ni długie. Ludzie w periodzie jego panowania przechodząc przez cierpienia i nieszczęścia, gdy zeń wybrną, tém jaśniéj pojmują prawdę, tém ją troskliwiéj wcielają w swe prawa i czyny, że tuż za sobą mają do porównania chmurę czarną którą przebyli, a którą promień nowego słońca przed ich retrospektywnym wzrokiem rozbija, rozkłada, i szkaradne jéj wnętrzne rozświeca.

Półdziewiętnasta wieków mija, gdy Bóg postanowiwszy w przedwiecznych wyrokach swoich dzwignąć ludzkość z odmętu niepewności i błędu w którym tonęła, targnął ją z bałwochwalstwa na drogę objawionéj przez siebie wiary, i w prawach téj wiary, dał pewne stałe i nieomylne środki doskonalenia się w do-

brém tak jednemu człowiekowi jako i całéj rodzinie ludzkiéj: to jest drogi prawdziwego *postępu*. Czyż i takiemu postępowi zaprzeczać i złorzeczyć będziesz ks. kaznodzieju?

— No, panie prezydencie, — ozwał się ks. kaznodzieja, — to zupełnie co innego, to zupełnie co innego.

— Jak to co innego? — mówił znowu prezydent, — to najpiérwsza kolebka prawdziwego *postępu*, to dana skala z niebios na którą mierzyć go potrzeba, to niewątpliwa proba jego doskonałości lub błędu; a ztąd znowu niewątpliwa wróżba gdzie on trafi i dokąd ludzkość zawiedzie. Krwawe prześladowanie chrześcijaństwa naówczas, było tylko protestacyą bałwochwalstwa przeciw *postępowi* ludzkości!..

Tu ks. kustosz powstał, wziął ze stolika swego arkusz papieru, ołówek, i przed sobą położył.

— A to na co? — zapytał prezydent.

— Wspomogliśmy łaskawy nasz panie pre-

zydencie dobrodzieju, pamięć i dzieło naszego brata Rafała, spisując dlań onegdajsze nasze rozprawy; dzisiejsze jak uważam, poważniejszy jeszcze przybierają obrót, a więc redakcya ich będzie trudniejsza bez notat na gorąco, że tak powiem, z ust przyjętych; dozwol mi zatém prezydencie być stenografem twoich sentencyj, — powiedział z uśmiechem ks. kustosz.

— A więc postanowiłeś koniecznie ks. kustoszu, — rzekł z równymże uśmiechem prezydent, — abyśmy mieli udział w sławie autorskiéj naszego brata kwestarza.

— Sam prezydencie dobrodzieju, onegdaj to zaproponowałeś.

— Prawda — i teraz się nie odrzekam, w sumienném przekonaniu, że rozbiór nasz kwestyj codziennych, podręcznych, że tak się wyrażę, powszedniego życia naszego, jakkolwiek pobieżny i krótki, bo innym w potocznéj rozmowie naszéj być nie może, rzuci jednak tam i ówdzie promień choćby mdłego światełka

na drogę tego życia i ciemniejsze na niéj zakręty, i głębsze wądoły, rozważnym podróżującym odkryje.

---

Zdaje mi się prezydencie, rzekł znowu kustosz, że zbiegacie się z ks. kaznodzieją na jednostajne myśli, tylko że on swoich nie miał jeszcze czasu nam objawić: szkoda że nam swego nie przyniosł kazania, pewny jestem że nieznaleźlibyśmy tam bezwarunkowego potępienia *postępu.*

— Potępiam *postęp*,— ozwał się żywo ksiądz kaznodzieja,— potępiam *postęp* zuchwały, bezwzględny, zarozumiały, dumny swą wiedzą jak szatan, i wierzący w siebie jak szatan; poniewierający wszelką by najcnotliwszą przeszłością, którą spotwarza, czerni i depce: rozumujący z religią, i na przeciw religii, a w rzeczy nie mający żadnéj... O! poznasz łatwo w towarzystwie człowieka zarażonego takim *postępem!* poznasz go po upakarzającém spójrzeniu jakie rzuca do koła,

poznasz po słowach pysznych, szumnych a ciemnych, przez połowę jakby z przymusu wymówionych, a przez połowę połkniętych i zamilczanych, dla domysłów o głębokiéj nauce, i niedoścignionéj przez gmin mądrości jego; a gdy nakoniec zmusisz go wyjść z tych zasadzek na czyste pole, i odkryć jawnie swe zdania i myśli, gdy go w najgłębszych wnioskach jego utopii dosięgnąć pragniesz... wnet się on ostawi w około jakby puklerzami stalowemi, na których tajemnicze godła jego potęgi wielkie słowa *filozofii* — *filantropii* i nakoniec *postępu* ujrzysz wyryte, i z za téj twierdzy tak potężnie i zuchwale sypnie on na cię jak gradem kamieni *fanatyzmem*, *obskurantyzmem*, *retrogradyzmem*, że cię ogłuszy zupełnie: kamienie te gmin pospolity a uwiedziony podejmie, i nim się opamiętasz już cię ukamienuje....

Ludzie tacy są to zlepki z ostatków Wolterowskiéj ośmnastego wieku, bezbożnéj szkoły, i dzisiejszego niemieckiego racyonalizmu,

w utylitarne wrzekomo skupiającego się sofizmata; szerzą oni, szczerze czy nie szczerze, wszystko to jedno, niebezpieczną propagandę, ucząc w imię idei i zarozumiałéj pychy, która ją zwykle wspiera, a częstokroć i w imię ukrywającego się w głębi osobistego egoizmu, poświęcać dobro powszechne, i usprawiedliwiając wszelkie, by krwawe nawet środki dla obranych przez siebie celów i nadziei, zabijać teraźniejsze pokolenia na ofiarę przyszłym. U nich to właśnie z popiołów odradzać się mają *fenixy*. Taki ja *postęp* potępiam, takiemu postępowi jako kapłan chrześcijański z obowiązku sumnienia i przekonania mego złorzeczyć muszę tém bardziéj, że widzę młode pokolenie nasze uwodzone głosem i piórem tych fałszywych proroków, lecące za niemi, nie drogą religijnego i moralnego doskonalenia się w cnotach, ale *per saltum mortale* w otchłań namiętności wzburzających towarzystwo ludzkie...

— A po śmierci lecące do piekła — *Amen!* przerwał zdziwionemu mówcy ks. jubilat.

— Jak to do piekła? jak to *Amen!* — odezwaliśmy się wszyscy ze śmiechem.

— A tak *Amen!* — powtórzył jubilat, — bo przeklęci zgorszenie czyniący i koniec kazania.

— Nie może być ks. jubilacie, — rzekł ks. kustosz; — przecież naszym właśnie obowiązkiem jest ochraniać dusze od potępienia wiecznego, i zbłąkane owieczki odszukiwać i wracać do trzody Chrystusowéj.

— A niech ich tam kto chce odszukiwa, — rzekł jubilat mocno zażywając tabakę, — moje *conclusum* do piekła — i kwita.

---

Uśmiechnął się razem z nami prezydent, lecz wnet poważniéj mówić zaczął: Przeciw takiemu *postępowi*, i takim postępowcom, jakich odmalowałeś, powstawaj z duchowną bronią ks. kaznodzieju; tylko jeżeli jéj teraz użyjesz, nie będzie ona ściśle właściwą, i rażąc *individua* nie dosięgnie do głębi mass,

ani do głów przodować im mających; bo w nich nieznajdzie zasad i konwikcyj które masz gromić.

Za życia naszego, które początkiem i końcem w dwa wieki się rozszerzyło, to jest w 18-tym się zaczęło, a w 19-tym dobiega; tyle na oczach i pamięci naszéj weszło, wykwitło, panowało, i przeszło idei, tyle razy duch czasu zmieniał swą mglistą formę; że na umyśle twoim ks. kaznodzieju, który z powołania twojego wpatrywać się, rozważać i pojmować musisz wszystko w towarzystwie, wybitniéj uwięzły wady i postacie, szerzące między ludźmi *zło*, z którém ty w naukach swoich, bój codzienny do upadłego toczyć musisz: ztąd na obrazie twoim skupiłeś na jedną postać, i na jeden czas, cechy i piętna ludzi rozmaitych czasem i pojęciem, a głównego celu i wyrazu rozprawy naszéj, to jest dzisiejszego *postępu* prawie nie dotknąłeś.

— Jak to panie prezydencie?— przerwał zdziwiony kaznodzieja.

— A tak,— mówił daléj prezydent. Twój

naprzykład *filozof* rezonujący o religii i przeciw religii, jest prozelitą przeszłego wieku, a takich dziś między nami zwłaszcza, trudno spotkać. Twój *mędrzec* prowadzący ludzkość choćby przez krwawe proby do celów przez siebie obranych, nie jest naszą figurą; jest on ideologiem zachodnich krajów.... i tam nawet z towarzystwa wypchnięty, i wraz z jego nauką potępiony.... My wierzemy z poetą (1).

„Gdy przychodzą w świat geniusze,
„Innym rzeczy wiodą torem:
„Nikt przez mordy i katusze
„Nie był wieków dyktatorem! (1)

Twój nakoniec drugi *mędrzec* połykający własne wyrazy, jest tylko *fanfaronem* każdéj propagandy obiecującéj mu osobistą między niedowarzonym gminem powagę — a lubo pojedyńczych takich ludzi można jeszcze dopatrzyć w społeczeństwie, i ostrzegać o nich należy, wszelakoż możemy być spokojnymi, że

---

(1) Z. K.

nie pociągną oni za sobą przekonania ogółu, i nie stoją dziś, ani staną kiedykolwiek na świecznikach narodowych; ani przyświecą szlakowi po którym idzie ludzkość ku lepszemu losowi, to jest szlakowi dzisiejszego *postępu.*

---

Przewodnikiem *postępu* 19-go wieku jest *Krzyż*, mości księże kaznodzieju! tak *Krzyż!* podjął go okrwawionego z ruin świętych ołtarzy opamiętały człowiek, i wzniósł na czoło téj processyi ludów, dążących do powszechnego chrześcijańskiego kościoła, i do braterskiego w nim zjednoczenia.

Postęp dzisiejszy minął karawanę przeszłowieczną wlekącą się za nim skrzypiącym obozem, ze składem dawnych zerdzewiałych dźwigni, któremi ówczesny duch czasu wzruszał społeczeństwo; dawnych lekarskich materyałów, któremi je truł, rozumiejąc że je leczył; dawnych rozpraw i książek, z których uczył ludzi rozumu!!! rozumu bez wiary, bez po-

kory, bez miłości... Przetrząsł on obóz ten szukając w nim czegokolwiek pożytecznego dla siebie, i nic albo prawie nic nie znalazłszy, odtrącił ze zgrozą i pogardą ten magazyn błędów i zepsucia, a poszedł daléj za swojém świętém godłem...

— Ks. kaznodzieja słuchał z uwagą słów prezydenta wpatrując się pilnie w twarz jego żywiéj wzruszoną. Ks. kustosz notował; ks. jubilat pokręcał głową i coraz żywiéj zażywał tabakę.

— Ale z tego ogólnego poglądu na świat,— mówił daléj prezydent,— z tego chwilowego rzutu oka na to pole powszechne, na którém duch *postępu* w odetchnieniach, że tak powiem, całéj ludzkości oczewiście się dziś objawia; na którém słowa i księgi najznakomitszych mędrców, mnożąc się około słów Chrystusa, zaklinają przeciwne prądy, gdzieniegdzie jeszcze nurtujące społeczność, zwróćmy się do siebie samych i tym samym rzutem oka główniejsze cechy własnego na-

szego pod tym względem położenia przebieżmy.

---

— Trudno mi bardzo, jak widzicie skupiać i ściskać w treściwe rezultata tak rozmaite ideje i tak rozmaite dążenia ludzi, choćby ku jednostajnemu celowi; na udowodnienie tych rezultatów, lub na ich historyczne wywody, tomy napisaćby należało: na własnéj nawet niwie, myśl goni za tysiącem szczegółów, i gwałtem ją cofać trzeba do głównego przedmiotu, aby się w rozdrobieniu nie zgubiła.

— Oho, panie prezydencie,— to i mnie się zdarza, gdy nad jakiém kazaniem głowę suszę — przerwał kaznodzieja.

— *Zło* czy *dobre*,— kontynuował więc prezydent,— wyradzające się w ognisku wszelkich moralnych i duchowych potęg, pojęć i idei zachodniéj Europy, słabszém zawsze do nas dochodzi promieniem. Mnogie tego przyczyny każdy z nas rozumie, rozliczać tu ich

zatem nie myślę.... dla tego czyśmy się psuli, czy naprawiali, zwierzchnie tylko warstwy społeczeństwa naszego, rej w niém wiodące, wzruszały się i burzyły, lub się uspakajały i lepszały. Dla tego, gdy zarażone niedowiarstwem francuzkiém, wyższe pozycyą towarzyską i cywilizacyą cudzoziemską głowy, wchodziły do świątyń Pańskich by wydać wojnę Bogu w jego własnych domach; to ludek nasz prosty, to szlachta bracia, to starcowie pobożni ojcowie i dziadowie nasi, śpiewali tamże szczere i gorliwe *„Od powietrza — głodu — moru i wojny”* suplikacye; jakby błagając Boga aby nas uchronił od wszystkich tych klęsk, które się na narody zbuntowane przeciw jego prawom wylewały.

Nawa więc losów naszych, miała swój religijny balast, który jéj zatonąć nie dał, i z którym dotrwała, aż inny powiew zupełnie przeciwny tamtemu, zadął w jéj żagle, i przyniósł nam *postęp* z Krzyżem, jakem to powiedział na znamie i godło — dziś więc i u

nas, jako i wszędzie, *postęp* jest *chrześcijańsko-duchownym.*

Nie idzie jednak za tém, i nie mówię, aby już wszyscy uwierzyli, i z pokorą a skruchą padli na kolana przed ołtarzem żywego Boga — nie — bóstwo wieku przeszłego, *rozum* ma jeszcze i ma wielu swoich zwolenników, ale nie *wyznawców* przecie, ani *apostołów.* Wątpliwy, idzie dziś w milczeniu po tejże saméj drodze, co i wierzący; walczy on sam z sobą, i sam w sobie, ale się z tą walką otwarcie nie wydaje, i nie jest to w nim faryzejską obłudą, ale tylko jest to wątpliwość, jego samoistnego rozumu.

U jednych wiara jest żywa, szczera, pobożna, błagająca zbawienia wiecznego, i upewniająca im to zbawienie; jest potrzebą i pokarmém duszy: u drugich jest wyrozumowanym warunkiem życia tu-ziemskiego, towarzyskiego, jest przekonaniem, że bez niéj nie ma poręki ani zasady bezpieczeństwa powsze-

chnego, nie ma tarczy naprzeciw rozuzdanym namiętnościom ludzkim. U piérwszych religia jest *dogmatem*, u drugich ***systemą***, zmuszającą ich wszakże z równąż czcią jako i prawowierni, uchylać czoło przed krzyżem. A więc przeciw ludziom takiego wątpliwego sumienia, pomieszanych wprawdzie w postępowym orszaku, ale bardziéj pchniętym niżeli swobodnie w nim idącym, dla ich własnego dobra, mów twoje kazanie ojcze!

— To mości prezydencie, będzie tylko proste kazanie przeciw niedowiarstwu, i nic więcéj, — rzekł ks. kaznodzieja.

— Tak, ale wsparte argumentami, właśnie ze źródła któreś zatrutem być sądził, czerpanemi; to jest z dzisiejszego ***postępu***, ale bez teologicznych subtelności, ale utrzymujące jednych, a gromadzące drugich na drodze, na któréj w wyraźnych faktach objawia się duch boży, i na któréj należy dziś stawiać tylko że tak powiem, ***drogo-skazy***,

abyśmy się z niéj nie zbili, i nie zbłądzili na manowce.

*Drogoskazy* takie potrzebnemi są szczególniéj dla młodych ludzi; bo starzy poczciwi bogomodlcy ich nie potrzebują, a stare grzeszniki nie spójrzą ani się zastanowią nad niemi.... Wszakże jest *młodzież* i *młodzież:* nasza, ma defekta i wady rozdzielające się i stopniowane, jako i ona sama w towarzystwie— ale to inna materya;— pod względem zaś jaki rozbieramy, denominacyę tę dziś upowszechnioną *młodzież* ja nie znajduję ściśle właściwą: nazwanie takie nie ma jakoś dojrzałego znaczenia, i tę niedojrzałość mglistą i bezbarwną, na samąż młodzież rozciąga. A jednak, w ukształceniu moralném, często młodzieniec wyższym jest od starego rutynisty; dałbym tu więc raczéj nazwę i razem definicyę *młode pokolenie;* bo w taką definicyę wejść mogą *in corpore* nie tylko młodzi z wieku, ale i wszyscy, których sprawiedliwie czy nie, oskarżają dziś że ideje postępowe za

bezpieczne i praktyczne granice posuwają. Jakkolwiek bądź, przyszłość należy do tego pokolenia.

— Przyszłość panie prezydencie, należy do Boga — przerwał ks. Jubilat.

— Tak, niezawodnie tak, mości księże jubilacie, — mówił daléj prezydent; — ale czyny nasze ściągają na nas z nieba gromy albo promienie łaski; i tym sposobem na przyszłość naszą wpływać możemy.

Otoż do nas należy zdać w czerstwiejsze ręce tego pokolenia, teraźniejszość naszą, ze skarbem przeszłości, który nosiémy w naszém łonie. Skarb ten składa się głównie *z wiary i miłości* — przyjęliśmy go od dziadów i ojców naszych, piastowaliśmy go w różnych przemianach losu; zdajmy go czystym i niepokalanym synom i wnukom naszym, zdajmy w tym skarbie razem wszystkie uczucia nasze rodzinne, obyczaje nasze, mowę naszą. Uczucia te utwierdzone dziś chrześcijańską formą postępowego wieku, rozwiną się w ser-

cach młodych, z zarodów które tam natura wlała; a żadne szumne deklamacye, żadna błyszczącemi sofizmatami natkana elokwencya, nie wyrugują ich ztamtąd ani zastąpią.

Zdajmy im nakoniec i ten wyraz *kochajmy się!* nietylko jako hasło braterskiego toastu, ale bardziéj jako godło braterskiéj jedności, która w złéj doli krzepi, dobrą ustala i dwoi...

„*Concordia res parvae crescunt*"— odezwał się znowu ks. jubilat.

Prezydent skinął głową, i po niejakim przestanku,— rzekł:

---

— Ale niestety! są indywidua, kupią się nawet gromadki, które potępiając ten wyraz *kochajmy się*, i to uczucie święte, które on oznacza, zastąpić go chcą i zalecają przez *kąsajmy się!* owszem własnym przykładem probują go w praktyce.

— Żartujesz chyba prezydencie,— przerwał ks. kustosz;— alboś gdziekolwiek wizy-

tował dom warjatów, i tam gromadkę taką kąsającą się znalazł: „*Quos vult perdere Jupiter — dementat!*” (1)

— Nie, ks. kustoszu nie; — jest to gromada obłąkanych wprawdzie, ale w których zarozumiałość z nieszczęściem pogodzić się nie daje; a w téj walce podobni także do warjatów szalonych, tłuką wszystko choćby najdroższe, szarpią wszystko choćby najniewinniejsze. Kąsać nieprzyjaciela, nie po chrześcijańsku to wprawdzie, ale po ludzku: czémże są zresztą wojny? więc to rozumiem — ale zalecać i wzbudzać nienawiść, jako systema prowadzące do dobrego, ale targać ogniwa braterskie, i rzucać klątwy złośliwe i potwarze bez wyrozumiałości i przekonania, ale karmić się i żyć tylko jadem... tego pojąć nie umiem; bo tego ani rozpacz, ani nieszczęście usprawiedliwić nie może.

— Nieszczęście, — przerwał ks. kustosz, —

---

(1) Kogo chce Jowisz zgubić — rozum odbiera.

robi częstokroć z serca człowieka pustynię, w któréj jednakże duch Boży najszczytniéj się objawia.

— Tak, — rzekł prezydent, — ale po któréj i szatan niekiedy harcuje; bo *złość* i *pycha* tó jego właściwe przymioty, i on jeden tylko zdolny tak głęboko niemi zarazić i zepsuć serce, a oślepić rozum człowieka, aby zeń zrobić apostoła powtarzającego ludziom, nie *kochajmy się* — ale *kąsajmy się!* spotwarzajmy się! obrzydzajmy wszelką pracę dla dobra ziomków i kraju podjętą: słowem, gryźmy się wzajemnie i najzajadléj, aż póki krwią własną nie zalejemy téj ziemi, i żaden z nas na niéj nie zostanie.

— A to mości dobrodzieju, — rzekł ks. jubilat, — przeznaczają oni nam los owych dwóch sławnych chartów księcia Radziwiłła, panie kochanku, tak zjadłych i zawziętych, że się na śmierć zagryzli, i tylko z nich dwa ogony zostały się.

— Uśmiechnęliśmy się wszyscy, ale jakoś

gorzko nam było na duszy. Po niejakiém milczeniu odezwał się ks. kaznodzieja.— Gdy są gdziekolwiek na świecie tacy apostołowie, których głos chwała Bogu nie przeszedł naszéj klauzury klasztornéj, a o których musisz wiedzieć panie prezydencie; to jakaż broń naprzeciw nim? jaka rada?

— Prezydent z zachmurzoném czołem, ale z powagą, i widocznie z wewnętrznego przekonania odrzekł:— odpowiem ci księże kaznodzieju słowami poety:

„Rada jest jedna; sumieniowi swemu
„Czynić zadosyć — każdy po swojemu,
„Każdy jak może— resztę zwierzyć niebu!" (1)

A ztamtąd nakoniec przyjść musi miłosierdzie dla wszystkich, a dla nich *upamiętanie!*

---

Wieczór już był późny. Prezydent więc pożegnał nas, a dalsze czytanie i rozmowę odłożono do przyszłéj niedzieli.

---

(1) Odyniec.— Dramat Barbara.

## Colloquium czwarte.

---

### XV.

Raniéj niż przedtem bo wraz po nieszporach kazano mi stawić się do ks. kustosza, i wnet rozpoczęła się lektura, tylko nie od mojéj kwestarskiéj narracyi, ale od przeczytania dyaryuszu onegdajszéj rozmowy, którą ks. kustosz *verbum ad verbum* spisał.

Dziwił się pan prezydent, dziwiliśmy się i my, jak tego dokazał.

— Notowałem, — rzekł on, — *per abbreviationem* co się mówiło, a dokładając pamięci, łatwiéj potém wydecyfrowałem moje hie-

roglify — gdy skończył, na mnie przyszła koléj.

Przeczytałem więc mego rabina Salomona, i jaśnie wielmożnego pana, który mi rogacza ostrzygł — a gdy daléj kontynuować chciałem; — stój, — rzekł mi ks. kaznodzieja, — bo i nad tém cośmy wysłuchali pogadaćby należało, stanowić to może ciąg dalszy onegdajszéj rozmowy, a za łaską Bożą da mi nową treść do kazania. Bo zważ panie prezydencie, ten jego mędrzec wołożyński ze swojem *nie* i *tak*, czyż nie jest rzeczywistym obrazem owych ludzi wątpiących, którzy w pańskiéj processyi postępowéj, idą za wiarą chociaż bez wiary, idą za krzyżem chociaż się nie żegnają.

— Jest między niemi podobieństwo, chociaż nie *tożsamość*, — odpowiedział prezydent. — Żydzi są u nas dotąd klassą wyjątkową towarzystwa; zlewają się oni gdzieindziéj z całą massą ludności przyswajającéj ich w miejscową narodowość; nastąpi to z czasem

i u nas, ale dotąd oni tu pilnie strzegą swéj własnéj narodowości, opartéj na dwóch głównych zasadach, to jest, na ich religii i na ich interressie; więc nie należą jeszcze u nas żydzi do naszéj postępowéj processyi, patrzą tylko na nią z boku, a rozumniejsi pojmują że długo krótko muszą się do niéj jeżeli nie duchownie, to materyalnie wtłoczyć. Salomon zatém nie zaczerpnął swojéj wątpliwości, swego *nie* i *tak*, z systematycznego anti-chrześcijańskiego zepsucia, ale ze zwykłéj słabości rozumu ludzkiego, nie wspartego objawieniem: zresztą najprawowierniejszy i najpobożniejszy między nami nawet, może mieć chwilę zwątpienia...

Ależ niech Bóg broni każdego, aby ta chwila nie była mu ostatnią, jak ją wróży każdemu Salomon.— Zwątpienie u wrót wieczności!!! to czy nie gorzéj jak piekło?.. przeklęte! trzykroć przeklęte księgi i ludzie, którzy to zwątpienie obudzają....

— Błogosławieni umierający w Panu!—

przerwał ks. kustosz. W tumanach okrywających i teraźniejszość i przeszłość człowieka, dwa tylko punkta stałe i pewne można, i trzeba mieć na oku: — *Krzyż* i *grób!* w nich jedyna nadzieja i uspokojenie myśli i serca. My, którzy z powołania naszego patrzemy często na ostatnie godziny ludzkie, widziémy nieraz z przerażeniem, tę rozpacz i trwogę jaka ogarnia wątpiących przy skonaniu... i przeciwnie to zaufanie, tę spokojną chrześcijańską rezygnacyę, z którą wierni zbliżają się i przygotowują się do swéj ostatniéj godziny.

— Nigdy naprzykład nie zapomnę śmierci i czynu przedśmiertnego, kapłana a pamiętnego w naszym kościele biskupa ks. Jana Cywińskiego. Mieszkałem natenczas w klasztorze naszym wileńskim; pasterz ten względnym był na mnie, i dozwalał mi częstego do siebie wstępu, a więc gdy zachorował, i gdy poznano że już nie wstanie z łóżka, pośpieszyłem doń, abym choć nieudolną posługą moją około niego, okazał mu wdzięczność moją, i

błogostawieństwo jego otrzymał. Chwile jego były policzone; on sam czuł to i poznał, ale przytomność i spokojność umysłu nie odstępowały go. Modliliśmy się przy łożu jego! Oh! jakże gorliwie i szczerze modliliśmy się! On, póki mu siły pozwalały, modlił się razem z nami; a gdy choroba zmogła w nim głos i piersi, natenczas w milczeniu złożywszy ręce do pacierza słuchał nas, i wznosząc oczy na obraz Zbawiciela na przeciw umieszczony, tonął, że tak śmiało powiedzieć mogę, w Bogu i w wieczności.

Nakoniec czując się coraz słabszym, kazał przenieść siebie na szerokie poręczowe krzesło, a zawołać wszystkich swych służących: przyszło ich kilkunastu; spójrzawszy oni na swego dogorywającego już ojca, bo takim był on dla nich rzeczewiście, padli na kolana. Łzy potoczyły się po wybladłém licu pasterza.

— „Dziatki moje,— rzekł on,— umieram. „Dziéj się święta wola boska! Ale nim umrę,

„chciałem was wszystkich pożegnać, pobło-
„gosławić, podziękować wam za wasze wier-
„ne usługi, i prosić was abyście mi odpu-
„ścili i darowali, jeżeli któregom z was obra-
„ził lub skrzywdził... nie z namysłu lub ze
„złości, świadczę się Bogiem przed którym
„wraz stanę, ale jeżelim zgrzeszył jako człek
„ułomny, darujcie mi dziatki moje! proszę
„was — błagam was — darujcie dla miłości
„Pana Boga!”

Natenczas płacz rzewny rozległ się w około: starsi i równo-wieczni z panem słudzy jego, przez całe życie będący przy nim, więc przywykli doń i poufalsi, pełzli na klęczkach i całowali mu ręce.

— „Wstań, — rzekł on, do kuczera swego, — wstań Adamie, i chodź ku mnie.

„Rok temu czy więcéj, gdym cię ukarał,
„zasadzając na trzy dni na chleb i wodę”...

— Bo wart tego byłem jaśnie wielmożny panie, — przerwał chlipający Adam, — bo

wart tego byłem! Cały tydzień piłem w zapor; to jakieś dopuszczenie Boże było na mnie: nie było nawet komu zawieść jegomościa do katedry.

— „To prawda, wszystko to prawda, — „mówił biskup, — chciałem ci obrzydzić twój „nałog, a jednak nie umrę spokojnie, nim „cię, mój stary sługo nie przeproszę. Więc „przebacz mi poczciwy Adamie! daruj!...”

— A daruję, dalibóg daruję, choć nie ma czego.

— „Dajże mi rękę na zgodę.”

Adam podał rękę.... i nim się opamiętał, biskup podniósł ją do ust swoich, i kilkakrotnie ucałował.

Kuczer oderwał rękę, jakby z żaru, i rycząc z płaczu, padł jak snop u nóg biskupa.

Wszyscy my zdumieni i rozrzewnieni do głębi, tym czynem pokory chrześcijańskiéj, a właściwiéj powiem Chrystusowéj, poczuliśmy się jakby ogarnieni świętością jakąś,

promieniejącą od oblicza tego prawdziwego namiestnika Chrystusa. (1)

---

— Dzięki ci ks. kustoszu, — rzekł prezydent, — za ten obraz uroczysty razem i święty; bogdajby on służył przykładem i wzorem, zwłaszcza w naszym wieku, gdy pokora wśród chrześcijańskiego nawet dążenia społeczności, nie jest wszakże cnotą przodkującą mowom i czynom naszym.

— Oh! bo to najtrudniejsza cnota panie prezydencie dobrodzieju, — rzekł kustosz; — może tylko jeden bernardyn kwestarz bywał pokornym, albowiem duma i prośba wzajem sobie nie przystają; ale i ten odcinał się zwykle, gdy go już bardzo poniewierać chciano, w codzienném zaś towarzystwie ludzkiém nie dojrzysz jéj prawie nigdzie; a przeciwnie co

(1) Opisanie tego prawdziwego czynu zeszłego ks. Biskupa Cywińskiego, mniemam że nie jest nie właściwém w Obrazach Litewskich. *(P. W.)*

krok trącać się przychodzi o szorstką i twardą skorupę miłości własnéj i pychy, pod którą jak pod tarczą żołwia słabota i głupstwo się tai.

Pokora prawdziwa nigdy i nikogo nie poniżyła, bo obok niéj idzie zawsze szlachetna prawda, która ją podnosi. *Pycha* jest chorobą chroniczną rodzaju ludzkiego; nazwania jéj rozmaite: *duma*, *zarozumiałość*, *próżność*; są to objawy tejże saméj choroby, mniéj więcéj sobie podobne w codziennéme życiu; a religia jednym wyrazem *pychy*, i jednéme piętnem grzechu śmiertelnego ją oznaczyła. Siedlisko jéj w głowie, *antidotum* w sercu; po które jednak nigdy prawie nie sięga człowiek, bo to jest głównym symptomatem téj choroby, że im kto bardziéj chory, tém się zdrowszym być sądzi.

— To jest, — przerwał ks. jubilat, — *subintelligitur* (1) po prostu, że im kto głupszy tém dumniejszy.

---

(1) Rozumie się.

— *Praeter propter* tak (1) — kontynuował ks. kustosz, — aleś zredukował definicye moje na bardzo pospolity choć prawdziwy wniosek. Nie ku temu ja przecież zmierzam, chcę bowiem powiedzieć że twoja prezydencie processya postępowa, ma swój także łazaret, pełny chorych moralnie, i ciągnie go za sobą. Panująca w nim słabość jest właściwie *pycha* i zarozumiałość, a zarażonych nią najwięcéj ludzi z młodego pokolenia, któremu, jak powiedziałeś prezydencie, przyszłość nasza powierzona. Zwykłe to wprawdzie w każdym wieku wady młodości, ale w naszym, choroba ta dosięgła tak wysokiego stopnia, że bogdajby nie oznaczyła nas w potomności swą cechą, barwą i skutkami.

— Ale księże kustoszu dobrodzieju — rzekł prezydent, — z ogólnych obrazów wieku i towarzystw, schodźmy zawsze do siebie samych, podobni do wędrowca, który przebiegł-

---

(1) Mniéj więcéj.

szy obce kraje do własnéj wraca zagrody i w niéj się rozpatruje. Można bowiem napisać całą księgę ogólników bardzo mądrych i sprawiedliwych, któréj nikt przecież do końca niedoczyta, można w najdłuższém kazaniu zebrać wszystkie morały i najświątobliwsze sentencye, a nikogo jednak nie nawrócisz, ani wzruszysz, jeżeli nie trafisz w serce słuchaczy. Aby nas przekonać, leczyć i poprawiać, potrzeba trafiać jak w cel, w nas samych; to jest, obudzając w każdym głos sumienia i prawdy z nim się w naukach jednoczyć; natenczas, i tylko natenczas, skutek niezawodny, bo nie masz sprawiedliwszego trybunału na czyny nasze, jak ten, od Boga w duszy ludzkiéj ustanowiony...

— Wychodzisz i sam na ogólniki panie prezydencie dobrodzieju, — przerwał wzajemnie ks. kustosz uśmiechając się.

— Tak, ale z tych ogólników wniosek, — mówił prezydent, — abyś symptomata chorób moralnych nie po całym świecie, ale po na-

széj własnéj młodzieży badał, i z niéj wybierał kandydatów do twojego łazaretu. Ciekawy jestem czy ją znasz dobrze? i nakoniec jeżeliż mamy być współautorami brata Rafała, pożytecznymi dla czytelników i obyczajów naszych, mówmyż *ad hominem.*

---

— Czy ja znam młodzież naszą? — przerwał potrząsając głową kustosz — o znam ją, znam panie prezydencie! znam ją i kocham.... a dla tego właśnie że kocham, tém goręcéj pragnę jéj udoskonalenia i dobra.

— Nie dawno powiedziałeś panie prezydencie, że jest *młodzież* i *młodzież;* domyślna to różnica, ale rzeczywista i oczewista... a przywiodła mi na pamięć dawną z jakiejś małéj komedyjki piosenkę, którą śpiewał niegdyś towarzysz młodości mojéj, dziś stary jako i ja, a setką mil od Litwy oddzielony; zapomniał on jéj może, lecz ja i piosenki i śpiewaka nie zapomniałem.

— Na scenie, stary legionista powraca po długiem oddaleniu do rodziny, i zapytany co widział na obcéj ziemi? odpowiada:

„Widziałem rodaków wielu,
Co nad brzegami Sekwanny,
Nauki mając na celu,
Im każdy z nich był oddany:
Żądając tego jedynie,
Być czynnym w każdéj godzinie;
Korzystać w każdym rodzaju,
Nabierać światła i sztuki:
A wziąwszy różne nauki,
Roznieść je w ojczystym kraju!

Widziałem grono nie małe;
Są to próżniacy, wietrznicy,
Których zatrudnienie całe,
Zbijać bruki po ulicy.
Szafując wspaniale złotem,
Które ojciec zbierał z potem:
A zwiedziwszy cudze kraje,
Wnoszą na ojczyzny łono,
I szkatułę wypróżnioną
I zepsute obyczaje!“

— A dalibóg ks. kustoszu, — rzekł prezydent, — widocznie sam skoncypowałeś te wier-

szyki, patrząc na nasze każdo-wiosenne mi-gracye litewskie do Paryża.

— Nie, nie, prezydencie, — jest to jedna z pamiątek swieckiéj młodości mojéj; wszakże i dziś mogłaby pożytecznie być wpisaną do *memorandum* każdego młodego wyjeżdżającego za granicę, aby pamiętał co ma tam zbierać i z czém do kraju wrócić.

— Jest to dowolna dygressyjka ks. kustoszu dobrodzieju, — rzekł ks. kaznodzieja, — wprawdzie stosowna *ad rem tractandam*, ale nie odpowiadająca na ciekawość pana prezydenta, czy znasz młodzież dzisiejszą i jéj defekta?

— Prawda, — mówił kustosz, — prawda tém prawdziwsza, że wietrznictwo tamtoczasowéj młodzieży, nie jest wadą dzisiejszéj. Natenczas płynęło ku nam z zachodu, jakeśmy to już nieraz powiedzieli, niedowiarstwo, bezbożna filozofia, i bezrozumne trzpiotalstwo, z materyalném zepsuciem i wzgardą wszelkiéj

towarzyskiéj moralności połączone. Teraz młodzież, albo jak pan nazywasz, młode pokolenie, wzięło za godło *pracę* — bardzo pięknie! ale obracając ją ku osobistym jedynie widokom i korzyściom, jedzie do obcych wrzekomo dla doskonalenia się i przyswojenia coraz tam nowych i coraz pożyteczniejszych wynalazków, a w rzeczy nasiąka i w praktyce uczy się *egoizmu racyonalizmem* usprawiedliwiającego się, mając już w sobie saméj rolę dobrze usposobioną do przyjęcia tego zgubnego zasiewu.

Bo też pobłażliwy pogląd dzisiejszy na młodzież naszą, wprowadza ją od razu na fałszywą drogę; od razu bowiem przyswajają sobie młodzi ludzie prawo dyktowania praw towarzystwu; od razu sądzą się dojrzałémi, i sto razy mędrszémi od swych ojców, których doświadczeniem gardzą, a przestrogi poniewierają, i *pychą* ze swéj mniemanéj doskonałości nadęci, razem i piérwszym grzechem śmiertelnym się obciążają, i czwarte przykazanie gwałcą.

Nigdy tyle co dziś nie napisano książek duchownych i moralnych dla dzieci i młodzieży poświęconych, a nigdy towarzystwo nie było bardziéj materyalném; nigdy związki rodzinne i domowe nie były tak wątłémi. Dziecko wyrasta na młodzieńca, i wnet dom rodzicielski, ciasnym jest dla niego, wnet mu się obrzydzają proste a poczciwe obyczaje rodzinne; obrzydza mu się ziemia, która go wykarmiła, wnet przymus by najmniejszy, choćby władzy najłagodniejszéj pana *ojca* a dziś *papy*, ciąży mu — idzie więc w świat gonić i wrażać w siebie teorye i utopie uczące ludzi co się im od towarzystwa należy, ale nie tego co się wzajem należy od nich towarzystwu. Pragnie on powszechnéj dyscypliny ubezpeczającéj ich przeciw innym, ale nie obowiązków któreby ich zmuszały do uległości dla dobra innych: słowém, wchodzi właśnie do owego łazaretu postępowego naszego wieku, o którym powiedziałem wyżéj.

— Mówiłeś ks. kustoszu,— odezwał się

ks. kaznodzieja — o klassie wyższéj, bogatszéj i oświeceńszéj narodu; ale jest plaga która padła na klassę uboższą, nie tyle zamożną: która nie z systematu utylitarności, ale z potrzeby pracować musi, któréj synowie idą także w świat szukać nie *chleba* ale *pieniędzy*. *Chleb* jest to rzecz bardzo prosta, bardzo poczciwa; nasyca ale nie pokusza; uspakaja głód, ale nie poduszcza żądzy ani namiętności, i poczciwą też pracą łatwo zarabiać się daje;— *pieniądz* przeciwnie, wzbudza pragnienie, a nie zaspakaja go, owszem je coraz powiększa, tak jak każde pragnienie gorączkowe.— Bóg też mając na pieczy dobro człowieka którego stworzył, rozsiał ziarna na powierzchni ziemi, a kruszce zachował w jéj głębi, aby nie łatwo mu było dostać się do tego materyału wszelkiego zła na świecie.

— Prezydent uśmiechając się przerwał — retoryczny to ks. kaznodzieju i dowcipny domysł zamiarów Stworzyciela — ale do czegoż zmierzasz?

— Oto do tego prezydencie, że gdy młodzież nasza jedna w wyższém usposobieniu i polocie grzeszy dziś pychą, to druga niższego chóru *chciwością* czyli *łakomstwem* na grosz cudzy a źle nabyty.

— Znowu grzech śmiertelny, — odezwał się ks. jubilat; — jak uważam multyplikujecie pekkatorów obficie!

— I tu z pod słomianéj strzechy, — kontynuował kaznodzieja, nie zważając na tę przerwę, z okolic naprzykład lub z dworków szlacheckich wyrywa się młody chłopiec, kosztem ciężkiéj ojcowskiéj pracy wychowany, i wpada między ludzi jak cygan na kiermasz... Pracę poczciwą, szlachetną i uszlachetniającą, znalazłby każdy i we własnym domku, bo gdzież jéj człowiek nie najdzie, gdy w prawości serca i szczeréj chęci ująć się jéj zechce? Praca za stolikiem czy za pługiem, czy około pługa, gdy jest cnotliwą i szczerą, jednostajnéj jest wartości, i jednostajnego dla społeczeństwa pożytku; ale pogardza on tą

ostatnią, a skwapliwie chwyta się piérwszéj, bo z niéj miły grosz rychléj i rzeźwiéj płynie: a mówiąc słowem zrozumialszém, i jak powiadasz panie prezydencie *ad hominem*, taka młodzież ciśnie się zwykle do kancelaryów popychana nawet przez swych własnych rodziców. Słyszałem nie jednego ojca cieszącego się jak ów jw. *vice*, z umieszczenia syna w jakiejś juryzdykcyi i mówiącego jak tamten: „pensyjka wprawdzie nie wielka, ale są, są „z boku *akcydensiki*, któremi się on kieruje." Otoż te nieszczęśliwe *akcydensiki* pokuszając go codzień do grzechu przeciw siódmemu przykazaniu, stają się nałogiem, to jest drugą naturą, i demoralizują wielką liczbę młodzieży, która jako nie skrępowana stalszemi miejscowémi obowiązkami, mogłaby właśnie składać klassę administracyjną, lub gospodarczą dla narodu; ale na to, głównie potrzeba aby była poczciwą. Tu gangrena idzie z dołu, wtenczas gdy z góry ciśnie nas mgła jakaś nie fortunną przyszłością brzemienna.

Zaczepił się i brat Rafał o tę kwestyę u jaśnie wielmożnego *vice*, i dał nam treść do teraźniejszéj rozmowy: cieszy się tam *dorobkowicz* że synek idzie po téj saméj drodze, która się jemu tak szczęśliwie poszykowała.

---

Po krótkiém milczeniu, zabrał głos pan prezydent ów modyfikator opinij naszych patrów.

— Oba kochani ojcowie,— rzekł on,— zgodzilibyście się zapewna na wyjątki z waszych ogólnych obrazów, ale ja zgodzić się nie mogę; bo *nego majorem* chociaż *concedo minorem* (1) mości dobrodzieju: to jest zgadzam się na trafność i prawdziwość waszych postrzeżeń w towarzystwie, ale ja liczę je właśnie za wyjątki; ogół zaś innym być sądzę.

Nie będę mówił o młodzieży niższego choru, jak ją nazywasz ks. kaznodzieju, lubo jéj

---

(1) Tłómaczenie na początku téj książki.

liczba mnoży się codzień niestety; ale ich wszystkich nie do łazaretu postępowego, ale do domu poprawy odsyłaćby należało, lecz się zastanowię nad tą młodzieżą naszą, która wyższa światłem pojęciem i dostatkami, odziedziczy po nas, a nawet teraz zagarnia duchowną i moralną wśród nas przewagę. Przypatrzmy się jéj, tylko przypatrzmy się bez uprzedzenia; przypatrzmy się gasząc i w sobie samych pochopy do wkorzenionéj w nas samych dumy i pychy do którćj z wieku i doświadczenia mniemamy mieć prawo. Były zawsze obyczaje młodzieży różniące się od starych wiekiem, niekiedy jako i dziś epoką czasu; i dla tego napisano tyle książek o młodości i młodzieży, że z nich liczne biblioteki złożyćby można; lecz my ściągamy wszystko do jednego naszego narodowego mianownika, i do czasu w którym żyjemy.

Najprzód, gdzieżeś dziś widział młodego człowieka bezbożnego, a przynajmniéj niedowiarka?

— A zdarza się panie prezydencie, zdarza się — odpowiedział kaznodzieja.

— Zdarza się — mówił daléj prezydent — więc to wyjątek.

Gdzieżeś widział młodego człowieka, któryby ci przewrótne i swemu przekonaniu kłamiące objawił ideje? Ideje te bywają częstokroć przesadzone, rażone błędami wieku, niebezpieczne lub niepraktyczne, ale nigdy chytre, nigdy samolubne, a zawsze szlachetne, zawsze z poświęceniem się własném, zawsze z ofiarą i ogniem, jaki się nigdy nie zapali w człowieku zużytym lub zepsutym; młody jest nieraz ślepém narzędziem, ale nigdy rozmyślnym złego promotorem.

I w rzeczy samej zdarzało mi się niejednokrotnie zbadać głębiéj młodych ludzi deklamujących z zapałem najexcentryczniejsze teorye, i doszedłem z zadziwieniem i ze zgrozą nawet, że teorye te i pomysły natchnięte im i podpowiadane były, jak studentom na lek-

cyach, przez ukrywających się za niémi chytrych suflerów, łudzących ich pozorami dobra, w istocie zaś własny a nie społeczny interes mających na celu. Ale objaw na powszechność jaką ideę piękną, pożyteczną, chrześcijańską, szlachetną, dobroczynną; a obaczysz jak się około niéj skupi zacna młodź nasza; i gdy dojrzalsi będą się zastanawiać rozważać, stosować, młodź ochoczą pracą skutek jéj przyśpieszy. Dla tego ją nie łazaretem postępowym, ale raczéj przednią strażą postępowéj krucyaty, dążącéj dziś jakem to powiedział do powszechnego chrześcijańskiego kościoła, nazwaćby należało.

Przednia straże ni karna, krnąbrna, nieroztropna, zarozumiała w sobie, często się unosi i ginie... Ale i natenczas doświadczeniem i rozwagą główny korpus wzbogaca.

Tu podano panu prezydentowi bilet, przebiegłszy go, — przybyli do mnie, — rzekł on,— goście; muszę wnet odjechać: maszże jeszcze bracie Rafale dalszą kwestę?

— O mam, mam,— odpowiedziałem wskazując mój sextern.

— Fatygujemy cię, łaskawy nasz prezydencie dobrodzieju,— odezwał się natenczas ks. kustosz.

— I owszem,— rzekł prezydent,— i owszem; nigdy nie przykrzy mi się miłe towarzystwo, i rozsądny, a umiarkowany rozbior kwestyi tak interessujących.

— A więc,— rzekł kustosz,— we środę fest zwiastowania Najświętszéj Panny Maryi; racz prezydencie dobrodzieju przyjąć po onegdajszemu naszą bernardyńską porcyę,— a potém lektura.

— Zgoda,— odpowiedział prezydent — i pożegnał nas.

## Colloquium piąte.

---

# XVI.

Wstąpił dziś na ambonę nasz ks. kaznodzieja; otoż, pomyślałem w duchu, wypali on nam swoje kazanie na przeciw *postępu,* ale widać zmoderował się w zdaniu po słowach pana prezydenta i wcale się inaczéj zwrócił.

Ma to do siebie nasza święta Ewangelia, że z którejkolwiek karty zaczniesz ją rozważać lub tłómaczyć ludziom, zawsze i łatwo trafisz do wszystkich cnót na świecie, a szczególniéj do miłości Boga i bliźniego, na czém

cały *zakon* i *prorocy*. Otoż ks. kaznodzieja wysławiając pokorę Przeczystéj Dziewicy, i tekst ten z którego zaczął kazanie: „*Oto ja służebnica pańska, niechże mi się stanie podług słowa twego*" wymównie i pokilkakrotnie w różnych obrótach powtórzywszy, napadł *e contra* na przeciwny grzech téj cnocie, na *pychę*. Tu już poznałem że colloquie nasze weszły aż na ambonę, i tém uważniéj słuchałem postrzegłszy w ławkach i pana prezydenta zwróconego ku kaznodziei i pilnie weń wpatrującegō się.

On, pognębiwszy i na wieczne potępienie skazawszy *pychę*, żywcem już wziął sentencyę ks. kustosza: „Bracia,— mówił,— siedlisko téj śmiertelnéj choroby duszy naszéj „jest w głowie— lekarstwo na nią w sercu! „rozum to nasz ludzki, im słabszy tém zarozumialszy zaślepia nas. Rozum, gieniusz nawet, bez wiary, jest tylko obrazliwą miłością własną; a wiara bez najgłówniejszéj téj „cnoty, bez *miłości* jest tylko natrętném do-

„maganiem się u Boga niezasłużonych darów „i dobrodziejstw."

— Oho, — pomyślałem znowu, — dalibóg trafi do *kochajmy się!* „A więc *wiara* i *mi-„łość* bracia moi, a w nich i z nich rodząca „się *nadzieja*, idzie jako trzecia cnota czyli „łaska niebios wskazująca, że kto ma w sercu „dwie piérwsze, ten ufać może i w trzeciéj, „tak w teraźniejszym doczesnym żywocie, „jako i w wieczności — Amen!"

— No, gładko zakończył — rzekłem w sobie.

---

Zeszliśmy się więc po obiedzie do ks. kustosza.

— Winszuję ci, szanowny nasz kaznodziejo, — rzekł prezydent po przywitaniu się, — twojéj dzisiejszéj nauki. Postępowe kazanie mości dobrodzieju, postępowe.

— *De tuis donis, tibi offerrimus* (1) — odpowiedział uśmiechając ks. kaznodzieja.

---

(1) Z twoich darów, tobie ofiarujemy.

— *De colloquiis nostris*, *de colloquiis reverendissime!*— odpowiedział prezydent,— i mówił daléj:

Jedną z najpiękniejszych *missyi* na świecie, któréj często zazdroszczą, jest to nauczać głośno w świątyni pańskiéj lud cnoty i prawdy. *Missya* ta święta, nie jest dość pojmowaną przez wypełniających ją: mówię to w ogólności, gdyż szczęśliwych, pełnych gorliwego zapału, namaszczenia i talentu kapłanów i kaznodziei, mamy chwała Bogu niemało, którzy tę *missyę* spełniają z prawdziwym dla dusz wiernych pożytkiem, pojmując ten wyraz głębokiego znaczenia— *Missya!*

— Ach! panie prezydencie,— odezwał się ks. kustosz,— dziś czy nie zanadto już missyonarzy? bo każdy zwłaszcza autor potrzebnéj czy niepotrzebnéj książki, każdy szczególniéj poeta, zasługujący na to imię, czy nie, każdy nakoniec który chociaż jeszcze nie pisze, ale przygotowywa się na przyszłego mędrca i nauczyciela prozą czy wierszem, przy-

znaje sobie missyę nadziemską, ogłasza się posłańcem natchnionym, wieszczem; a co za tém idzie, mającym prawo do cześci, chwały i wysokiego dostojeństwa w narodzie: tak dalece, że słowo to *missya* spowszedniało dziś, jak modna czapka na wielu głowach na bakier wrzucona. O zaprawdę panie prezydencie, są to wszystko kandydaci do mojego łazaretu, zwłaszcza że zwykle łączą w sobie i główną chorobę wieku *zarozumiałość* czyli pychę, którą dziś ks. kaznodzieja tak na ambonie wychłostał; a napełniliby ten łazaret ludno, bo więcéj bodaj teraz natchnionych gieniuszów, niżeli prostych poczciwych ludzi, to jest więcéj autorów i poetów, niż czytelników.

— Masz słuszność kochany kustoszu, — rzekł prezydent; — *ale:* bo nic bez *ale* na tym bożym świecie.

---

Pracować nad powiększeniem szczęścia człowieka, to jest nad ulepszeniem i udosko-

naleniem jego samego, bo jedno idzie za drugiém, i jak nie ma prawdziwie doskonałego, tak i prawdziwie szczęśliwego nie ma; jest zda mi się szczególnym obowiązkiem tych, którym natura dała większą łatwość pojmowania, myślenia i przekonywania innych, to jest przeznaczyła ich na nauczycieli, a prosto mówiąc na autorów: a że takim ludziom zwykle wlaną jest i ochota rozpowszechniania swych myśli, więc tém samém w zarodach swéj natury mają oni *missyę* do ludzi i dla ludzi.

Lecz tu rzeczywiście jest wielu wezwanych, a mało wybranych; bo jakże mało objawia się na świecie ludzi prawdziwie zdolnych przerzucić imię swoje aż za wieki, i wrazić je nie tylko współczesnym głęboko w usta i w serca, ale aby i rodzące się pokolenie już je do przyjęcia także w usta i w serca gotowem się znalazło.

W dziewiętnastym wieku, pióro wydało otwartą walkę wszelkiéj potędze, i zwycięża każdą; ale do téj walki gromadząc liczne ko-

horty i zapewniając im żołd sowity, nawerbowało ludzi rozmaitych, pożytecznych i szkodliwych, zdolnych i niezdolnych, prawych i zepsutych; którzy nie rozumiejąc czy nie chcąc rozumieć interesów ludzkości, z najszlachetniejszego i najdostojniejszego literackiego zawodu, utworzyli zawod rzemieślniczy, handlujący płodami myśli i wyrabiające towary, jakie w danym czasie, i w daném usposobieniu powszechnych wyobrażeń, na birżach umysłowych całego świata najlepiéj się popłacają...

— Chrystus wygnał ze świątyni Salomona, kupujących i przedających, — przerwał kustosz.

— Brawo ks. kustoszu — *ad casum*, rzekłeś — kontynuował prezydent: — zdaje się nawet, że to wygnanie spełnia się już stanowczo, jeżeli się nie spełniło; towar spadł na cenie, bo kupujący poznali się na gatunku... Ale nigdy odmiany ducha czasu tak widocznie i raptownie nie następowały po sobie

jak dzisiaj: gwoli im piszący odmieniają front swojego szyku, i przed ludźmi poświęconémi wyższym pojęciom, mającemi lub mniemającémi mieć *missyę* w takiéj lub owakiéj formie oświecania ludzi, i zaspakajania upragnień ich duszy, występują dziś specyaliści pracujący nad przymnożeniem środków ulepszających byt materyalny ludzi; i ci ostatni przeludniają piérwszych.

W głębsze wszakże rozwagi nad literaturą dzisiejszą powszechną zaciekać się nie myślę; kto śledził i zna jéj ruch i rozwój, niech te kilka ogólnych postrzeżeń do szczegółów zastosuję; mniemam że je mylnemi nie znajdzie; ja bym tego i niepotrafił zapewna.

— Oho ho, u pana taka biblioteka, — odezwał się ks. jubilat, — tyle książek; co za dziw że jegomość dobrodziéj taki mądry, choć na professora! może co i piszesz?

Prezydent uśmiechnął się po swojemu, a uśmiech jego zawsze wychodzi na Salomonowe *nie* i *tak*.

— Co do nas, — rozpoczął znowu prezydent, — powiedziałem onegdaj, że *zło* i *dobro* słabszym tu zawsze od zachodu przenika promieniem; takim więc promieniem uległo i piśmiennictwo nasze; nim się między nami zażegło własne ognisko, i czystém światłém nie uderzyło w oczy. O tém już mówiliśmy, a lubo u nas chwała Bogu, na rzemiosło nie wyszło, lecz w każdym razie na swojéj nawet pracując niwie, i z własnych treści, piszący nasi, nie mogą się odjąć wpływowi powszechnych idei, tak łatwo dziś i szybko, z wiatrem powiedzieć można roznoszących się po całéj kuli ziemskiéj. Ztąd godło czy piętno czasu odbijać się musi koniecznie i w piśmiennictwie naszém, rozmnożoném dziś w książki i niezliczone rozprawy, w przedmiotach pożytecznych wprawdzie, ale tyczących się po większéj części *chleba naszego powszedniego;* i u nas więc jako i wszędzie, talent ustępuje w cień, a naprzód interressowana utylitarność.

Niedawno autor nasz znakomity, umiejący dostrzedz przenikliwie wszelkie odcienia i zmiany, na jakie się zanosi w towarzystwie; jedną ze swych powieści przedstawiającéj niedorzeczność exagierowanych i nieuważnie stosowanych teoryj obcych ekonomicznych zabiegów do naszego kraju, zakończył zawołaniem: *„Nie zabijajcie ducha!”*— (1)

Zawołanie to, pojmują pewnie w każdym względzie ci, których głos wewnętrzny podbudza, a talent usposabia i ułatwia pracę, powtarzam, nad powiększeniem szczęścia człowieka przez udoskonalenie jego samego: a nawet nad przysporzeniem mu miłych wrażeń, osładzających nieraz gorzkie godziny życia. Takich ludzi mamy chwała Bogu nie mało, pojmujących swoją *missyę*...

— Po co się krzywisz ks. kustoszu?— zdaje się żem wytłómaczył, co przez ten wyraz rozumiem; a dodam jeszcze, że proba czy ją

---

(1) Kraszewski— Dwa Światy Powieść.

ma autor lub poeta rzeczywiście, jest łatwą i zrozumiałą dla czytelnika: niech tylko w jego pismach i życiu, szuka śladów jego uczuć osobistych, których pod zewnętrzną formą dzieła czy życia, ani autor, ani człowiek nigdy tak ukryć nie zdoła, aby się dostrzedz nie dały. *Każde bowiem dzieło powinno być wyznaniem wiary autora, a życie jego praktyką téj wiary.*

Jeden z piszących dzisiaj, w poufnéj niedawno do mnie korrespondencyi, tak się wyraził:

„Pamiętaj bracią krzewić cnót wzory,
„Poczciwych naszych naddziadów,
„Wskazywać mądre życia ich tory
„Obrazem żywych przykładów.

„Serca poruszać tkliwém wspomnieniem
„Miłością ludzi je poić;
„I téj miłości łagodném tchnieniem
„Gorycze życia ukoić!

„Ku temu słabe me pióro wiodę,
„To godło myśli mych stałe:
„*I od mych ziomków chcę za nagrodę,*
„*Osięgnąć miłość — nie chwałę!*" i t. d.

Kto więc szczerze te dwa ostatnie wiersze wyznać, i położywszy rękę na swém czystém sercu, zastosować je do siebie może; taki nosząc w niém szczerą miłość dla ludzkości i braci, a w dziełach swoich jakiejkolwiek treści, nauczając jéj, i dowodząc własnym przykładem; (1) taki mówię, może osięgnąć ich wzajemność, wdzięczność i szacunek... a jeżeli i zawiedzie się w tych swoich najdroższych nadziejach, co jednakże w zdrowéj części narodu stać się nie może, to przynajmniéj umrze spokojny, że spełnił swą *missyę* na ziemi.

---

Wszyscyśmy umilkli.

— No bracie Rafale, — odezwał się przerywając to milczenie prezydent: — za długo-

---

(1) Niech ten co o cnocie gada,
Sam także cnotę posiada!
*Leon Borowski.*— (Nota Wydawcy).

śmy się rozgawędzili, teraz na ciebie koléj. Czytaj ciąg dalszy twéj kwesty.

Wziąłem się więc do czytania i zacząłem: „*Rok tysiąc ośmset trzydziesty*... Ks. kustosz odebrał mi z rąk nagle raptularz, i ołówkiem którym notacye swe przez cały ciąg naszych colloquij robił, podpisał — *koniec*.

— Jak to koniec! — rzekłem zdziwiony. Oto pięknie! jeszcze tak wiele zostaje historyj; toż jeszcze powrót brata Piotra z za rzeki Sambatiej i wiele innych okoliczności i ewentów mojéj peregrynacyi.

Ks. kustosz powtórzył: — *Koniec*.

---

KONIEC.

# PRZYPISY.

# PRZYPISY.

## Wolne mularstwo na Litwie.

Brat kwestarz trafił w Nowogrodzkim na *Wolnemularstwo*, wszędzie po Litwie natenczas rozpowszechnione tak dalece, że nie tylko w Wilnie loż kilka, lecz prawie w każdém główniejszém powiatowém mieście, były loże *massońskie:* (1) ztąd liczba inicyowanych była bardzo wielką, i obraz wewnętrznych ówczesnych dziejów i obyczajów tego kraju, nie mógłby się obejść bez napomknienia przynajmniéj o instytucyi

(1) W Wilnie — *Gorliwy Litwin* — *Dobry Pasterz*, Loża Niemiecka — *Orzeł Sławiański*, Loża Rossyjska — *Szkoła Sokratesa*, Loża prowincyonalna — *Doskonała jedność*, w Mińsku — *Pochodnia północna*, w Grodnie — *Przyjaciele ludzkości*, w Nieświżu — *Szczęśliwe oswobodzenie*, w Słucku — *Władysław Jagiełło*, w Nowogródku — *Węzeł jedności*, w Rosieniach —

nadającéj w kilkoletnim okresie, pewny ruch i niejakąś tajemniczą barwę publiczności litewskiéj.

Do tego więc obrazu postanowiliśmy dorzucić te krótkie wspomnienia; tém bardziéj, że z licznego tłumu braci z któremi się niegdyś prawie wszędzie i prawie codziennie spotykało, żyje dziś ledwo kilku starców którzy sami podobni w losie do idei wolnomularskiéj, przeżyli swój wiek i ważność. A wszakże zdaniem mojém i to *meminisse juvabit*, chociażby tylko dla wiadomości, żeśmy już przeszli przez tę zabawkę, która jednak po całéj Europie jeszcze się rozwleka, i w poważne szaty martwy skielet ubiera. Nie będziemy wchodzić w głębsze rozpoznanie instytucyi zakonu *wolnych mularzy*: „*Ziemia wielce przy-„sięgała*, powiada stary Talmud Żydowski, *że ża-„dnéj na niéj nie będzie tajemnicy*” i przysięgi téj, tak w fizycznym jako i w duchownym względzie ziemia wiernie dotrzymuje. W piérwszym, coraz to nowe odkrycia praw natury, dają coraz nowe rezultata na korzyść ludzkości: w drugiém, żadna myśl

---

*Palemon.* Na Wołyniu w Dubnie — *Doskonała tajemnica* — *Zorza wschodnia* — i loża prowincyonalna, w Rafałowie — *Cnota uwieńczona*, w Żytomierzu — *Ciemnoście rozproszone*, w Białymstoku — *Złoty pierścień*. Prócz tego w Wilnie — były loże kapituły wyższéj udzielające stopnie mistrzów wybranych, aż do Kawalerów Różowego Krzyża (Rosecroix) to

by najtajemniejsza, skoro się wciela w czyn, nie ukryje się przed śledczém a przenikliwem okiem. Dla tego też założenie to Talmudyczne sprawdziło się i na *wolném mularstwie;* straciło ono zupełnie swój urok; nie tylko dla tego że nie mało wydano książek, wyjawiających wszelkie rytuały obrzędu i znaki tajemnicze, po których się poznają bracia, lecz jeszcze bardziéj dla tego, że to *arkanum* mądrości i szczęścia dla ludzi, jakoby jedynie w łonie zakonu tego pielęgnowane, a strasznemi przysięgami zaklęte; jest tylko chmurami średniowiecznéj pomroki oćmione, i przez wielką liczbę samychże adeptów dojrzeć się nie mogące światło, mające kiedyś w jedno braterskie ogniwo zespolić cały ród ludzki.... a które jednak daleko jaśniéj bije i rozpromienia z ołtarzy chrześcijańskich, niżeli z symbolicznego kościoła Salomona, nad którego duchowném odbudowaniem wolni mularze wrzekomo pracują.

---

jest najwyższego stopnia w Zakonie. Całe zaś wolne-mularstwo Litewskie należało do wielkiego wschodu, to jest do zwierzchnictwa warszawskiego którego wielkim mistrzem był natenczas *Stanisław Kostka Potocki.*

Loże wolno-mularskie istniały już w Wilnie, w końcu przeszłego wieku; gdy się w drugim dziesiątku teraźniejszego odnowiły, żywym jeszcze przeszłości świadkiem był brat *Kościałkowski*, zacny i dostojny starzec, od którego można było zapewne mieć interressowany w téj materyi pamiętnik, gdyby kto natenczas o pamiętnikach myślał. To jednak pewném, że loża *Gorliwego Litwina* była wskrzeszeniem i jakby dalszym ciągiem dawnéj pod témże samém osóbném nazwaniem w Wilnie będącéj; znaki nawet też same zachowała: (1) A gdy liczba coraz zwiększająca się braci wskazywała potrzebę rozdziału, z niéj się natenczas roiły inne loże tu, i na prowincyach.

Cokolwiek tylko dostojniejszego w jakiejkolwiek klassie towarzystwa po całéj Litwie liczyć się mogło (prócz żydów) wszystko się to ubiegało, o chlubne natenczas imię massona; a które wszakże nie zbyt łatwo się otrzymywało. *Światowy* podawany zwykle przez któregokolwiek z braci za kandydata, podlegał najprzód kilkotygodniowemu nie wiadomemu dlań sledzeniu, przez dwóch lub trzech wybranych na to członków loży do któréj wejść pragnął: a lubo śledzenie to o znanych i dobrze opinią powszechną zaleconych ludziach (bo innych niktby proponować nie śmiał) było raczéj formalnością prawami przepisaną,

---

(1) W Muzeum Wileńskiem znajdują się znaki prawie wszystkich loż Litewskich.

niżeli ścisłém tych praw wypełnieniem, wszakże bywały zdarzenia, że niespodzianie odkrywało defekta lub czyny kandydata tajemne dla publiczności, a takie, dla których mu wstęp do towarzystwa musiał być zaprzeczonym. Natenczas mistrz katedry nieogłaszając w loży pism sprawozdawców, i proponującemu tylko objawiając treść owych, palił je. Gdy zaś przeciwnie, a co najczęściéj bywało, sledzenia okazały się przychylnémi sledzonému, mistrz katedry ogłaszał tajne wotowanie. Trzy czarne wota miał on prawo władzą piérwszego młotka (mówiąc wyrażeniem rytualném) zamienić na białe, i tém samém zdeterminować przyjęcie. Większa liczba przeczących wotów odraczała recepcyę; siedm zaś takich zamykało na zawsze lożę przed proponowanym, a nawet wszystkie loże całego wschodu (1) bo wszystkim komunikowano wypadek taki, i imię odrzuconego.

---

Tak rozpowszechniające się towarzystwo po kraju, obudziło na się pilniejszą uwagę duchowieństwa, które bez względu na to, że na czele onego w Wilnie stał mąż duchowny ks. Michał D..... prałat katedry Wileńskiéj, powodowane instytucyami kościelnemi, i

---

(1) Każdy narod gdzie zakon istnieje, ma swój *wschód narodowy*, to jest władzę najwyższą: i swego wielkiego mistrza — we Francyi teraz w. mistrzem jest podobno książę *Murat:*

bullą jednego z papieżów potępiającą wolne-mularstwo, jako instytucyą, przeciwną zasadom relgii chrześcijańskiéj, i podkopującą je tajemnie; ogłaszać zaczęło publicznie z ambon, że każdy chrześcijanin wchodzący do loży ciężkim grzechem swe sumienie obarcza, i nadzieję zbawienia traci.

Jak dalece ugruntowaną jest ta i dotąd trwająca w duchowieństwie opinia o *massoneryi*, rozbierać nie będziemy, a nie rozbierano i natenczas: bo większa część, ba! największa liczba braci wyższych i niższych stopni, najmniéj nie łamała sobie głowy, trudném rozgmatwywaniem ciemnych symbolów, obrzędów, i dwulicowych nauk i explikacyi, w które jak we splątany kłębek, obwiniętém jest słowo téj Salomonowéj zagadki. Ale tenże sam prałat D..... mistrz katedry *Gorliwego Litwina*, postanowił bronić zakon, którego był najznakomitszym członkiem; i w tym celu napisał i drukiem ogłosił broszurę pod tytułem: „*List* „*rabina Lizbońskiego, do Rabina brzeskiego, z dya-* „*lektu Rabińsko-Talmudzkiego wytłómaczony*" (1) Umieszczamy go tu w całości, bo w małéj liczbie eksemplarzy natenczas odbity, i braciom tylko rozdany, jest dziś razem i bibliograficzną i historyczną rzadką pamiątką:—

---

(1) W Wilnie — drukiem Józefa Zawadzkiego — Typografa Wileńskiego Imperatorskiego Uniwersytetu.

# LIST

## Rabina Lizbońskiego do Rabina Brzeskiego

Z dyalektu Rabińsko-Talmudycznego przetłómaczony.

---

*Abraham Ben Nahasson niegodny Rabin w Lizbonie.*
*Izaakowi Ben Moszeh uczonemu Rabinowi w Brześciu*

Pozdrowienie.

„Z prawdziwą uprzejmością i pociechą przyjąłem braterską twoję odezwę pod dniem 14 miesiąca *Kisleu* roku przeszłego pisaną. Najuprzejmiéj ci dziękuję uczony Rabinie za ten dowód braterskiego affektu z jakim mnie uwiadamiasz o dobrém powodzeniu braci w północnéj waszéj krainie pielgrzymujących. Niech będą nieskończone dzięki najwyższemu Jehowah, że wedle przedwiecznych swoich obietnic, ulubione sobie plemie Abrahama po całéj przestrzeni ziemi rozproszone, w swojéj świętéj opiece utrzymuje i rozmnaża. Niech będą dzięki nieśmiertelnemu waszych stron nowemu *Szelomoh* (Salomonowi), który potomków Izraela dobroczynną opieką swoją zaszczyca. Niech go wielki *Jehowah*, najmędrszy *Adonaj* i najpotężniejszy *Elohim Cebaoth* jak najdłużéj zachowuje, i we wszystkich zbawiennych zamiarach jego wspiera.

Pytasz mnie uczony Rabinie co myśleć o towarzystwie tajemném, bynajmniéj do religii nienależącém, pod nazwaniem *Chafszym Goderym*, niedawno u was zjawionêm. Dziwno mi kochany bracie, że to, o czém wielu sławnych naszych nauczycieli pisało, przed wszystko przenikającą mądrością twoją dotąd zostało zakryte... Wiedz zatém, uczony kolego, że nie z ustnego podania, pospolicie w przechodzie z pokolenia do pokolenia odmieniającego istotną prawdę, ale z zostawionych nam pism od czcigodnych ojców naszych, ta niczém niezaprzeczona wywiązuje się wiadomość.

Po okropném spustoszeniu świętego miasta *Jeruszalaim*, przez potężnego natenczas króla *Nebukadnecar*, gdy nieszczęśliwy nasz król Sedecyasz oślepiony, z całym wybranym ludem zaprowadzony został do krain Babilonu; przez siedmdziesiąt lat niewoli, synowie cnotliwych Izraelitów pomiędzy narodami nieznającémi prawdziwego Boga urodzeni i wychowani, utracili znajomość praw świętych, osłabili się w duchu religii, zapomnieli obrzędów z nieba podanych i rozwolnili się w dobrych obyczajach do tego punktu, że wszelkie nieprawości rozlały się pomiędzy nimi, jak woda w rozlewie wiosennym, tak dalece, że żadna tama popędu nawałności wstrzymać nie mogła.

Jakoż pomiędzy tylą tysiącami uprowadzonego w niewolą ludu, jednego tylko, mądry i uczony Rabinie, znajdujesz *Tobijasza*, który nieskażoną cnotę w po-

śród powszechnego zepsucia zachował, i za to wieczną w narodzie naszym zjednał dla siebie pamięć. Po skończonym, wyrokiem Najwyższego zamierzonym, zakresie siedmiudziesiąt lat niewoli, wzbudził Bóg ducha Cyrusa, który przodków naszych ze czcią uwolnił, dla odbudowania zburzonego najwyższemu imieniowi jego poświęconego kościoła. Powróceni do ojczystych siedlisk, synowie Izraela, po większéj części pomiędzy narodami nieznającemi prawdziwego Boga urodzeni i wychowani, przynieśli z sobą wygładzoną pamięć praw świętych, osłabioną religiją, zaniedbanie obrzędów, i rozwolnione obyczaje, tak dalece, że zapomnieli o związkach braterskich, które nie tylko szczególne pokolenia ale lud cały z jednego szczepu pochodzący, wspólną miłością łączyć były powinny. Pokazały się pomiędzy nimi występki narodom bałwochwalczym właściwe, jako to: zazdrość, chciwość zysków, oszukaństwa, zdrady, złodziejstwa, rozboje, zgoła wszystkie najgorsze wady, jakie z zaniedbania prawideł religii, z wygórowanego samolubstwa, i z prywatnego źle zrozumianego interesu, wyniknąć mogą. Cierpieli na tém bardzo książęta ludu, a *Nechemijasz* syn *Helcyasza*, najwyższy kapłan Boga żywego, z bracią swoimi kapłanami, przez gorliwe opowiadanie praw boskich, usiłował zwrócić ich na prostą drogę przykazań pańskich; ale powszechne zepsucie szeroko już było korzenie swoje rozpostarło, i szczątki Izraela stały się zupełnie od

prawideł ojców swoich odrodzonémi i jakoby moralnie zakopconémi Murzynami, których i ziele *Borith* wybielić niezdoła. W tak zepsutém położeniu wybranego i niegdyś od Boga ukochanego narodu, ojcowie nasi duchem Bożym natchnięci, szanowni starcy ludu, a szczególniéj *Nechemiasz* kapłan, *Zorobabel* potomek królów, *Saraja*, *Rechelaja*, *Mardochaj*, *Belsan*, i wielu innych, postanowili pomiędzy sobą utworzyć osóbne towarzystwo cnotliwych ludzi, cześć Boga, miłość bliźniego, i usiłowanie o ciągły postęp w cnotach moralnych, za najpiérwszy cel skojarzenia się swojego mające, a dla zupełnego odosobnienia się od zepsutych i samémi tylko namiętnościami powodujących się współrodaków, postanowili składać towarzystwo tajemne, mające pewne umówione znaki, po których mogliby się poznawać po całéj przestrzeni ziemi, i ustanowiony zamiar wzajemnéj dobroczynności i wzajemnego sobie dopomagania bez omylenia się dopełniać. Towarzystwo to, uczony i szanowny bracie, w Europie i w całym świecie od dawna kwitnące a u was nowo teraz zjawione, jest bardzo dawne i sławnych narodu naszego dosięga wieków. Przed ustanowieniem piérwszego króla w Izraelu, już ono istniało, i *Saul ben Cys*, znajdował się pomiędzy *Bene Nebiim*, to jest pomiędzy *synami Proroków*, których pokolenie, zakonny związek, i tajemna nauka, do naszych doszły wieków. Stowarzyszenie to, w późniejszych czasach odnowione, zna-

jome było w narodzie naszym, pod nazwaniem *Rehabitów*, *Terapeutów*, i *Essenczyków*, to jest ludzi, od wszelkiego oswobodzonych uprzedzenia, ściśle trzymających się praw Boga i one w całéj surowości jego, pełniących, którzy oddzielili się od powszechnego rozwolnienia i osóbne pod hasłem cnoty, utworzyli zebranie. To cnotliwe stowarzyszenie się od pokolenia do pokolenia przechodząc, doszło do naszych wieków. Za czasu Makhabeuszów, *Alcymus* i inni odrodni od pokolenia naszego ludzie, starali się to gniazdo cnoty przytłumić; pomimo atoli najdzielniejszego o to usiłowania, nic dokazać niemogli. Za czasów panowania Idumejczyków, doktorowie nasi, członki wielkiego *Sanhedrynu*, nieznając prawdziwych stowarzyszenia tego zasad, chcieli je zniszczyć i u pospolitego ludu podać w ohydę, najczarniejsze i najniedorzeczniejsze rzucając na nie potwarze. *Jason Ben Heliah*, najwyższy natenczas kapłan, pospolitém uprzedzony mniemaniem, a sam zgłębić jego niemogący, starzec w prawidłach *Faryzeuszów* wychowany i ślepo im wierzący, rzucił był na to cnotliwe towarzystwo przeklęctwo *Cheremu;* ale późniejszy po nim następca, *Baruch Ben Abed*, głęboko uczony i żadnemi nieuprzedzający się przesądami, którego uczone pisma w wielkiém są i być powinny w synagogach naszych poważeniu, zniosł takowy niesprawiedliwy wyrok, i dozwolił ludziom poczciwym, iść za popędem cnotliwych uczuć serca. Jakoż towarzy-

stwo to, na czystéj cnocie i prawdziwéj moralności ufundowane, nie już pod nazwaniem *Rehabitów*, *Essenczyków* lub *Terapeutów*, ale pod trwającém dotąd imieniem *Chafszym Goderym*, doszłe do naszych czasów i coraz się więcéj pomnaża, bo prawdziwa cnota, zawsze ma wielkie i dzielnie do siebie pociągające powaby.

W małém pisemku za panowania Heroda Idumejczyka, przez uczonego jak mówią doktora *Gamaliela* wydaném, czytam, że sławny *Jezus z Nazaretu*, którego naród nasz na krzyż potępił, a nauka jego po całym prawie rozeszła się świecie, do tego cnotliwego stowarzyszenia należał, i prawidła onego zkąd inąd doskonałe, więcéj jeszcze sprostował, przepisując mu, ścisłą miłość bliźniego bez uwagi na stan i kondycyą człowieka, przebaczenie urazy, darowanie winy, i kochanie nawet nieprzyjaciół, i tę naukę do tego, dawniéj nigdy niesłyszanego posunął stopnia, że prawo najmędrszego z zakonodawców poprawując, mówi: *Słyszeliście że napisano jest*, (1) *oko za oko, ząb za ząb, ja zaś mówię wam, nie opierajcie się złemu, i jeżeli kto cię uderzy w prawą szczękę nadstaw mu i drugą, i gdy kto chce ci przez prawo odebrać twoję suknią, oddaj mu i płaszcz.* (2) Ta wygórowanéj i prawie nadzwyczajnéj moralności nau-

(1) Exod. 21, 24. Levit. 24. Deuter. 19, 21.
(2) Math. C. VI.

ka, jest równie zasadnem prawem towarzystwa *Chafszym Goderym*, które ściśle pilnując się nauki Jezusa Nazareńskiego, i w żadne dogmatyczne niemieszając się sprzeczki, zasługuje na powszechny szacunek i uwielbienie. Niewiem jakie są teraz w kraju waszym tego towarzystwa prawidła: dawniéj albowiem każdy ktokolwiek wierzy w Boga, w nieśmiertelność duszy, w pewność nagrody lub kary w życiu przyszłém, miał prawo być jego członkiem, jakoż i ja mam zaszczyt do niego należeć: a chociaż chrześcijanie za czasów wojen krzyżowych, nowy towarzystwu temu nadali kształt, i niektóre swoje religijne do niego przystosowali obrzędy, istotny atoli zamiar jego, jakim jest, cześć Boga, miłość bliźniego, wierność dla monarchy, wzajemna pomoc i postępowanie w cnotach, nienaruszenie pozostał. Życzę ci przeto kochany kolego i bracie, ażebyś starał się być do tego cnotliwego zgromadzenia przypuszczonym. Prawda, że powszechna pogarda jaką naród nasz we wszystkich prawie krajach zostaje okrytym, spływa i na najzacniejszych jego członków, ale cnotliwi *Chafszym Goderym*, wszystkich ludzi, jakiegokolwiek narodu i kraju, za braci uważają i jako braci kochają. U nich, kij pasterski i prosta siermięga równo są uważane jak berło i purpura królów: a każdy bogaty czy ubogi, byleby był poczciwym, jednostajne do serca ich ma prawo. Cóż może być kochany kolego, pożyteczniejszém na świecie, jak towarzystwo, któ-

re wszystkie narody po całéj przestrzeni ziemi rozproszone, w jednę braterską połącza społeczność, i jednę ze wszystkich synów Adama utwarza familią. Ja który ci to piszę, z wypadku okoliczności, znajdowałem się w Afryce, nieuwierzysz bracie mój jakiéj pociechy i jakiego osłodzenia przykrości moich doświadczyłem, znajdując i w téj odległéj krainie braci, którzy za prostém daniem znaku, takimi się dla mnie w całéj obszerności tego znaczenia okazali, cieszyli mnie w troskach, najuprzejmiéj przyjmowali, ofiarowali mi nawet z majątku swojego pomoc, któréj dzięki Bogu niepotrzebowałem, ale ich dobre chęci poczytuję za prawdziwe dobrodziejstwo z zasad związkowych wynikające.

Oto jest uczony Rabinie i zacny mój kolego, szczera i zgruntu przekonania mojego pochodząca odpowiedź, którą ci na zapytanie twoje przesyłam.

Pokój niech będzie z tobą."

**Miesiąca Sywan d. 5, roku**
**podług małéj rachuby 576**
**w Lizbonie.**

---

Pismo to wszakże zamierzonego przez autora nie dopięło celu; nie przekonało bowiem uprzedzonych przeciw towarzystwu, i w naciąganych wyraźnie a wrzekomo historycznych ogólnikach, nie dostarczyło towarzystwu broni, ani puklerzów przeciw uprzedzo-

nym, a tylko rozdrażniło jeszcze bardziéj duchowieństwo wyrzucając autorowi że nawet Chrystusa zrobił massonem. (1) Więc groźniéj jeszcze ozwały się ambony, a szczególniéj Dominikańska, tak, że nakoniec musiano postarać się o zakaz rządowy, aby nadal wolne-mularstwo nie było kaznodziejską treścią.

---

Po przejściu téj zewnętrznéj burzy, nowa się wewnątrz samegoż towarzystwa utworzyła (1819). Kilkunastu z braci członków loży Gorliwego Litwina postanowiło zreformować wolne-mularstwo litewskie: przewodniczący temu zamiarowi brat *Kazimierz Kontrym*, napisał obszerną rozprawę, dowodzącą niestosowności przestarzałéj instytucyi do ducha i oświecenia wieku; niestosowności przysięgi, przez którą przysięgający dozwala się być zabitym, jeżeliby zdradził tajemnicę — co naturalnie wykonaćby się nigdy niemogło; niestosowność obrzędów i prób niepotrzebnych, a często śmiesznych: słowem wypowiedział wszystko to, co i natenczas i dzisiaj naprzeciw wolno-mularstwu sprawiedliwie powiedzieć można. Lecz gdy słuchacze pilnie śledząc słowa jego, oczekiwali wnio-

---

(1) Była odpowiedź na list ten napisana przez ks. Korzeniewskiego kaznoidzei ówczesnego dominikańskiego — drukowana — lecz się jéj teraz doszukać nie można.

sku jaki z nich wypływać zdawał się, to jest projektu zamknięcia zupełnego loż i zaniechania towarzystwa na Litwie; z podziwieniem usłyszeli projekt *reformy* tylko, który składając drugą część rozprawy, wrażenie z piérwszéj całkowicie zgasił.

I w rzeczy saméj niezręczny reformator, jako i wielu jemu podobnych, okazawszy w treściwém rozumowaniu zdolność sądzenia, wyrokowania i po wyroku skazującym, rujnowania i obalenia, zdolności budowania, czy roztropnego przebudowania nie dowiódł. Loża jego miała się zwać: „*Gorliwy Litwin reformowany.*" Przysięgę, miało zastąpić: *słowo honoru*. Formy rytualne i znaki, jedne odrzucał, drugie podług upodobania na wywrót przeinaczał i przyjmował; obowiązki także braci względem towarzystwa, i wzajemnie między sobą, rozwolnił w takim stosunku, jak się ma *słowo honoru* do przysięgi. A nadto tworząc lożę samoistną bez hierarchii i zwierzchności, zrywał tém samém związek ze wschodem narodowym,. jak naprzykład Luter zerwał związek z Rzymém, któremu uległość wypowiedzieć musiał, gdy się Rzym nie reformował. Słowcm, obalał zakon, który samą starożytnością poważny, nie pożyteczny już wprawdzie w głównych i głębszych dążeniach i zadaniach wieku i społeczeństwa, (jak to wyżéj namieniłem) ale pod względem wpływu na indywidualne obyczaje, na dobroczynność rozlewaną hojnie z loż na cierpiącą ludzkość, nakoniec pod wzglę-

dem tytułu braterstwa jednoczącego mniéj więcéj obcych sobie klassą, urodzeniem, dostatkiem, a nawet narodowością ludzi; nie mógł być zastąpionym przez jakieś *fac-simile* towarzystwa, nieokreślającego ani dążeń, ani obowiązków, i w istnieniu swém (gdyby istniało), zależącego bardziéj od fantazyi i dobréj woli członków onego, niżeli od przyjętych stałych reguł i zasad.

Interressującém wszakże było posiedzenie (loża) na którém fakt ten się objawił. Przewodniczył natenczas loży *Gorliwego Litwina*, mistrz katedry Mianowski, professor w oddziale medycznym Wileńskiego uniwersytetu w kolei prac zwyczajnych; ku końcowi posiedzenia przed zbieraniem jałmużny, szło zwykłe zapytanie od mistrza katedry, czy który z braci nie ma do wniesienia jakiéj propozycyi. Zapytanie to dla tego zawsze poprzedzało jałmużnę, że najczęściéj przynoszone bywały propozycye dobroczynnego jéj użycia; a gdy cel proponowany wymagał hojniejszego wsparcia, naténczas mistrz katedry do hojniejszéj też składki zachęcał braci; a mistrz obrzędów obszedłszy lożę z workiem do którego każdy wkładał swą kwotę, odnosił wszystko na stoł przed mistrza katedry, ten zaś wezwawszy brata jałmużnika, przeliczał z nim pieniądze, i oddawał mu je, dla użycia w części lub w całości podług postanowienia loży.

Ale wróćmy się do sceny reformacyjnéj: gdy więc *mistrz katedry* Mianowski zapytał o propozycye;

powstał na kolumnie uczniów brat *Kazimierz Kontrym.* Znany on był i szacowany powszechnie dla swéj prawości, umiarkowania, czystych obyczajów i nauki: (1) gdy więc się zbliżył do światła i obszerny rozwinął rękopis, uwaga wszystkich nań się zwróciła; bo taki człowiek nie mógł z czémś mało ważném wystąpić....

Blizko godziny trwało czytanie rozprawy którą wyżéj w skróconym zarysie podaliśmy. Nowość i nieoczekiwana treść przedmiotu, odbijała się na zdziwionych obliczach słuchaczy — skończył — i głuche milczenie objęło lożę....; przerwał je Kontrym, i postąpiwszy na środek między kolumny zawołał: „kto „z braci jest mojego zdania niech raczy wystąpić i „połączyć się ze mną." Kilkunastu powstało, i stanęło mu obok.... większego wrażenia, i większéj liczby stronników, a może nawet jednomyślnéj zgody spodziewał się *Kontrym*: teraz więc nie wiedział co daléj począć, i czekał umówionego zapewna zawczasu od mistrza katedry hasła. *Mianowski* milczał.... powiódł okiem po siedzących na wschodzie, to jest w półkrąg około niego, braciach wysokich stopni i dostojnikach zakonu.... Lecz nic na ich twarzach nie wyczytawszy, nie mógł własnéj ukryć niecierpliwości i wzruszenia: a w tym *Kontrym* odezwał się znowu:

„Przewielebny mistrzu, czekamy zdania twojego."

---

(1) Opis to jest naocznego świadka.

Zatém nakoniec drżącym głosem przemówił Mianowski, i nową niespodzianką zadziwił lożę:

„Zgadzam się zupełnie,— rzekł on,— ze zdaniem „brata *Kontryma:* a ponieważ widzę, że loża nie zdaje „się podzielać tego zdania, więc... więc...." jeszcze bardziéj się jąkając: „więc składam młotek téj ka„tedry, w ręce twoje najdoskonalszy mistrzu katedry „loży prowincyonalnéj Litewskiéj, i łączę się z braćmi „uznającemi potrzebę reformy wolno-mularstwa."

Tu oddał młotek, to godło swego urzędu, siedzącemu obok bratu *Dłuskiemu*, a sam powstał i przeszedł do gromadki około *Kontryma* skupionéj — lecz nikt za nim.... Stanąwszy zaś między kolumnami odezwał się znowu: „Bracia kochani!.." Ale młotek dostał się w ręce doświadczonego i pewnego siebie mistrza; nie dał on pola wymowie Mianowskiego, bo znał niebezpieczeństwo téj chwili — uderzył młotkiem, i przerywając słowa jego zwrócił uwagę ku sobie: „Bracia,— rzekł uroczyście Dłuski,— ponie„waż ogniwa jedności naszéj zrywają się tak niespo„dzianie, połączmy się więc jeszcze ściślejszemi wę„zły; i w tém połączeniu, wezwijmy wielkiego bu„downika światów, aby zakon nasz wolnych-mula„rzy, chwale jego i dobru bliźnich poświęcony, chro„nić raczył od niezgody, upadku i krzywo-przysięztwa. „Wzywam lożę do sformowania *braterskiego łancu„cha!*" Wnet powstali wszyscy, i podając sobie zwykłym obrzędem ręce, spletli ten łańcuch — a Refor-

matorowie widząc się odosóbnionémi i za kołem, wyszli z loży. Natenczas Dłuski, a za jego promotorstwem wszyscy, odmówili głośno rytualną modlitwę, po któréj wszystko wróciło do zwykłego porządku. Tak grożące rozprzężenie loży, zręcznym obrótem Dłuskiego, ściślejszym jeszcze ją zjednoczyło związkiem.

---

Poświęćmy nadto słów kilka krótkim nader dziejom tęj reformy. *Kontrym*, *Mianowski* — *Jakób Szymkiewicz*; ułożyli wcześnie swój plan i programmat działania: byli to ludzie uczeni, dobréj wiary, i powszechnym (jakem to o piérwszym z nich powiedział) okryci szacunkiem; ale do przyprowadzenia w czyn swego przedsięwzięcia, to jest założenia i utrzymania nowéj loży, do gorliwego zajęcia się zakładem, wymagającym nieustannego czuwania, i poświęcenia mu czasu i kosztów nie małych, nie byli zdolni: wreszcie obowiązki ich światowe (1) niedozwalały im takich ofiar i ciągłych zatrudnień; a inni kilkunastu połączeni z niemi, byli raczéj osobistemi

---

(1) *Kazimierz Kontrym* — Sekretarz Rządu Wileńskiego Uniwersytetu — Mikołaj Mianowski — professor tegoż uniwersytetu — i doktor medycyny — Jakób Szymkiewicz — Doktor medycyny, szerokiéj bardzo praktyki.

ich przyjaciołmi, niżeli stronnikami nowéj reformy, a więc tém mniéj na nich liczyć można było.

Wszelakoż *Gorliwy Litwin reformowany* ukonstytuował się — lecz po kilku posiedzeniach bez pewnego lokalu, a po kwaterach członków odbywanych; gdy zaledwo ich stało na zajęcie urzędów w loży koniecznych (1) i gdy nowych najmniéj nie przybywało; a zatém gdy i żadne recepcyjne dochody nie wpływały, które zwykle stanowiły główną zasadę kassy każdéj loży, i fundusz znacznych na jéj utrzymanie wydatków: przeto posiedzenia te z tygodniowych przeszły na miesięczne, potém na dowolne i coraz dłuższe termina odkładane, pełzły powoli, i nakoniec spełzły ostatecznie.

Tymczasem wielki wschód narodowy, uwiadomiony o tym wypadku w massoneryi Litewskiéj, delegował namiestnika wielkiego mistrza; brata *Ludwika Platera* do Wilna, aby na miejscu zbadał umysły, i jeżeli można, wrócił do loży Gorliwego Litwina jedność i odrywających się braci. Lecz *Plater* przybył do Wilna, gdy już reforma, jakem to wyżéj opowiedział, sama przez się gasła i żadnemi niebezpie-

(1) Urzędnicy w loży byli. 1) Mistrz katedry. 2) Dwóch dozórców. 3) Mówca. 4) Sekretarz. 5) Jałmużnik. 6) Mistrz obrzędów. 7) Dwóch Sztuartów — w ogóle osób 9 — prócz braci służących.

cznemi nie groziła następstwami dla towarzystwa: a powrót pojedynczych członków, gdy musiałby ich narazić na ponowienie recepcyjnych obrzędów i przysięgi; na co by się żaden z nich nie zgodził, gdy zapraszani na ucztę braterską dla *Platera* wydawaną, nie przyszli nawet, przeto i żadnych już z niemi nie zagajano traktacyi.

---

W takim stanie było wolno-mularstwo Litewskie (1820-go) gdy między wielkim wschodem Petersburgskim i Warszawskim, o zwierzchnictwo nad niém zaszły niejakie spory: a że spory te nadarzały lożom tutejszym rozmaite trudnoście, przeto wynikł projekt utworzenia wielkiego wschodu Litewskiego, ku czemu liczba braci i loż po całéj prowincyi istniejących, aż nadto była dostateczną.

Doprowadzenie zamiaru tego do skutku, wymagało jednak znakomitego kapitału, lecz i ta przeszkoda znikła; bo brat *Narcyz Olizar*, oświadczył gotowość ofiarowania 15,000 rs. na kupienie domu, w którymby zakład ten wygodnie mógł być pomieszczonym: jakoż i przysłał tę summę, za którą kupionym został dom niegdyś Kossakowskich, dziś Zawadzkich na bernardyńskim zaułku.

Lecz nim te wszystkie projekta skutek swój wzięły, loże wolno-mularskie, z rozporządzenia rządowe-

go, w całém imperium, a zatém i w Wilnie zamkniętemi zostały. (1)

---

Posiedzenia wolno-mularskie są trojakie: *Symboliczne* — *Prowincyonalne i Obrzędowe*. Piérwszych jest głównym przedmiotem, przyjmowanie członków; drugich wszelkie rozporządzenia, tyczące się ogólnego interressu loż wszystkich całéj prowincyi; trzecie otwierają się tylko w dniach uroczystych zakonu, lub pamiątkowych dla loży, albo nakoniec na cześć jakiegoś dostojnika czy mistrza, któremu bracia pragną dowieść swéj wdzięczności i uwielbienia.

Dzień Ś-go *Jana* jako patrona wolnych mularzy, obchodzonym jest stale i wszędzie w zakonie, gdziekolwiek on na świecie istnieje; jest to więc święto coroczne rytuałem oznaczone. Prócz tego każda loża obchodzi zawsze rocznicę swego założenia, imieniny swojego mistrza katedry, i inne tym podobne obrane lub nastręczające się dnie, w których wszelkie talenta — Malarstwo w przezroczach — Muzyka w hymnach i śpiewach — Poezya w deklamacyach — Wymowa w pięknych a stosownych do obchodu przemówieniach, jaśniały w lożach i nada-

(1) Kassy loż wszystkich Wileńskich, razem złączone, wynoszące kilkanaście tysięcy złotych, oddanemi zostały Wileńskiemu Towarzystwu Dobroczynności.

wały rzeczewistą świetność i piękność posiedzeniom kończącym się zwykle wspaniałemi ucztami.

Na zakończenie tych krótkich wspomnień, i dla niejakiego wyobrażenia tych właśnie loż obrzędowych, umieszczam tu jeszcze, pozostały mi w pamięci: „*Wiersz* „*Obrzędowy* przez brata *Kazimierza Brodzińskiego* „ułożony, w święto imienia mistrza katedry loży „Warszawskiéj pod osóbném nazwaniem *Świątyni* „*Izys*, brata Ludwika Osińskiego.” Będzie to podwójna pamiątka; to jest wolno-mularska, i literacka, objawiająca talent naszego znakomitego poety, jeszcze w klassycznym jego peryodzie:

### Chór.

Kapłanko mularzy święta,
W łonie wieczności poczęta,
O prawdo! niech twe natchnienia
Ożywią mularskie pienia.

### Spiew.

Tajemna jest twoja brama,
Mądrość trzyma w niéj pochodnię;
Blask jéj zniesie cnota sama,
Wproch przed niemi nikną zbrodnie.

### Chór.

Kapłanko mularzy święta — i t. d.

### Piérwszy uczeń — *recitativo.*

O ty mądrości filarze,
Ty co obok siedzisz tronu:
Proszą Cię wolni-mularze,
Powiedz nam chwałę zakonu!

### Deklamacya namiestnika.

„Gdy szczęsne fatum ludzkie porzucało plemie,
Chmura nocy z błyskami otoczyła ziemię:
Gdy znikły pod żelazem Saturnowe plony
I w burzy runął kościoł prawdzie wystawiony;
Wtenczas jak Noe w Arce od niebios wybrani
Z zatopów zarod prawdy unieśli kapłani.
*Mądrość* im sterowała, w żagiel dęła *siła*,
*Piękność* (1) burze łagodząc Argusy uśpiła.
Pod berłem nocy spał świat w milczeniu głębokim,
Prawda wyszła, i z światłem szybkim przeszła krokiem,
A z tym sen przedłużając jéj moc tajemnicza,
Wzbudziła mężów prawych godnych jéj oblicza.
Głos jéj kornie na skrzydłach tajemnic niesiony
Wieki wiekom, a stronom podawały strony:
Wnet się zeszli mularze licznego narodu,
Od zachodu na północ, z południa do wschodu;
Rozciągnęli budowę trwałą nieśmiertelnie,

(1) *Mądrość* — *Siła* — i *piękność* — Trzy przymioty zakonne.

Z tronów zeszli królowie, wzięli z niemi kielnie!
Jéj obwód i kościoły i trony zamyka,
Tam jest cześć i dla bóstwa i praw śmiertelnika:
Jéj ołtarze już ziemi zajęły przestrzenie,
Gdzie blask rzuca, złość mdleje, ustępują cienie.
Gdy pyszne niegdyś grody, teraz porze radło
Kiedy tysiąc towarzystw i narodów padło;
Zakon nasz wolny, mocny przez zgodę jedynie,
Spokojny, cichy, wiedzie mur po téj ruinie....
Jak słońce zawsze jedno, stałe, i spokojne,
W kuli świata rozlewa strugi światła hojne,
Gdy piorun niosąc błyski które chwila nieci
Grzmi — śpieszy aby zgasnął wtenczas gdy zaświeci.
Zakon pewny w zasadach, w skutek nieomylny;
Prawie jak czas — tajny, nieustanny, silny.
On to kiedyś opasze ziemię w łańcuch zgody
Z nim od morza do morza uklękną narody;
I z wielkim hymném niebios wstrząśnie się sklepienie,
Z prawdy krytéj przez wieki, opadnie odzienie:
A gdy pierzchną ciemnoty aż na świata końce
Niebo dachem świątyni, lampą będzie słońce!

## Chór.

Cześć tobie, o władco świata
Coś ulubił zakon sobie:
Niech nas twa wieczna oświata
Wiedzie drogą cnot ku Tobie!

### Spiew.

Chwała twoja o zakonie!
Niech z ust do ust wiecznie idzie;
Chwała tobie co na tronie
Sterujesz berłem w *Izydzie*. } Chór— bis.

### Drugi uczeń — *recitativo*.

Równość zgodzie życie daje.
Przez zgodę siła powstaje:
Powiedz nam siły filarze,
Jak są złączeni mularze? } Chór— bis.

### Deklamacya 1-go dozórcy.

Kiedy duma na karku podłości niesiona
Świętą jedność z ludzkiego wypędziła grona;
Kiedy z rodzinnych szranków równości i zgody,
Lud rozdzieliły stany, wyznania, narody:
Gdy przesąd oczy związał, przemoc ręce spięła,
By ludziom cechę rodu braterskiego zdjęła:
Kiedy człowiek poniżon jak narzędzie czynny,
Myślał myślą drugiego, czynił jak chciał inny:
Wtenczas wzniósł się nasz zakon, gdzie blask prawdy świeci,
Tu pod dachem rodzinnym gromadzą się dzieci;
Tu duma w więzy spięta leży w jego sieni,
Na którą płaczą w świecie, ludzie poróżnieni;
Tu w progu tłuką kielich z światową goryczą,
Tu smutnych dzwonów czasu przestrogi nie liczą:

A świętym tajemnicy okryci obłokiem
Codzień jednym do wschodu zbliżają się krokiem:
Tam z nadzieją o przyszłym szczęściu ziemi nucą,
Które jéj Bóg dał niegdyś — mularze powrócą:
Tam litość, nieodstępna od pracy bogini,
Łzy pociech w świecie zbierać wychodzi w świątyni:
Miłość bratnia równości ozdobiona cechą,
Zewnątrz im murem, wewnątrz piérwszą jest pociechą;
Wśród nich szczerość, przy boku łagodności chodzi,
Ona mowę serdeczną, do serca przywodzi:
Szczerości! jakże szczęście tego miejsca głosić,
Gdzie tobą mówić wolno, gdzie cię lubią znosić?
Wesołość, córka światła, cnót, i niewinności,
Przy powadze zakonu, szanowana, gości:
Jéj wdzięki ni powagi, ni siły nie zmniejszą;
Piękność czyni prawdziwszą, a prawdę piękniejszą
Tu człek w świecie cierpianą zasłonę z ocz traci,
I przy świetle we wszystkich poznaje swych braci;
Czyli tam, kędy słońce szczerym ogniem ciska,
Czy gdzie ludzie dalecy natury ogniska,
Tu w zgodzie do jednego gromadzą się stołu,
Spuścizną matki światła dzielą się pospołu:
Tu w ogniwach braterskich wszyscy sobie blizcy,
Jeden wsparty na wszystkich — a na jednym wszyscy.

### C h ó r.

Cześć Tobie o władco świata — i t. d.

## Dwu-śpiew.

Przyjm dzięki Izydy synów,
Ty coś nam dał mistrza wzorem!
Niech zdążym do pięknych czynów,
Jego radą, jego torem.

## Deklamacya.

Uderz w dłoń Przewielebny! niech oznaki święte
Tłumaczą serca czuciem ku niemu przejęte.

### Trzeci uczeń — *recitativo.*

Co przy trzecim siedzisz młocie
O ty piękności filarze
Gdy dziś cnotę czczą mularze, } bis.
Powiedz, o mularza cnocie.

## Deklamacya II-go dozórcy.

Człek z czuciem i pojęciem na brzeg życia wchodzi,
Lecz ciemny, słaby, musi oddać się powodzi;
A gdy dzika namiętność pcha łódkę od lądu,
Doradczy rozum usnął na łonie przesądu
Tak człek jak mara, szybką nogą w grób przeminie,
I on nie poznał życia — i po nim ślad zginie.
Szczęśliwy, komu w życiu, na morzu goryczy,
Opiekuńcza mularstwa gwiazda przewodniczy.
Jazon za runem, Uliss za Itaką dąży,
Mularz po głębiach myśli, za prawdami krąży:

Świat myślą, a miłością objął całą ziemię,
Jednéj celem jest wieczność, drugiéj ludzkie plemie.
Jak gdy Morféj seńliwy mak sieje po osi,
Opiekuńcza noc nad nią swą zasłonę wznosi;
Tu szle wiatry z ochłodą, ówdzie spuszcza rosy,
I skromny blask księżyca wiedzie przez niebiosy:
Tak wolny mularz rzuca hojne światło rady,
Nędzę morzy przez litość, błędy przez przykłady:
Oświecona w nim cnota uczy życia użyć
I przez samo użycie na przyszłość zasłużyć
W wszystkich wiarach chęć jedną dla Twórcy uznaje
Cnocie jednéj nad drugą piérwszeństwa nie daje,
A bacząc czém on z ludźmi, z nim ludzie złączeni,
Czci wolność, i niewolę powinnością ceni.

Lecz po co szukam wzoru? mamy go przed sobą:
On jest chwałą Izydy, zakonu ozdobą,
On jest przykładem, naszym przewodnikiem razem,
I mój pędzel szedł tylko za jego obrazem.

## Trój-śpiew.

Próżno na piasek słońce szle oświaty.
Zła ziemia nic nieurodzi.
Próżno grunt żyzny wyprowadza kwiaty.
Tam, gdzie słońce niedochodzi.
Tak próżne świało tam gdzie niema cnoty.
Próżna cnota, wśród ciemnoty

Szczęsny, kto łącząc cnotę przy rozumie,
Jedno drugiem wesprzeć umie!

## Deklamacya 1-go dozórcy.

Jako dąb najzuchwalszy z niewolników czasu,
Co sam dzieje pamięta, tajemnego lasu;
Obok jego drzew tysiąc wzniosło się do góry,
Przez wieki w słońce patrzał i rozpraszał chmury:
Tak ty dziś młot dzierżący Izydy zaszczycie,
Drugie półwieku pędzisz wśród zakonu życie:
Tak ty dzieje Polskiego opowiadasz Wschodu
Pamiętasz dni pogodne — i burze narodu.
Wieluż przed tobą wzrosło, i znikło w zakonie?
Dziś kiedy młotem władasz na Izydy tronie,
O szanowny kapłanie, dzisiejszego święta,
Jakiem czuciem twa dusza musiała być tknięta
Gdy ten którego uczniem tworzyłeś zakonu
Znowu ucznia narzędzia, podawał ci z tronu.
Uścisk mistrzów i uczniów, jaki w szczęsnéj dobie
Po dwa razy nawzajem dawaliście sobie;
Niechaj dziś w trzecim miłym dla braci obrzędzie,
W imię wszystkich raz trzeci powtórzony będzie;
Niech się stanie uściskiem wszystkich braci społem
My bratniego łańcucha opaszmy go kołem.

**Chór.**

W tym świętym obwodzie braci,
Przepędzaj wiecznie wiek złoty!
Niech ci nasza miłość płaci,
Twoje zasługi i cnoty! } Chor— bis.

**Koniec.**

## SPIS RZECZY.

## CZĘŚĆ DRUGA.



## PRZYPISY.

# TOWARZYSTWU

# NAUKOWEMU KRAKOWSKIEMU.

**Członek Korespondent**

poświęca

*Ignacy Chodźko.*

1861 r.
w Dziewiętniach.